Nr. 35. Poznań, dnia 2 Września 1906 r. Rok X.

Abonament wynosi kwartalnie: na poczcie. . . 1,25 z odnoszeniem do domu . . 1,37 pod opaską . . 2,50

# PRACA

Adres Redakcyi: Poznań, ul. Rycerska Nr. 38. Telefon Nr. 1465. Ogłoszenia: od wiersza drobnego 20 fen.

## TYGODNIK POLITYCZNY I LITERACKI, ILLUSTROWANY.

### Treść nr. 35-go.



## Areszt — nie nauka, szkoła nie więzienie!

„Lech“ gnieźnieński otrzymał od pozasłużbowego nauczyciela bardzo cenne uwagi, które spory snop światła rzucają na to: czy władza szkolna *ma prawo karać dzieci aresztem za opór przeciwko niemieckiej nauce religii, i czy je można ponad 14 rok życia zmusić do uczęszczania do szkoły?*

Uwagi te naszem zdaniem są pierwszorzędnej wagi — mogą bowiem popchnąć sprawę nauki religii o olbrzymi krok naprzód. Jest to jasne.

Dopóki ludność nasza nie wie, do czego władza szkolna ma prawo, musi zdawać jej się, że za zabranie dziecka z aresztu grozi jej więzienie albo wysokie kary pieniężne.

Tymczasem, gdy się przekona, że tak nie jest, wystąpi śmielej przeciwko nadużyciom tejże władzy. Według doniesienia „Lecha“ jest bezwarunkowo nadużyciem ze strony władzy szkolnej, jeżeli pozwala nauczycielom na przetrzymywanie dzieci w areszcie — poza zwykłemi godzinami szkolnemi, których jest tygodniowo 32 — czyli przez cztery dni w tygodniu po 6 — a przez dwa po 4 godziny.

Sądzimy, że tej tak palącej kwestyi niemało się przysłużymy, jeżeli uwagi lechowego nauczyciela tutaj przytoczymy dosłownie. Brzmią one tak:

Podług ministeryalnego rozporządzenia z roku 1872 („Allgemeine Bestimmungen“) mają dzieci najwięcej 32 godziny tygodniowo nauki pobierać. W praktyce zaś jest zwyczaj, że jeżeli nauczyciel więcej godzin aniżeli 32 tygodniowo nauki udziela, natenczas każdą godzinę ponad 32 osobno mu się wynagradza. Dzieje się to przy więcejklasowych, albo półdniowych szkołach, jeżeli przez przesiedlenie nauczyciela zostaje posada opróżnioną — albo przy półdniowych szkołach, aby liczba godzin klas nie była uszczuploną.

*Jeżeli nauczyciel ma obowiązek tylko 32 godziny tygodnio uczyć, to też dzieci mają tylko obowiązek 32 godziny tygodniowo w nauce brać udział.* Skoro zaś inspektorzy za opór przeciw niemieckiej nauce religii areszt wyznaczają, to mogą to tylko w czasie planem godzin przepisanych do nauki wykonać, bo dziecko zobowiązane jest tylko 32 godziny tygodniowo w nauce brać udział. *Areszt nie jest nauką, a szkoła nie jest więzieniem,* tylko miejscem nauki i wychowania. Dziwnie to wygląda w XX wieku, że ze szkoły zrobiono więzienie.

Rodzice powinni się solidarnie o prawa swych dzieci upomnieć. *Poza godzinami planem szkolnym przepisanemi dysponują rodzice dziećmi,* a nie inspektor szkolny. Rodzice potrzebują dzieci do domowej pracy, do wspólnego zarobkowania, aby mieć utrzymanie. Sądzę, że szkoła nie ma prawa zabierać dzieciom czasu, w którym rodzicom służyć mogą.

*Zmuszanie dzieci ponad rok 14 do obowiązku odwiedzania szkoły* za opór przeciw nauczaniu religii po niemiecku, *również nie jest prawne,* bo podług § 46 tyt. 12 część II prawa krajowego wolno tylko wtenczas dzieci do uczęszczania do szkoły ponad rok 14 zmusić, „jeżeli podług uznania duszpasterza (względnie inspektora) *dziecko nie przyswoiło sobie wiadomości, jakie każdy rozsądny człowiek posiadać powinien.*“

Opór przeciw uczeniu się religii w języku dziecku obcym nie jest dowodem, że ono nie przyswoiło sobie potrzebnych wiadomości.

Tyt. 11 część II § 75 ogólnego prawa krajowego opiewa, że ojciec musi mianowicie o to się starać, aby dziecko w religii i pożytecznych wiadomościach potrzebną naukę wedle swego stanu i okoliczności pobierało.

Na nasze stosunki ustęp ten można sobie tylko tak tłomaczyć, że „stan i okoliczności“ dzieci naszych wymagają, aby im nauka religii po polsku udzielana była. Karać winien nauczyciel po ojcowsku (§ 50, część II, tyt. II) *a kara więzienia względnie aresztu nie jest karą ojcowską,* bo rodzice swych dzieci więzieniem nie karzą.

Zresztą według § 52, (część II, tyt. 12) rzeczonego prawa, zobowiązani są nauczyciele, gdy przez nich przedsięwzięte środki do celu nie prowadzą, *w porozumieniu z rodzicami albo opiekunami* inne środki odpowiednie do poprawy zarządzić, a § 53 opiewa, że i w tym razie granic ojcowskich kar przekraczać nie wolno.

Praw powyższych dotąd nie cofnięto, ani nie wydano innych, któreby tamte znosiły. Mają one zatem do dziś dnia — swoje znaczenie.

Sprawa jest jasna. Nie wolno nauczycielowi dzieci dłużej tygodniowo w szkole zatrzymywać aniżeli — 32 godziny.

Rodzice! — czas, ażebyście z tego prawa w całej pełni skorzystali.

# O naukę religii.

Z początkiem nowego roku szkolnego uderzyły pisma nasze na alarm, że nauka religii w języku polskim ma być zniesiona — po wszystkich szkołach, nawet na najniższych oddziałach.

Wszystkie pisma polskie zrobiły w tym wypadku, co mogły — ostrzegły społeczeństwo przed nadchodzącem niebezpieczeństwem — i zgodnie zażądały, ażeby zwołany został jeden wspólny *generalny wiec* w tej sprawie — *ku wyjaśnieniu położenia i obmyśleniu środków.*

Wieca nie zwołano. Kto ponosi winę? Gdzie są organizacye, któreby w takim wypadku stanęły do czynu?

Mamy „Straż" — „ku obronie naszych moralnych i materyalnych interesów narodowych."

Czemu „Straż" nie zajęła się tą sprawą? — bo *brak jej należytej sprężystości i energii.*

„Straż" mogłaby się tą sprawą zająć, bo to nie jest sprawa *partyjna*, nie obchodzi ona tylko jakiś odłam społeczeństwa, lecz społeczeństwo *całe.*

Czy są po za „Strażą" jeszcze czynniki, któreby miały obowiązek sprawą tą się zająć?

Powinniby zająć się nią *księża*, bo sprawa nauki religii, to nietylko sprawa domu, ale i Kościoła.

A cóż księża zrobili? — Zwołali pięć czy sześć wieców, i na tem koniec.

Tak to broni się — spraw religii i Kościoła?!

Te więc czynniki, po których spodziewać się było można zwołania i przygotowania wieca — zawiodły zupełnie.

Czy ma przez to upaść sama myśl — wieca ogólnego?

Tu na tem miejscu wskazywaliśmy już, że gazety nasze co do środków, jakich doradzają w obronie polskiego wykładu religii w szkole — się różnią. N. p. „Gazeta Grudziądzka" każe swym czytelnikom podpisywać petycye do ministrów, do inspektorów, do nauczycieli, by zaprzestano w szkole wykładu niemieckiego, a równocześnie każe im wnosić na ręce N. ks. Arcybiskupa prośby, ażeby nauczycielom odebrał pozwolenie uczenia religii. Ta akcya „Gaz. Grudz." trwa już tygodnie całe — w szkole po niemiecku uczą, a N. ks. Arcybiskup zakazu nie wydaje. Dlaczego? — bo powiadają inne pisma, że choćby N. ks. Arcybiskup takie rozporządzenie wydał — to nauczyciele go nie usłuchają. Rząd zmusi ich do nieposłuszeństwa pod groźbą — złożenia z urzędu i pozbawienia ich chleba.

„Przyjaciel Ludu" również stoi na tem stanowisku, że zakaz N. ks. Arcybiskupa nie odniósłby żadnego skutku i dochodzi do wniosku, że lepiej się udać wprost do Rzymu do Ojca św.

Są tacy, którzy i tę radę uważają za niedostateczną. W takim razie po pomoc udać się chyba należałoby — do samego Pana Boga.

I słusznie! — Modlitwa przynajmniej ukoi ból i doda otuchy do wytrwałości w tej walce przeciwko niemieckiej nauce religii.

Zapewne to też już każdy ojciec i matka uczynili, zapewne nie omieszkali pouczyć także dziatek swoich, ażeby serduszka swe modlitwą krzepiły.

Ale tego nie dosyć — to dobre dla każdego z osobna. Co jednak ma społeczeństwo całe zrobić, boć tu o jego żywotny idzie — interes moralny!?

Myśmy kilkakrotnie już zaakcentowali to bardzo silnie, że walka w sprawie niemieckiego nauczania religii w szkole — to nie tylko walka nauczyciela z dzieckiem polskiem, — nie! to walka szkoły z rodzicami, domem polskim — to także walka *wrogiego systemu z całym naszym społeczeństwem.*

Walka ta skierowana jest przeciwko najżywotniejszym interesom moralnym całego społeczeństwa — całe też społeczeństwo powinnoby jak jeden mąż stanąć do tej walki.

Niestety — zawiodła „Straż", zawiedli księża, pozostaje tylko zawezwać lud, aby on bronił tak ważnej sprawy narodowej, aby nie zachwiał się nietylko w uporze przeciwko tej nauce niemieckiej — ale ażeby tę lukę, jaką pozostawi szkoła — zapełniał dom.

Ojciec i matka powinni dzieci uczyć znaku wiary, pacierza, prawd wiary, przykazań Boga i Kościoła, powinni uczyć poznawać dzieci swe chrześciańskie cnoty, grzechy i sakramenta św.— a więc uczyć powinni rodzice swe dzieci tego wszystkiego, czego sami albo w szkole, albo na nauce do spowiedzi albo komunii św. kiedyś się uczyli.

Przyjdzie to może z trudem — ale trzeba. Nikt tego rodzicom nie nagrodzi — ale Bóg im to zapisze jako jeden z najpiękniejszych uczynków co do duszy — i to co do duszy *własnego dziecka.*

Nie uczy szkoła — rodzice! — po-

---

# Naród Polski
## pod obcem panowaniem.

19)

Opowiedział
Julian Baczyński.

(Ciąg dalszy).

Z takich Polaków miał gubernator wileński Tutolmin swój dwór honorowy, ów Tutolmin, który pragnął mieć pod ręką „10,000 Baszkirów, aby knutami pozbawić chłopów ochoty wojowania. ¹) Nawet małżeństwa kojarzyć się zaczęły pomiędzy rodzinami polskiemi i moskiewskiemi, a Targowiczanie dali początek. Popyt za orderami wśród Polaków był tak wielki, że Ryx, kamerdyner króla Stanisława Augusta, urządził sobie z tego interes i na swoją korzyść sprzedawał w Grodnie ordery w blankietach. Patrząc na tych panów orderowych, których namnożyło się bez liku, można było zawołać z żalem i wyrzutem:

— Zagorzali miłośnicy szlacheckiej równości, gdzież wasza wolność i równość?! Zaślepieni niewolnicy, orderowemi świecidełkami wrogów zdobicie piersi wasze, to dla was szczęście i sława, tem bezwstydnie wynosicie się ponad równych braci waszych?!

Gorzej jeszcze. Oto w sieniach pałacu carowej i jej faworyta wyczekują panowie polscy i czyhają na zagrabione patryotom polskim majątki. Nie wahają się przypominać swych dla zaborców „zasług," które są zdradą własnej ojczyzny. Zbrodniczość ich wysila się na szpiegowskie podłe doniesienia, na nikczemne poduszczanie i tak zaciekłego wroga, aby powodować nowe konfiskaty, a w nich zyskać jeszcze nowe ziemie braciom wydarte!

Okropni, wyrodni synowie Polski! Na ich wspomnienie serce boleścią się kraje, myśl wstrętem, obrzydzeniem się przejmuje. Szczęściem, że w tym czasie sromoty, nie oni sami w Polsce i że, o ile oni nikczemni, o tyle wznioślejszych, nieskazitelnych i bohaterskich mężów poświęcenia i pracy zesłała Opatrzność nieszczęśliwej Polsce. Oto za granicami kraju, z niezwykłą mocą ducha i zaparciem się siebie, z żywą myślą jak najrychlejszego oswobodzenia drogiej ojczyzny, działają najszlachetniejsi jej synowie, twórcy *Legionów polskich.*²)

Ci patryoci z upadkiem Polski, jak wiadomo, w znacznej liczbie rozeszli się do różnych państw, jak do Turcyi

¹) Sokołowski. IV, 1207.

²) Morawski, VI, 11, 12.

każcie, że ta szkoła jest właściwie zbyteczną — uczcie wy!

Innej drogi wyjścia niema, rząd się nie cofnie. To dziś jest tak jasne, że trudno się łudzić nadzieją naprawy odnośnych stosunków przez rząd.

Pomyślcie — prawa szkolnego u nas niema żadnego, są tylko przepisy ministeryalne, które dziś są, a jutro jednem pociągnięciem pióra mogą zostać zniesione. Jest właściwie tylko jedno prawo, na którego cześć Niemcy rymy piszą — a które względem nas okazało się ostatnim wyrazem barbarzyństwa.

Tym prawem — to *przymus szkolny*, ten przymus, na mocy którego dziecko począwszy od 6 roku uczęszczać musi do tej szkoły pruskiej aż do 14 roku a za karę ma być przetrzymane do lat 16. Prawo to jest bezwzględne — jest barbarzyńskie. Gdyby bowiem dziś to prawo zniesiono, zapewne jutro do tej szkoły nie posłałby swego dziecka żaden uświadomiony ojciec, żadna matka, która wie: co to znaczy, *być Polką!...*

Prawo to jest w naszych warunkach dla nas szkodliwe. Jest ono za to tem więcej na rękę rządowi, który od zarania dni dziecięcych i polskie dziatki chce wychować na — „Musterpreussen'', na Niemców.

Niestało się to dotąd — a rodziców i wszystkich szczerze narodowych żywiołów rzeczą jest, dbać o to, ażeby nie stało się to także w przyszłości.

Te usiłowania nasze dwa odniosą skutki: pokolenia, które po nas przyjdą, *będą równie rdzennie polskiemi*, jak my, a rząd pruski zdobędzie sobie jedno doświadczenie więcej, że głupstwo robił — germanizując Polaków, bo zgermanizować mu się nie dają.

Takie doświadczenia są dobre — ale często kosztują bardzo drogo.

Czem Prusy doświadczenie to opłacą, dziś to wiedzieć, jest trudno. Prusy same mówią — o polskiem niebezpieczeństwie.

Być może, że przetrzymawszy groźną nawałę germanizacyi, Polacy nabiorą do swoich sił większego zaufania i że to zwycięztwo dopiero zedrze im z oczu łuskę — o wielkiej potędze Prus.

Któż zresztą przyszłość przewidzi?

. . . . . . . . . . . . . . . .

Koniec końców my jeszcze raz powracamy do myśli urządzenia wieca szkolnego, ogólnego w Poznaniu. Wiec ten w obecnej chwili może mieć niezwykłe znaczenie. Rodzice chwieją się, co robić. Doradcy ich każą im, jeden tak, inny — owak postępować. Kogo mają rodzice słuchać?

Wiec ma na to pytanie dać jasną i jędrną odpowiedź — ma położyć tamę bałamucenia ludu — ma zaprowadzić jednolitość w akcyi — i nadać jej znaczenie ogólnego ruchu i walki przeciwko germanizacyi w szkole w ogóle, a szczególnie germanizacyi przez religię.

Kiedy się to stanie?!...

*Wasz S.*

## Sejmik spółek.

Każdemu z Czytelników naszych znaną będzie czy to „Kasa pożyczkowa'', czy „Bank ludowy'', albo wprost krótko „bank''.

Są to t. zw. *spółki*. Ze spółek tych można uzyskać pożyczkę, do kasy ich można zanieść pieniądz gotowy i pieniądz ten przynosić będzie odsetki, czyli t. zw. procenta.

Pieniądze do spółki zanieść i na procent złożyć może kazdy — pożyczkę atoli ten tylko uzyskać może, kto do spółki wstąpi jako członek, zapłaci wstępne i wniesie pewną kwotę „na udział.''

Spółek takich już mamy znaczną liczbę. Są one złączone w jednę wielką organizacyę, która obejmuje W. Ks. Poznańskie i Prusy Zach.

Jest to t. zw. „Związek Spółek Zarobkowych i Gospodarczych w W. Ks. Poznańskiem i Prusach Zach.'' Na czele „Związku'' tego stoi — patronat.

Patronat składa się z 6 osób, do patronatu należy także każdorazowy dyrektor „Banku Związku Spółek Zarobkowych.'' Bank ten jest w Poznaniu.

„Związek'' odbywa co rok t. zw. sejmik, czyli zjazd delegatów spółek, którzy obradują nad wszelkiemi sprawami dotyczącemi spółek, Związku i Banku Związku.

Do ostatniego sejmiku, który się odbył w dniu 20, 21 i 22 sierpnia w *Pelplinie*, w stolicy biskupstwa chełmińskiego w Prusach Zach., należeli do patronatu Związku — ks. prał. Wawrzyniak z Mogilna jako patron, p. dr. Rzepnikowski z Lubawy jako wicepatron, pp. Więckowski, J. Thiel, ks. radca Kotecki, ks. Bolt jako członkowie patronatu i p. dr. Kusztelan jako dyrektor Banku Związku. W miejsce ustępującego p. J. Thiela, który długie lata do patronatu należał i jako znawca prawa spółkowego i handlowego niejednokrotnie i niemało do rozwoju

---

na Wołoszczyznę, a najwięcej do Francyi, z którą Polaków łączyły ścisłe stosunki. Wielka rewolucya francuska, głosząca wtedy hasła powszechnego braterstwa, wolności i równości ludów, straszna ta rewolucya pod rządami „Konwencyi'' i terrorystów wywierała bowiem i na Polskę swój wpływ.

Zagrożeni emigranci francuscy szukali schronienia w Polsce, sam Ludwik XVIII., późniejszy król francuski, przebywał jakiś czas w Warszawie.[3]) Na odwrót niektórzy Polacy łączyli się z rewolucyą francuską i w Konwencyi przedkładali krzywdy, jakie Polsce wyrządzono. Czekali ci liczni patryoci za granicą, na jaką korzystną dla Polski sposobność, aby w obronie jej skutecznie wystąpić. A sposobność taka łatwo zdarzyć się mogła.

Rozbiór bowiem Polski sprowadził takie zawikłania polityczne i nieszczęśliwe stosunki w Europie, że powszechne dało się słyszeć zdanie:

— Jedynym środkiem na to, ażeby powszechny pokój i bezpieczeństwo zapanowały w Europie, jest przywrócenie Polski!

I odtąd ile razy powstały w Europie jakie zamieszania i na wojnę się zanosiło, lub nawet wojna wybuchła, zaraz odzywały się poważniejsze głosy wśród narodów:

— Trzeba przywrócić Polskę a będzie pokój!

Gdy zaś właśnie teraz generał Napoleon Bonaparte[4])

[3]) Pełno było wtedy w Polsce Francuzów. Każdy znakomitszy obywatel ziemski miał Francuza za przyjaciela domowego, za kapelana lub za nauczyciela do dzieci (monsieur l' abbé, labuś, gouverneur). Księżom francuskim rozdawano bogatsze probostwa i prałactwa; najznaczniejszym panom francuskim oddawano wioski w zupełne posiadanie. Księżna z Gardzkich Nassauska założyła w Tynnie na Podolu osadę z emigrantów. Korzystali z tej gościnności ks. ks. de Broglie, proboszcz poznański, Choiseul, de Fleury, Polignac, wesoły margrabia de Boufflers, hrabiowie: de la Ferronays, de Saint-Priest, Bassompiere, Langeron, Lambert. Król francuski Ludwik XVIII. jako hrabia de Lille, zamieszkiwał w Warszawie najprzód kamienicę Wasilewskich na Krakowskiem przedmieściu, później pałac Zamoyskich (w r. 1701). Emigranci zawięzujący sławną *armię Kondeusza* mieli w Dubnie główną siedzibę, a przebywali też w Kowlu, Łucku i Włodzimierzu. To też Francuzi rozczuleni gościnnością i serdecznością Polaków mówili ze wzruszeniem:

— Zachowamy Polskę jako drugą ojczyznę i złożymy w niej kości nasze! — Morawski. VI. 13, 14.

[4]) *Napoleon I. Bonaparte* cesarz francuski (od r. 1804 do r. 1814) wielki mocarz, który trząsł całą Europą, wzniósł się na swe wysokie, rozkazujące stanowisko olbrzymią potęgą swego ducha i rozumu. Urodził się w r. 1769 w Ajaccio, na wyspie morza Śródziemnego, Korsyce (przyłączonej do Francyi w r. 1768) z rodziców zamożnych, należących do narodowości włoskiej.

spółek samych się przyczynił, wybrano do patronatu ks. kan. Adamskiego z Poznania.

Należy więc obecnie do patronatu na 6 członków — aż 4 księży.

Sejmik pelpliński, który miał się odbyć już w r. ub. i nie odbył się dla tego, że policya z powodu zagrażającej (!) cholery wówczas go zakazała — poruszył mnóstwo ważnych spraw.

Tutaj poruszymy tylko te sprawy, które jako niedotyczące wyłącznie wewnętrznych spraw spółek — obchodzą także i szerszą publiczność.

Nasamprzód wyjmujemy ze sprawozdania patronackiego kilka ważniejszych liczb, dających nam obraz o obecnym rozwoju i stanie majątkowym spółek.

Przedewszystkiem spółek samych wylicza sprawozdanie 175 związkowych, a 18 spółek takich, które się do Związku zgłosiły. Zatem w r. 1905 było starych i nowych spółek razem 193.

W owych 175 spółkach związkowych wynosiła w r. sprawozdawczym, t. j. 1905 liczba członków 81,107. Członkowie ci wpłacili na udział razem 13934712,15 mrk. Z zysków nagromadzonych w przeciągu całego szeregu lat istnienia spółek odpisanych zostało do funduszów zapasowych (t. zw. rezerwy) na r. 1906 — 5384888,07 mrk. W kasach spółek złożono oszczędności 87.421,051,50 mrk.

Wzrost spółek naszych pod każdym względem z roku na rok jest znaczny. Wyjaśni nam to krótki szkic porównawczy powyższych liczb odnoszących się do r. 1905 — z liczbami sprawozdania za r. 1904.

W r. 1904 liczył Związek spółek 149 — członków 73069 — udziałów 12379202,40 mrk. — oszczędności 70616513,58 mrk. — funduszów rezerwowych 4677260,13 mrk.

Okrągło więc urosły spółki nasze w jednym roku co do liczby o — 26 spółek — o 8038 członków — $2^1/_2$ miliona marek udziałów — o 17 milionów marek oszczędności — i o cały niemal milion rezerw.

To znaczy się, że Związek spółek, jak i spółki same rozwijają się znakomicie.

Przekonanie to, jakie wynika z powyższych suchych liczb, to przekonanie potwierdza przegląd poszczególnych spółek. Spółki te zataczają coraz szersze kręgi, co raz więcej zdobywają członków, co raz więcej ludzi nabiera do nich zaufania, że złożony pieniądz w ich kasach nie tylko nie ginie, ale i nie leży martwy, lecz przynosi procent.

Z rozwoju tego szczerze się cieszyć należy. Bowiem z rozwojem spółek społeczeństwo nasze staje się coraz mniej zależne od obcych kapitałów, od łaski obcej, staje się coraz więcej samodzielne, nabiera do siebie i własnych sił zaufania, rośnie w pewność siebie i przedsiębiorczość — zalety nieodzowne do zepchnięcia obcych nam żywiołów ze stanowiska kierowniczego w naszym ekonomicznym postępie.

Dowodem wzmagania się naszej przedsiębiorczości w łonie samych spółek n. p. są t. zw.

**„Rolniki.“**

Są to spółki, których szereg cały należy już do Związku, a które zajmują się handlem zboża i artykułów rolniczych. Tym handlem kierowali dotąd wyłącznie *żydzi* i bogacili się na nim. „Rolniki“ więc stają z żydami do współzawodnictwa.

Kto zwycięży? — Ostatni sejmik uznając pożyteczność „Rolników,“ polecił patronowi zakładać w dalszym ciągu „Rolniki“ tam, gdzie tego okaże się potrzeba, a gdzie „Rolnik“ nie będzie szkodził miejscowemu samodzielnemu kupiectwu. Nie ma więc ks. patron zakładać „Rolników“ tam, gdzie już samodzielny polski kupiec zbożowy jest na miejscu.

Z tej uchwały istotnie się cieszyć można, posuwa ona bowiem sprawę naszą naprzód — a uwalnia zarazem kupiectwo nasze od obawy, że „Rolniki“ i jemu staną się konkurentami — i, zamiast przyczyniać się do rozwoju, szkodzić będą handlowi polskiemu.

Drugą ważną sprawą, obchodzącą szerszy ogół, to sprawa

**Banków parcelacyjnych.**

Wielu zapewne, obaczywszy sprawę tę na porządku obrad sejmiku, sądziło, że sejmik zajmie się kwestyą: czy banki i spółki parcelacyjne spełniają należycie swoje zadanie, czy ew. nie szkodzą społeczeństwu zamiast mu pomagać.

Takie bowiem odzywały się z powodu głośnych wypadków — głosy w gazetach.

Tymczasem sejmik tę sprawę zepchnął zupełnie z porządku obrad — a zajął się sprawą: czy nie byłoby dobrze utworzyć centralnego banku parcelacyjnego, i co za tem idzie — osobnego związku spółek parcelacyjnych?

Oczywiście — pomimo wielu przeróżnych głosów — uchwała zapadła taka, że ponieważ spółki te raz już do Związku należą, to Związek powinien

---

na czele wojsk francuskich odnosił świetne zwycięstwa w walkach ze związkowemi państwami Europy, wszyscy uciśnieni zwracać się poczęli do Francyi, u niej szukając ratunku. Wtedy to polscy partyoci cywilni i wojskowi zawiązali się w pierwszy w epoce porozbiorowej spisek w celu odbudowania Polski i wyrażali takie energiczne postanowienie:

— Przeniesiemy Sejm Wielki do Francyi i pod jej opieką utworzymy z dezerterów rosyjskich i austryackich wojsko polskie, które zrazu będzie służyć Francyi a potem Polsce![5])

Myśl podobną podnosił już Kościuszko, wysyłając do Paryża Wielhorskiego, a teraz poprzeć ją miał Dąbrowski i niezmordowany Wybicki.

Manifest konfederacyi, zawiązanej w Krakowie dnia 6-go stycznia 1796 roku opiewa:

— Nadzieja naszej wolności jest opartą na naszej dobrej sprawie, na ufności, jaką nam dają nasza odwaga, wspaniałomyślność narodu francuskiego i prawość mocarstw, które nie miały bezpośredniego udziału w zamachu, wymierzonym przeciw naszemu istnieniu![6])

Ciąg dalszy nastąpi.

---

W r. 1785 wstąpił do służby wojskowej francuskiej i był porucznikiem artyleryi. A gdy Korsyka chciała się oderwać od Francyi, walczył przeciwko własnej ojczyźnie. Z wybuchem wielkiej rewolucyi francuskiej, widząc w niej olbrzymią siłę, przyłączył się do rewolucyonistów (Jakobinów), chociaż gardził rozszalałymi tłumami. Otrzymawszy dowództwo nad artyleryą (w r. 1793) przy oblężeniu Tulonu przez Anglików, zdobył to miasto i tak się odznaczył, że został generałem i zwrócił na siebie powszechną uwagę. Z upadkiem krwawego dyktatora rewolucyjnego Robespierra i rządów zagorzałych Jakobinów, uwikłany w proces, potrafił pozyskać nowych parów, gniotąc krwawo na ulicach Paryża powstanie przeciwko nim skierowane (5 października 1795 r.). W r. 1796, po ożenieniu się z Józefiną, wdową po generale Beauharnais (Boharne), mianowany naczelnym wodzem nad armią francuską, walczącą we Włoszech przeciwko wojskom austryackim. Tu geniusz jego miał zajaśnieć w całym blasku przy odnoszeniu najświetniejszych, a szybkich zwycięztw. — Encykl. Macieży Polsk. Lwów, 1906, V. 172.

[5]) Lewicki, 378.

[6]) Sokołowski, IV, 1236, według pamiętników Mich. Ogińskiego.

się niemi opiekować nadal. Osobny związek spółek parcelacyjnych uznano za — zbyteczny.

Uchwale tej dziwić się nie podobna z tej racyi, że przecież nie uznano za potrzebne, zająć się wewnętrznemi sprawami tych spółek, pomimo że odzywały się tak poważne głosy, jak dyrektora Banku Przemysłowców pana Więckowskiego, że spółki te nie-parcelantom trudno rewidować, trudno też zająć wobec nich stanowisko odpowiednie.

Sprawę tę załatwiono w ten sposób, że uchwalono do spółek parcelacyjnych wysyłać o ile możności rewizorów fachowych.

Zasadniczo zaś wyrażono w kierunku spółek parcelacyjnych pochwałę, że są potrzebne, że są pożyteczne i udzielono im życzliwej rady, żeby nie kupowały gospodarstw wówczas, gdy przewidzą straty — ale też żeby nie chciały się zbytnio obławiać zyskiem.

Rozumiemy, że ks. patron osobiście nie śmie kategorycznie oprzeć się wyzyskowi spółek parcelacyjnych, ale co innego sejmik. Sejmik ten powinien był podjąć kategoryczną uchwałę, że spółkom parcelacyjnym nie wolno wyzyskiwać swoich interesentów.

Tego sejmik nie uchwalił. Co gorsza — stanowisko, jakie zajął

**ks. patron Wawrzyniak wobec gazet polskich,**

a wraz z nim i delegaci sejmikowi daje nam pod tym względem dużo do myślenia.

Mówiąc o powodach, dlaczego sprawa banków parcelacyjnych dostała się na porządek obrad tegorocznego sejmiku, ks. patron Wawrzyniak, powiedział, że nie stało się to z powodu gazet, które o bankach tych tyle i tak głośno pisały.

„Nie — mówił — ja na głosy gazet naszych nie reaguję!"

Ton, w jakim to ks. Wawrzyniak powiedział — był na pół poważny, na pół wzgardliwy. Trudno było osądzić, czy istotnie głosy gazet polskich są mu obojętne, czy też nie.

Tem mniej można było sobie zdać sprawę z tego, co ks. W. o gazetach tych myśli, gdy zaręczał, że jeżeli jakaś sprawa przedostanie się do wiadomości publicznej (stać się to może chyba za pośrednictwem gazet — dop. autora), natenczas rozpoczyna ks. W. natychmiast dochodzenia, co w wieści tej jest prawdą, a co przesadą.

Naturalnie nie trudno było ks. patronowi wynaleść drastycznych przykładów na to, że pisma te, gorąco broniąc ziemi, niejednego posądziły o sprzedawczykostwo niesłusznie.

Widocznem stawało się coraz bardziej, że ks. patronowi nie podoba się *opinia gazet polskich w sprawie sprzedawczyków.* Ostatecznie nie zdołał ks. patron zapanować nad żalem swoim z tego powodu do naszej prasy i tak przeciwko redaktorom wybuchnął:

„Taki redaktor — on ma płótno w kieszeni — on jest bardzo letki — on może wołać: ja nie sprzedam! — I to jest prawda, panowie. On nie sprzeda — bo on nic nie ma i też nigdy nic mieć nie będzie — to jemu łatwo przychodzi krzyczeć: **nie zaprzepaszczajcie ziemi!"**

**Tak mówił na sejmiku roku 1906** w Pelplinie w dniu 21-go sierpnia ks. patron i prałat Wawrzyniak.

Słowa te są znamienne z dwóch przyczyn, i to: 1) podawają redaktorów w podejrzenie, że bronią ziemi dla tego tylko, ponieważ „sami nic nie mają" — a 2) tem samem *podają w podejrzenie całą obronę ziemi* ze strony tych redaktorów.

Kto te słowa słyszał, jak je mówił ks. patron Wawrzyniak ,temu musiało się zdawać, że i ci redaktorzy byliby sprzedawczykami pierwszej wody, gdyby tylko co do sprzedania mieli.

Słusznie na to odpowiedział „Lech", że redaktorzy wiele mają do sprzedania, bo — swój honor i swoją uczciwość. „Lech" zarazem daje do zrozumienia, że ks. patron mógłby się łatwo o tem przekonać, gdyby zajął miejsce w jego redakcyi w czasie sprzedawczykowskiej gorączki.

Zupełnie podzielamy to zdanie „Lecha" i wraz z nim wyrażamy ogromne zdziwienie, dla czego ks. patron ośmiela się poniżać redaktorów, dla czego to czyni — czyby ks. patron chciał sprzedawczyków *bronić?!*

Byłoby to wręcz niesłychane przedewszystkiem ze względu na miejsce, na którem słowa te ks. patron wygłosił. Sejmik spółek wcale nie jest odpowiednią instancyą — do obrony sprzedawczyków, a tem mniej do osądzenia czynności redaktorów.

Na to ostatnie najlepszy dowód w tem, że po słowach ks. Wawrzyniaka

---

Herman Bang.

## Biały dwór.

Przekład z duńskiego. Lwów 1906.

Pewną tężyznę i krzepkość w Danii przedstawiają jeszcze jedynie warstwy ludowe; reszta zaś społeczeństwa składa się przeważnie z ludzi zupełnie zdegenerowanych, naśladujących niewolniczo z czcią niemal bałwochwalczą Paryż, i jeszcze raz — Paryż. Każdy Duńczyk dumnym jest z swej stolicy; bo Kopenhaga — to Paryż „en miniature".

Rasa magnatów, od wiek wieków osiadła w swych siedzibach, ulega straszliwemu wyniszczeniu. Jest to pokolenie — wedle słów Przybyszewskiego — rozpieszczone bez miary, trawione wyrafinowaną rozpustą, rozhukaną żądzą użycia. W pokoleniu tem zniewieściałem i niemocnem przebija się chorobliwe wprost pragnienie nasycenia się coprędzej wytworem kultury swojej, a przedewszystkiem obcej, a przedewszystkiem — paryskiej.

Kobiety drobne i przeczulone. Młodzież — ta staje już u progu życia wynędzniała, przeżyta, znużona.

Literatura duńska nie odbiega od rzeczywistego stanu swego społeczeństwa. Jest ona przesyconą najskrajniejszym erotyzmem. Nerwy i tylko nerwy — nic zdrowia, nic z siły żywiołowej, minimalnie mało rzetelnego natchnienia, wyjałowienie myśli...

Na tem tle wykwita przeczysty jak lilia „Biały dwór" Hermana Banga.

. . . . . . . . . . . . . . . . .

„Dnie dzieciństwa, was chcą wywołać z mglistej oddali. Dnie bez winy, dnie bez grzechu — niechaj się snuje nić waszych wspomnień.. Dnie dzieciństwa, kiedy matka jeszcze żyła..." Tak modli się autor, który jako nieodrodny członek swego społeczeństwa żył i użył, który czerpał pełną dłonią z rozkoszy życia aż — do przesytu. Znużony wreszcie i wyczerpany przenosi się w zacisze leśne, gdzie wspomnienia stają się dziwnie mocnemi... I ten spoczynek w życiu, i ta cisza w lesie, i ten poczenie pierwotne wlewają przedziwnie kojący balsam do duszy człowieka życiem chorego. Zanika powoli zwątpienie, zanika znużenie, a na ich miejscu wykwita wiara cicha, smutno — spokojny uśmiech rekonwalescenta. To jest odrodzenie duszy przeżytej i potarganej; odrodzenie istotne, szczytne, na tle ziemi ojczystej, na tle wspomnień z lat dziecinnych, tych dni bez troski i bez winy — dni nieświadomości. I zaprawdę, szczęśliwym jest ten, kto na tej drodze szuka odrodzenia i je znajduje.

Dnie dzieciństwa, was chce wywołać z mglistej oddali... A na zaklęcie to przesuwa się przed nami obraz przedziwnie mistyczny jak marzenie, obraz roku z życia „dzieciaka" swywolnego, a ciekawego, odczuwającego naiwnie, a silnie wszelką radość i smutek, wszelkie dobro i zło. I patrzymy nań oczyma „dzieciaka", bo tak chce autor, bo tak i on patrzy...

Nadchodzą święta Bożego Narodzenia. Wielki ruch i przygotowywanie w całym domu. Wreszcie wigilia, roz-

cale sala zagrzmiała wprost — szalonym śmiechem.

Z czego — pytamy — panowie delegaci się śmiali? Czy śmiech ich, to urąganie biedzie redaktorów? czy miał on być może oznaką wzgardy dla tych, którzy nie tylko o sobie wciąż myślą, ale śmiało idą cierpieć za sprawy narodowe? — czyżby panowie delegaci na równi z ks. patronem redaktorów chcieli o sprzedawczykostwo posądzać, gdyby „coś mieli?“

Straszna to krzywda, jaką ks. patron wyrządził redaktorom, tem straszniejsza, że nie zdoła jej już nigdy naprawić.

Co innego panowie delegaci. Teraz jest po sejmiku. Niech więc sobie spokojnie rozważą, czy mądrze zrobili — idąc na lep słów swego patrona. — Sumienie im musi powiedzieć, że wyrządzili swym urągliwym śmiechem redaktorom taką samą krzywdę jak ks. patron.

Naprawcie tę krzywdę! Toż wy, panowie delegaci, przed biedą redaktorów raczej czapki powinniście uchylić — a nie urągać jej.

Możebyśmy byli słowa te ks. patrona pominęli milczeniem, tem więcej, że gazety polskie tem mniej potrzebują sobie robić ze słów jego, im mniej on sam na ich głosy zważa, ale musieliśmy wystąpić w obronie naszej, skoro napaści ks. patrona padły na żyzny grunt wśród jego słuchaczy.

Niech teraz ci słuchacze posłyszą chociaż raz, co też o ks. prał. Wawrzyniaku redakotrzy sądzą, niech ci słuchacze wiedzą, że redaktorzy o ks. prał. W. wiele rzeczy wiedzą, o których *ze względu na dobre imię całego duchowieństwa* nie piszą, niech wiedzą, że ks. prał. W. nie jest bez winy tak dalece, ażeby sobie mógł pozwolić na zarzuty przeciwko ludziom, którzy na nie niczem nie zasłużyli.

Przekonani jesteśmy, że ta część społeczeństwa naszego, która zna dolę redaktorów — przyzna nam racyę i że ks. prał. Wawrzyniak ze swoją napaścią na redaktorów pozostanie — odosobniony.

---

# Zlot sokoli w Oświęcimiu.

(Własna korespondencya „Pracy.“)

Lwów, 26 sierpnia.

Dobrze mówi przysłowie, że nie ma tego złego, któreby się w dobre nie obróciło. Zawsze z pewnem rozrzewnieniem dowiadywaliśmy się tutaj, że Wasze Sokoły ze Śląska korzystają z bliskiej granicy galicyjskiej i tłumnie zjeżdżają na swe uroczystości na bratnią ziemię, na której, jeżeli powietrze jeszcze nie całkiem wolne, toć przecie poszanowanie praw ludzkich nie jest tylko czczem słowem. Uroczystość jednak, jaka się odbyła 19-go b. m. w Oświęcimiu, nie wzbudza w nas rzewności, owszem napawa nas dumą, że nasze domowisko pierwsze z ziem polskich nie tylko gościło Sokołów Polaków z trzech dzielnic odgraniczonych bagnetami i armatami, ale dało im miejsce, aby mogli złożyć egzamin z poważnej pracy, jaką towarzystwa sokole prowadzą na polu wychowania fizycznego. Dzień ten jasny w naszem życiu niewolniczem pozostanie pewnie na długo w pamięci uczestników, a u ogółu utrwali niewzruszoną nadzieję przyszłości.

Oto Wasz piąty okręg sokoli, górnośląski, zwołał się na popis gimnastyczny do starodawnego Oświęcimia. Na to wezwanie nie pozostało głuchem sokolstwo z Królestwa, a mianowicie okręg z Zagłębia Dąbrowskiego i nasi sokoli z ziemi krakowskiej.

I zleciało się tego ptactwa szarego o gorącem sercu przeszło trzy setki; a zleciała się ta brać jakaś taka dziwna, że dopiero silne bicie serc i pałające oczy dały im poznać, że to jedna, najbliższa rodzina, mimo, iż jedni mają rogate czapki z piórami i barwne koszule, drudzy skromne szare maciejówki, a trzeci nie różnią się jeszcze niczem od wielkiego tłumu, bo zaczynają dopiero wspólne życie a nie wiedzą, jaka ich najbliższa przyszłość czeka.

Tak drogich gości przyjął Oświęcim braterskiem a szczerem sercem. Rada miejska na uczczenie tego pamiętnego dnia, prócz urzędowego udziału w uroczystości przyczyniła się hojnym datkiem do opędzenia kosztów. Sokół oświęcimski zajął się urządzeniem boiska i całej uroczystości, oddając potem gospodarstwo Ślązakom, a Sokół krakowski zorganizował ćwiczenia swego okręgu. Przyjechali w gościnę oprócz Sokołów biorących udział w ćwiczeniach, przedstawiciele sokolstwa z Poznania, Lublina i Warszawy, nadto przyjechało wiele osób specyalnie na uroczystość i to z całego pogranicza Galicyi, Śląska austryackiego i pruskiego, oraz Królestwa Polskiego. Ta właśnie okoliczność nadała zlotowi wielką powagę i nastrój święta prawdziwie narodowego.

---

dzielenia podarków, stąd ciekawość, niecierpliwość i radość dusz dziecięcych. Następnie przeżywamy czas „pękania lodów“ i uciesznę skakaninę po krach. Dalej — znajdujemy się w domu uśmiechniętego zazwyczaj, a dziś osowiałego sołtysa i patrzymy na trupa syna jego, co to za życia „niejedną wepchnął w biedę“. Bo też był to chłop najurodziwszy z całej wsi, a one wszystkie garnęły się do niego i kochały go...

Później spędzamy wesoło dzień w szkółce wiejskiej u starego zakrystyana, którego żona, „poczciwa sobie stara“ wiecznie zajętą jest przy kuchni. Śpiewa się tam piękne stare pieśni o rycerzach i o miłości, przyczem słyszymy monolog starego zakrystyana, że „miłość jest czemś, nad czem się nie rozmyśla; ona sama przychodzi“. — A dalej przeżywamy czas słońca, czas lilii i róż. Poznajemy wówczas dwie gadatliwe ciotki-dewotki, które przybyły tu dotąd na kuracye. Punktualnie o godzinie siódmej rano jedzą śniadanie, poczem natychmiast wychodzą „na rosę“ do parku; lękają się żab, bo „nie lubią tych brzydkich stworów“. Przestrzegają ściśle wszelkich zasad „savoir — vivre‘u“ i gderają ustawicznie na niestósowne zachowanie się dzieci przy stole. Jakie one śmieszne a zarazem — jakie prawdziwe... W końcu nadchodzi czas żniw, czas dojrzałych winogron i — jesień, ta niewypowiedzianie smutna, kiedy tak chętnie się marzy, i o zmroku gwarzy o tej wiośnie, o młodości...

I przesuwają się te czarodziejskie obrazki, a nad niemi, a nad wszystko unosi się święta postać matki żywej, refleksyjnej a kapryśnej; matki, która pospołu z dziećmi bawi się i smuci, marzy i śpiewa, która tak bardzo tęskni do miłości. Z tem wszystkiem — jaka ona kochana... A ojciec? — Ten zamknięty w swojej pracowni kroczy tam i z powrotem, tam i z powrotem... a w spokoju swoim musi mieć ciepło, lecz „mimo to marznie“. Matka lęka się go, i dzieci też... On taki milczący taki poważny.

I czyta się książkę tę jak najpiękniejszy poemat; i chciałoby się marzyć o tej przeszłości, o tych dniach dzieciństwa, dniach bez winy i bez troski; o tych dniach minionych bezpowrotnie.

„Biały dwór“ to stanowczo najlepszy utwór czasów współczesnych; to przepiękna epopeja dzieciństwa, śpiewana słowy skąpymi a serdecznymi. Stworzyły ją nie nerwy postrzępione a nieskalana, pogodna miłość matki — jeszcze żywej.

„Biały dwór“ znalazł entuzyastyczne przyjęcie w całej Europie — i cieszyć się należy, że przyswojony został również i naszej literaturze. Przekład polski niezupełnie jednak odpowiada oryginałowi; za mało widzimy wczucia się w dzieło samo. Styl miejscami jest dość chropowaty, a miejscami mało zrozumiały.

*Cz. Kędzierski.*

Uczestnicy zlotu zjeżdżali się już w sobotę wieczorem, lecz ogół przybył dopiero w niedzielę rano.

Po przywitaniu gości na dworcu kolejowym przez urządzający komitet ruszył pochód do miasta. Na przodzie kroczyły straże pożarne z Oświęcimia i pobliskich okolic ze sztandarami; za niemi szła muzyka Sokoła krakowskiego i śląscy Sokoli w kolumnie czwórkowej ze sztandarem i Sokoli z Królestwa. Pochód zamykał krakowski okręg w kilku drużynach uszykowany pod sztandarem krakowskim z muzyką chłopców ze zakładu ks. Ogińskiej z Bobrka na czele. Gdy pochód wkraczał w ulice miasta w zieleń, chorągwie i emblematy sokole przystrojonego, zagrzmiały z ruin wieży piastowskiej na górze zamkowej wystrzały moździerzowe. To miasto witało swych gości.

Pochód udał się najpierw do kościoła, gdzie odprawił mszę proboszcz ks. Szałośny; na chórze wykonało Koło śpiewackie oświęcimskie kilka pieśni.

Po nabożeństwie przy dźwiękach muzyki ruszył pochód na rynek przed ratusz, gdzie nastąpiło uroczyste powitanie przez reprezentacyę miasta, której imieniem przemówił pięknie druh Gąsiorowski. Po nim przemówił prezes okręgu śląskiego mecenas dr. Seyda z Katowic, dziękując gminie i miejscowemu gniazdu za gościnę, a zakończył okrzykiem na cześć miasta gromko podjętym przez drużyny sokole.

Po tym uroczystym akcie udały się chwackie zastępy na boisko dla odbycia próby ćwiczeń popołudniowych. — Boisko urządzone na jednym z placów targowych, a w koło trybuny festony i chorągwie o barwach narodowych.

O godzinie pierwszej z południa zebrali się uczestnicy na posiłek na sali w hotelu miejscowym. Tu wygłoszono wiele serdecznych mów, tchnących uczuciem radości, że przecież nastała taka jedna chwila, że sobie Polacy mogą bez obawy wszystko to wypowiedzieć, co serce oddawna pragnie, gdy usta milczeć muszą. Przemawiali zatem marszałek powiatu bielskiego dr. Łazarski, witając gości, burmistrz miasta Oświęcimia, pan Śmieszek, druh Kazimierz Srokowski imieniem okręgu dąbrowskiego, druh Szajnowski imieniem okręgu krakowskiego i poseł Korfanty w dłuższej ze znanym zapałem wygłoszonej mowie przypomniał dzieje Oświęcimia. Wszystkie przemówienia tchnęły gorącą miłością do tej naszej wspólnej pracy narodowej. Przyszły i życzenia. Między innemi telegram od prezesa Związku Sokołów w Austryi druha Fiszera, przysłany do gniazda oświęcimskiego tej treści: Na ręce wasze ślemy serdeczne słowa druhom piątego okręgu sokolego i Zagłębia dąbrowskiego: niech znikną granice wobec myśli jednej.

Po obiedzie zaroiło się na boisku. Pociągi popołudniowe przywiozły nowych gości tak, że liczba ogólna uczestników dosięgała kilku tysięcy. Na znak trąbką dany przez druha Ksiekusiewicza z Wadowic rozpoczęły się ćwiczenia. Górnoślązacy popisywali się ćwiczeniami wolnemi, lancami i laskami. Prowadził ich naczelnik okręgu śląskiego d. W. Okręg dąbrowski wystąpił z przepięknym rejem (ozdobny pochód) i ćwiczeniami wolnemi. Przygotowywał ich do tego krakowski Sokół druh Holubek, który na dłuższy czas był tam wysłany przez Sokoła krakowskiego. Krakowscy druhowie popisywali się maczugami, ćwiczeniami na sprzętach i budowaniem piramid.

Ćwiczenia oklaskiwano ze szczerym zapałem a zmrok już zapadał, gdy je skończono. Część też uczestników udała się zaraz na stacyę, aby wracać do domów, lecz dużo jeszcze pozostało, aby na miłej pogawędzie i skromnej zabawie zakończyć ten piękny i pamiętny dzień, z którego tak dużo miłych i serdecznych wrażeń wyniósł każdy z uczestników.

Takie zebranie nie mogło się jednak obejść, bez tego, aby tam nie znalazły się wyżły i gończaki, szukające łatwej zdobyczy i powodów do nowych barbarzyńskich procesów. Władze miasta Oświęcimia starały się temu zaradzić, lecz nie udało się to w zupełności. Za to poradzili sobie Sokoli sami. — Oto podczas obiadu zauważono jakiegoś pana robiącego tajemnicze znaki na mankiecie. Zapytano go wprost, co to znaczy, a gdy dawał wymijające i niejasne odpowiedzi, wzięli go Krakowiacy między siebie, że zaś mają twarde ręce nie robił słodkich min między nimi. Porządnie „ugoszczonego" oddali potem policyi miejscowej.

Lecz nie tylko ten jeden gończak tam być musiał. Opowiadają, że znany na granicy komisarz graniczny z Bytomia p. Mädler prosił niejakiego Kowola, dzierżawcę ogrodu wycieczkowego na Słupnej pod Mysłowicami, renegata Polaka, aby mu się wystarał o kilku ludzi mających zaufanie między Polakami, a chcących pojechać do Oświęcimia na szpiegowanie Sokołów. Obiecał każdemu pokryć koszta podró-

# Z bajek indyjskich.

## O krukach i o sowach.

(*Unikajcie ludzi obłudnych.*)

Swego czasu kruki żyły w ustawicznej z sowami niezgodzie. Krucy oczekiwali zazwyczaj dnia, kiedy to sowy są zupełnie ślepe, napadali je, uśmiercali i pożerali ich ciała. Sowy znowu wiedząc, że kruki nocą nic nie widzą, napadały ich o tej porze i zadziobywały na śmierć. Z tego też powodu walka była strasznie morderczą. Tępili się wzajemnie z coraz to większą zaciekłością i żyli w nieustającym lęku; sowy obawiały się dnia, kruki zaś nocy.

Natenczas wystąpił na widownię młody kruk, cieszący się wśród swoich wielką sławą, jako że był bardzo mądry i przebiegły.

Ów kruk tedy odezwał się do swoich następującemi słowy: Zaiste potężnieje coraz więcej wzajemna nienawiść. Dojdzie w końcu do tego, że wyniszczymy zupełnie plemię nasze, ponieważ wobec takich stosunków niemożliwem jest, aby plemię jedno lub drugie utrzymać się mogło przy życiu i siłach. Powinniśmy przeto obmyślić jaki chytry sposób, którymby jednym zamachem wytępił cały ród sowi; poczem dopiero będziemy mogli żyć w szczęściu i spokoju. Inaczej ród nasz ulegnie zupełnej zagładzie.

— Wspaniale! — zawołali uradowani towarzysze. — Lecz jaki obmyśliłeś sposób, aby wrogów naszych wytępić?

— Kochani przyjaciele — odrzekł na to kruk mądry. — Uderzcie na mnie swojemi dzioby, powydzierajcie mi puch i pióra, i pokaleczcie skórę na karku moim. A ja użyję fortelu, niosącego śmierć naszym wrogom.

Zastosowali się towarzysze do jego życzenia, powyrywali puch i pierze i pokaleczyli skórę jego. Poszarpany, w opłakanym stanie z bolesnym jękiem udał się przed otwór nory zamieszkiwanej przez plemię sowie. Sowa usłyszawszy jęk, wyszła z nory i zapytała go: Twoje rozpaczliwe skargi i jęki mówią mi o strasznem Twojem cierpieniu. — Któż to pokrwawił ci głowę i powydziobywał puch i pióra.

— Cały ród kruczy zapałał ku mnie wściekłą nienawiścią. Aby ratować życie swoje, uciekłem od nich i przybyłem do was.

Sowa, słysząc to, współczuła mu serdecznie i poruszona do głębi jego cierpieniem, pragnęła pielęgnować go. Atoli towarzysze jej poczęli głośno protestować: Oto nasz wróg śmiertelny! Ażali mamy go pielęgnować i kosztem naszym wychowywać wroga i nienawiść jego?

ży i dać po 25 marek. Renegat Kowol napisał o tem do brata swego w Pszowie chcąc go namówić. Ale ten jako uczciwy Polak posłał list niecnego brata posłowi Korfantemu. Będzie miał czem p. poseł wykazać, jakich to środków do gnębienia obywateli używają ci, co głoszą wszędzie, że w ich państwie panują dobre obyczaje.

*Bes.*

---

# Niemcy w Galicyi.

Nie ma wprost człowieka, czytującego pisma, o którego uszy nie obiły się urągania Niemców, wyzwiska i obelgi, jakie pod naszym adresem rzucają. Oszczercze piśmidła niemieckie nazywają nas „eine minderwertige Nation“, o gospodarce naszej wyrażają się z ironią jako o „polnische Wirtschaft“ i jej to przypisują całą biedę, nędzę i upadek, w jakich tkwi i żyje Galicya. Czynią to wszystko z rozmysłem: w ten bowiem sposób winę dzisiejszych złych stosunków galicyjskich chcą ze siebie zwalić, a przenieść na urzędników Polaków. I częściowo to się im udaje: na usługi mają całą nieledwie niemiecką prasę peryodyczną nie tylko w Austryi, ale i w państwie niemieckiem, mogą zatem bałamucić i wprowadzać w błąd opinię Europy, ba, nawet niejednemu Polakowi te ich oszczerstwa nasunęły przekonanie, iż rzeczywiście winni są sami Polacy, którzy nie troszczą się o dobro ogółu, ale dbają jedynie o swoje.

Zwalić ten mur przesądów, wyjawić nagą prawdę, wykazać, komu mamy najwięcej do zawdzięczenia — ma na celu książka, o której chcemy dziś pomówić. *)

J. Sierpniak w pracy swojej przebiega dzieje zaboru austryackiego od czasu objęcia przez Austryę w r. 1772 po r. 1870, wykazując upośledzenia, jakich doznawała Galicya ze strony zaborczego państwa.

W miesiąc po zajęciu Galicyi przez Austryę 16-go października 1772 zniósł rząd zaborczy wszystkie dawne urzędy, cały dawny samorząd narodowy. Wiadomo, że urzędy polskie były obieralne, austryackich mianowano z góry. Od pierwszego tego gwałtu absolutystycznego coraz częściej starano się dać uczuć Galicyi nową władzę. Do podzielonej na obwody Galicyi zleciała się cała chmara niemieckich urzędników, języka polskiego nie znających, a rekrutujących się z nizin społecznych i pozbawionych wszelkich kwalifikacyi na te urzędy, jakie piastowali. Bo urzędnikom chodziło jeno o wyssanie z nowych, zagrabionych poddanych wszelkiego dobrobytu i o obłowienie się pieniędzmi przy tej operacyi. Franciszek Kratter, Niemiec, pisze o tych urzędnikach austryackich, że odznaczali się brutalnością, rozwiozłością i bezbożnością.

Pewnym rodzajem samorządu Galicyi nadanego były to „stany krajowe“, sejmy zwoływane rzadko, na jeden dzień obrad. W skład stanów wchodzili zastępcy szlachty i magnatów. Nie można powiedzieć, aby stany się o dobro kraju nie starały. Ale usiłowania Stanów krajowych, czy to chodziło o uniwersytet lwowski, czy o gimnazya lwowskie, czy o zniżenie podatków gruntowych z powodu nieurodzaju, czy o pozwolenie na założenie towarzystwa kredytowego, czy o język polski w sądach i urzędach, czy o teatr polski, o stypendya i t. d. i t. d. — usiłowania te rząd niweczył. Typowym przykładem niech będzie postępowanie rządu w sprawie takiej: w 1827 „Stany krajowe“ prosiły o zniżenie podatku gruntowego z powodu nieurodzaju. Wiedeń tak sprawę załatwił, że po *dwu latach* prośbie stanów odmówiono!!...

Gorąco się urzędnicy niemieeccy starali o wyniszczenie ekonomiczne kraju. Galicya za czasów Polski była krajem bogatym, tu koncentrował się handel Zachodu ze Wschodem i Północą. W chwili przejścia pod rządy austryackie Galicya wnosiła do skarbu polskiego 3,806,777 złot. polsk., to jest 1903,088 kor. (kor. — 0,85 m.) W roku 1840, w sześćdziesiąt lat po rozbiorze. rząd austryacki potrafił wydusić w jednym roku 53,187,272 złot. polsk. tj 26,593,686 kor. czyli o 25 milionów więcej niż rząd polski.

Wszelkich dróg i środków używano po to, ażeby nie dopuścić do uprzemysłowienia kraju, a wszelkie usiłowania w tym kierunku niszczono. Chodziło o to, ażeby Galicya nie miała żadnego przemysłu, aby tam kupowano wyroby czeskie i niemieckie, aby więc za grosz nasz bogacili się obcy nam i wrogo usposobieni. Przykładów również niemało się znalazłoby. Ot np. w Założcach pozwolono na założenie fabryki, ale prócz podatków kazano właścicielowi płacić ponadto 10,000 guldenów (t. j. blizko 24,000 marek) corocznie!

A gdyby pozwolono na stworzenie w Galicyi przemysłu, mogła była ona stanąć tak wysoko, jak stanęło Królestwo. Tam fundamenty, jakie był położył pod rozwój ekonomiczny Królestwa, ks. Ksawery Lubecki, minister skarbu w Król. kongresowem (1815—30), były tak trwałe, że na nich opiera się dziś jeszcze dobrobyt tego kraju, któremu przyroda poskąpiła tylu bogactw, co Galicyi.

Ale podwaliny pod to kładli Polacy. którym dobro kraju leżało na sercu; dzięki też obywatelom dobrej woli w Polsce powstała Komisya edukacyjna, mająca zreformować szkoły i tchnąć w nie ducha narodowego. Zasady jej były tak szczytne, iż dziś nawet nie są bez wartości, owszem z nich wśród obecnych walk o unarodowienie szkoły polskiej czerpie się wiele. I co rząd austryacki zrobił ze szkołami? Oto w polskim kraju zaprowadza Józef II szkoły ludowe — niemieckie. Posady nauczycieli zajmują Niemcy i Czesi, którzy, nie umiejąc władać językiem polskim, nie mogą się porozumieć z

*) „Rządy niemieckie w Galicyi“. Napisał J. Sierpniak. Cieszyn 1907. Cena 40 grz., str. 123.

---

— Dziś jest on słaby i cierpi bardzo — odparła na to sowa litościwa. Prosi nas o przytułek. Czyż w tym przypadku grozi nam z jego strony jakie niebezpieczeństwo?

Po tem przemówieniu zgodziły się wszystkie sowy na przyjęcie do siebie kruka i zaopiekowały się nim troskliwie.

Po kilku tygodniach ciało jego pokryło się na nowo puchem i pierzem. Kruk, wyrażając obłudnie swoją z tego powodu wdzięczność i radość sowom, obmyślał równocześnie w skrytości dzieło zniszczenia. Zbierał on suche gałązki, zioła i mchy suche i znosił to wszystko do sowiej nory.

— Do czego ma służyć to wszystko? — zapytały zdziwione sowy.

— W gnieździe waszem — odparł kruk — znajdują się tylko zimne kamienie. Gałązki te i mchy mają chronić was przed wiatrem i zimnem.

Sowy uwierzyły słowom jego. Kruk pod pozorem wdzięczności ofiarował im w dalszym ciągu swoją usłużność, spełniał ich wszelkie rozkazy i stał na straży u wylotu ich mieszkania.

W tym czasie spadł nagle wielki śnieg, któremu towarzyszyły wichry mroźne. Wszystkie sowy pospiesznie szukały schroniska w ciepłem gnieździe.

Chwili tej użył przebiegły kruk do swego celu. Coprędzej poleciał do miejsca, gdzie pastuszkowie ogrzewali się przy ognisku; dziobem wykradł palącą się gałązkę i zaniósł ją do gniazda. Ogień zajął w jednej chwili całe gniazdo, a wszystkie sowy znalazły śmierć w płomieniach.

(Z dzieła: *Tsa-ŋ'ao-thsang-king, księga VIII.*)

Tłumaczył *Czesław K...*

rodzicami uczniów i dziatwą, której mają nauk udzielać! Faktem jest, że nauk udzielali niedbale i źle, wychowywali dziatwę gorzej jeszcze, bo szerzyli takie wady, jak donosicielstwo, szpiegostwo itd. Szkoła była nawskroś niemiecka, religii nawet udzielano po niemiecku. Przy historyi powszechnej na kilkunastu kartkach rozrzucili brednie i fałsze, które nazwali historyą polską i tych oszczerstw na dziadów swych i pradziadów, bohaterów narodu i wodzów, kazano się dziecięciu uczyć! A, broń Boże, by jakaś polska książka wpadła do rąk uczniowi! Już to, że książek o zdrowej myśli polskiej nie puszczano przez cenzurę, było powodem słabego rozwoju literatury naszej w Galicyi. Zresztą w kraju cenzura była nader silna, księgarnie bardzo wysoko opodatkowane, trudno zatem było o dobre książki.

Nie przepuszczono nawet jedynej instytucyi, skąd głos polski mógł swobodnie się rozlegać: teatrowi. Kiedy hr. Stanisław Skarbek chciał ufundować teatr polski we Lwowie własnym kosztem, dano mu koncesyę na to pod warunkiem, że obok przedstawień polskich na polski koszt będą wystawiane i sztuki niemieckie.

Jak przeszkadzali szerzeniu kultury w Galicyi, Niemcy, warto przypomnieć ich zachowanie się wobec ruchu abstynenckiego. Dziś ruch wstrzemięźliwości szerzy „Eleuterya“ w Galicyi, „Wyzwolenie“ założone przez ks. Niesiołowskiego w Poznańskiem — ale lat temu ponad 60, bo w roku 1840 już w Galicyi zaczęto zakładać towarzystwa wstrzemięźliwości, do których tysiące się wciągało. A Niemcy? Niemcy tak prześladowali księży i ludzi, te ideę szerzących, że wkrótce brakło sił do pracy.

Chodziło im bowiem o to, aby nigdy w narodzie nie nastała jedność, aby chata z dworem nigdy się nie zbliżyła, aby zawsze istniały między nimi różnice i waśnie. Miał właściciel wioski w czynnościach urzędowych, jak pobór rekruta, podatki itd., do pomocy „mandataryusza“, którego sam utrzymywał. Ale rząd austryacki używał mandataryuszy do podsycania niezgody między ludem a szlachtą, aby sam w czasie walki mógł dla siebie najwięcej skorzystać. Wykorzystał w szatański sposób rząd swą niezgodę i nienawiść klasową, którą rządowi wysłańcy wywołali, w roku 1846.

Kiedy bowiem, podobnie jak w całej Polsce, nie mogło społeczeństwo znieść brutalnych prześladowań, organizowało się w stowarzyszenia tajne, mające na celu uzyskanie niepodległości. Takie stowarzyszenia potworzyły się i w Galicyi, a głównem ich dążeniem była narodowa oświata ludu. — Owocem tej akcyi było przeświadczenie wśród najszerszych warstw o konieczności zniesienia pańszczyzny, takie też żądanie postawiły stany krajowe w roku 1843, ale rząd tej sprawie łeb ukręcił. Aby raz zerwać z siebie tę obrożę niewolnictwa postanowiono w roku 1846 powołać cały naród do walki powstańczej przeciw rządowi. Ale rząd, uprzedzony przez szpiegów, bo na nich znalazło się w skarbie wiedeńskim zawsze sporo grosza, puścił między lud całą sforę podżegaczy, którzy otumanili włościan, że „panowie“ robią powstanie po to, aby pańszczyznę utrzymać. Wynikiem tej zbrodniczej agitacyi była rzeź powstańców, księży, wogóle wszystkich, kto siermięgi nie nosił, w lutym 1846 roku.

Ale i to niedoszłe powstanie było zbożne w skutki. Rząd, zagmatwawszy się w zbrodnicze plany, przeciwko którym oburzył się cały świat cywilizowany, był zmuszony znieść w 1848 roku pańszczyznę po długich a krwawych zmaganiach się w całym kraju i w całej monarchii.

W grudniu 1848 roku mianowano też po raz pierwszy gubernatorem Galicyi Polaka, Agenora hr. Gołuchowskiego, który usilnie starał się podźwignąć kraj z nędzy, w jaką go rząd i urzędnicy austryaccy pchnęli.

Lata od 1848 do roku 1867, to lata walki o konstytucyę dla ludów, cierpiących niewolę pod berłem Habsburgów. A warto pamiętać, że wówczas, kiedy w Austryi rozpoczęło się życie konstytucyjne (1860 r.) stał na czele rządu centralnego Polak, wspomniany już *Agenor Gołuchowski*. Naród mógł więc słać swych przedstawicieli i ich zabiegom zawdzięczać należy, że w roku 1867 zaprowadzono język polski w szkołach, w dwa zaś lata później język polski stał się językiem urzędowym w Galicyi. Odtąd trudno było grasować po kraju zbieraninie niemieckiej, która powoli poczęła kraj opuszczać.

Niemcy jednak nie wyrzekli się swej opieki nad Galicyą. We Wiedniu układają ustawy dla niej ludzie, co nieraz w kraju nie byli, co nie znają potrzeb tamtejszej ludności. I dziś starają się zdusić przemysł krajowy, nie dopuścić do szkoły narodowej, nie zaprowadzają języka urzędowego polskieg na kolejach, poczcie i przy wojsku.

. . . . . . . . . . . . . . . . . .

Książka Sierpniaka to czyn obywatelski. Uważny czytelnik pozna całe zło, jakie idzie z Wiednia, i umocni się w tem przekonaniu, że, jeżeli Galicya ma się rozwijać normalnie, musi być usamodzielnioną, musi mieć swój samorząd, swój sejm we Lwowie.

Książka Sierpniaka da nam więcej: wskazuje na niespożytą siłę narodu polskiego, który mimo takie klęski, dziś w dzielnicy tej się odradza i coraz żywiej do walki stawa; wleje nam otuchę w duszę, da przeświadczenie, że nie zmogą nas prześladowania najkrwawsze, skoro naród cały do obrony stanie, oparty na granitowej podstawie, jaką jest polski lud.

*H. Wierzba.*

---

## Działalność „Koła terytoryalnego“
### w pierwszej Izbie rosyjskiej.

**Warszawa, 28 sierpnia 06.**

Niedawno poświęciłem jeden z mych listów ocenie działalności pierwszego Koła Polskiego w Petersburgu. Obecnie przejść muszę do „Koła terytoryalnego“, czyli zjednoczenia posłów polskich z Litwy i Rusi w parlamencie rosyjskim.

Pomimo, że pierwsza Duma należy już do historyi, echa z występów Kół naszych jeszcze się rozlegają w prasie i społeczeństwie. Świeżo oto zjazd ziemian w Mińsku litewskim zajmował się szczegółowo oceną działalności posłów mińskich w Petersburgu, poddając ich czyny surowej, a zasłużonej krytyce. Obszerne artykuły w tej sprawie zamieściły dzienniki warszawskie, wileńskie i „Dziennik Kijowski,“ najpoważniejszy nasz organ kresowy, stojący na gruncie narodowo-demokratycznym.

Dla braku miejsca, niepodobna powtarzać wszystkich głosów prasy naszej o „kole terytoryalnem.“ Zaznaczę tylko ogólnie, że cała opinia narodowa polska w Królestwie, Litwie i Rusi z przykrem zdumieniem, smutkiem i żalem śledziła występy Polaków z Litwy i Rusi w Izbie rosyjskiej. O ile Koło Polskie (Polacy z Królestwa) i całokształt polityki jego znalazły gorące uznanie w narodowej opinii naszej, o tyle znów wszystkie odłamy tej ostatniej, z różnych punktów widzenia wychodząc, nie szczędzą słów nagany i krytyki posłom litewsko-ruskim. Kreślę poniżej parę swych osobistych uwag, wychodząc ze stanowiska, że Poseł Polak w parlamencie rosyjskim występować winien jako rzecznik interesów narodowych polskich, i za punkt wyjścia uważać jedynie polską racyę stanu. W przeciwnym razie postępowanie jego określić można nazwą tchórzostwa, braku poczucia narodowego, graniczącego z zaprzaństwem narodowem.

Niestety! całe zachowanie się posłów litewsko-ruskich jaknajmniej odpowiada wyż wygłoszonej zasadzie!

Przedewszystkiem pp. Massonius, Skirmunt, ks. Drucki-Lubecki i inni — *nie uważają się wcale za posłów polskich:* są oni posłami białoruskimi, a pochodzenie swoje określają nazwą „białorusinów z kulturą polską". Jako przedstawiciele ludności ruskiej — powiadają oni — nie możemy stać na gruncie wyłącznie polskim. Pytam się jakaż korzyść przyjdzie z ich posłowania dla sprawy narodowej?

I to zasadnicze stanowisko owych panów podziela ogół posłów polskich z krajów zabranych. Potomkowie historycznych polskich rodów wstydzą się bodaj swego pochodzenia polskiego, odpychają od siebie myśl łączności z Kongresówką i w swem znieprawieniu polityczno-narodowem zdają się zapominać o tem, że ludność polska Litwy i Rusi nie jest cudzoziemską, obcą, lecz odwiecznie tubylczą. Żywią lęk niemal względem wszelkiego zaznaczania istnienia w kraju zabranym interesów polskich. Ta dążność jaskrawo się zaznaczyla w treści odezwy, jaką wydali po rozwiązaniu Dumy do swoich wyborców. W odezwie tej nie użyto ni razu słów: polski, Polak. Zaznaczając dobitnie swoją „terytoryalność" żywili złudną nadzieję, że uda im się wciągnąć do swej organizacyi Litwinów, Rusinów i Żydów, gdy tymczasem nie udało się im nawet połączenie wszystkich Polaków z Litwy i Rusi. Nawet wtedy, gdy myśl przyłączenia do siebie żywiołów obconarodowych okazała się fikcyą i do „Koła Terytoryalnego" nie przystąpił żaden Litwin i Rusin, terytoryaliści i wówczas jeszcze się nie zdobyli na przybranie barw polskich. Nie wzięli za podstawę organizacyi swojej interesów narodowych polskich, nie utworzyli drugiego Koła Polskiego, równolegle z Kołem posłów Królestwa, skoro już w żaden sposób się zdecydować nie mogli na połączenie z tem ostatniem.

I skutki tej polityki były opłakane! Koło terytoryalne w jedną całość zorganizować się nie mogło, utworzyło dwie grupy w swem łonie, o składzie nieraz najdziwniejszym, członkowie Koła niejednokrotnie podczas sesyi parlamentarnej przechodzili do innych stronnictw (rosyjskich!). Sam skład Koła był przez to nieustannie zmiennym i nigdy ściśle określić się nie dał. W ostatnich czasach, n. p. z 21 posłów polskich Litwy i Rusi do Koła nie należało 5-ciu, a odezwę do wyborców podpisało tylko 12-tu.

Nie należał wcale do Koła hr. Włodzimierz Grocholski, poseł z Wołynia, człowiek o gorącem poczuciu narodowem. Tego poczucia nie śmiem odmawiać i innym posłom, zbiorowy jednak ich występ wypadł dla sprawy narodowej jaknajfatalniej.

Swej grupie niesolidarnej, zmiennej, o dążnościach najrozmaitszych, nie potrafili zapewnić w Izbie znaczenia i wpływu. Nieliczne Koło Polskie, liczące tylko 34 członków, dzięki swej właśnie solidarności i sile, jaką daje zjednoczenie na wspólnym gruncie narodowym, zostało w Izbie czynnikiem poważnym, branym w rachubę przy wszelkich kombinacyach parlamentarnych; w połączeniu z Polakami Litwy i Rusi stałoby się siłą, zdolną zaważyć mocno na szali parlamentarnej. Zarzut nie wstąpienia do Koła Polskiego jest najsilniejszym z zarzutów, czynionych posłom krajów zabranych przez ich wyborców. Miejmy nadzieję, że nauczone gorzkiem doświadczeniem tamtejsze społeczeństwo polskie w inne ręce złoży kierownictwo swych interesów i od nowych swych posłów zażąda gwarancyi wstąpienia do Koła Polskiego.

Wiadomo, że paru posłów tamtejszych, wśród nich znany poseł Lednicki z Mińska, zasilali szeregi kadetów i podzielali poglądy ich na sprawę rolną. Na zjeździe ziemian w Mińsku czyniono im z tego powodu najsilniejsze zarzuty, a jeden z mówców, Torczyński, posunął się do twierdzenia, że posłowie owi zasługują na wzniesienie im w Wilnie pomnika obok Murawjewa. Istotnie, przeprowadzenie na Litwie i Rusi kadeckiej reformy rolnej dokonałoby tego, czego przeprowadzić nie zdołał ani Murawiew swemi konfiskatami majątków polskich, ani rząd rosyjski swem 40-letniem gnębieniem polskości, kontrybucyami, ściąganemi od obywateli polskich i zakazami nabywania ziemi. Wywłaszczenie według recepty kadeckiej własności większej przyniosłoby śmiertelny cios naszym wpływom i panowaniu w krajach zabranych.

Dwór polski i ziemiaństwo polskie jest tam osią i podstawą polskości. Należy tam do nas 20 tysięcy właścicieli ziemskich. Majątki polskie zaś dają utrzymanie i zapewniają byt tysiącznej rzeszy oficyalistów rolnych: rządców, gorzelanych, ogrodników i ekonomów — wyłącznie Polaków. Dwór polski udziela poparcia również licznym po miastach kupcom i rzemieślnikom polskim.

A więc wielka własność jest na Litwie i Rusi podstawą polskości. Nie należy jednak przypuszczać, by tylko szlachta, mieszczaństwo i oficyaliści rolni w tych krajach byli polskimi: posiadamy tam również kilkaset tysięcy polskiego ludu włościańskiego, rozsianego koloniami aż hen, pod Mińsk i Kijów. Są to zagrody osadników mazurskich, w części zruszczonych, zachowujących jednak religią rzymsko-katolicką, która jest tam zwłaszcza najpotężniejszą dźwignią narodowości naszej. W guberniach wileńskiej i pogranicznej z Królestwem części Grodzieńskiej ludność włościańska polska zamieszkuje wsie zwartą masą i mniej ulega wynarodowieniu, natomiast w Mińszczyźnie i Kijewszczyźnie grozi jej powolne zatonięcie w morzu rusińskiem. Jest najokropniej zaniedbaną pod względem oświaty narodowej: szkoły nie uczą języka polskiego, a nauczanie prywatne aż do ostatnich czasów prześladowanem było surowo.

W ostatnich czasach stosunki te uległy znacznej zmianie na lepsze. Dzięki usilnym staraniom tamtejszego społeczeństwa polskiego powstało i uzyskało zatwierdzenie władz stowarzyszenie o wielkiej doniosłości narodowej „Oświata". Jej zakres działania jest ten sam mniej więcej, co i Macierzy Szkolnej w Królestwie. „Oświata" zakładać ma biblioteki, czytelnie i szkółki polskie dla ludu, łaknącego polskiego słowa i polskiego druku, ma rozpowszechniać polskie wydawnictwa ludowe, tam prawie nieznane i jako relikwiarze bodaj przechowywane.

Dwory i plebanie bezwątpienia zakrzątną się tam do zakładania kół „Oświaty" z tą samą gorliwością, z jaką się społeczeństwo Królestwa rzuciło do rozszerzania „Macierzy Szkolnej." A ta gorliwość, ofiarność i zapał są rzeczywiście podziwu godne!

*Sarmata.*

---

# List Ojca św.

## do

## ks. Arcybiskupa Dr. Stablewskiego.

**Pius Papież X.**

*Czcigodnemu Bratu Floryanowi Arcybiskupowi Gnieźnieńskiemu i Poznańskiemu.*

*Czcigodny Bracie, pozdrowienie i błogosławieństwo apostolskie.*

Że przejmują Ciebie i powierzonych Twej pieczy wiernych utrapienia Nasze, jest to oczywistym dowodem miłości ku Stolicy św. Piotra. Jeżeli więc z wdzięcznością przyjęliśmy świętopietrze, które tak obficie przesłałeś, to tem milszym był Nam dowód miłości, który w niem się uwydatnił. Chcąc Wam według zasługi okazać wdzięczność, modlimy się do Boga, który dziecięcej miłości nigdy bez nagrody nie pozostawia, aby we wszystkiem okazał

Wam się łaskawym. Miło Nam, czcigodny Bracie, iż możemy z tej sposobności korzystać, aby Tobie wyrazić najgorętsze powinszowanie ze względu na szczególną gorliwość, którą Twojemi dyecezyami wzorowo kierujesz. Niech Bóg błogosławi najhojniej Twym pracom i dozwoli Ci coraz więcej wzmacniać wytrwałość w wierze i świętość obyczajów w powierzonej Ci owczarni. Nie wątpimy bynajmniej, że i Ty, — gdyż to zwykle się dzieje, — w wykonaniu swego urzędu biskupiego z trudnościami masz do walczenia. Gorliwość Twoja niechaj jednak stąd się nie zmniejsza, i miej zawsze przed oczyma to, czem się Apostół św. kierował: „Wszystko mogę w tym, który mnie umacnia.“ Niechaj Cię także pociesza i krzepi miłość Namiestnika Chrystusowego, a jej jak również darów niebieskich zadatkiem niechaj Ci będzie błogosławieństwo Apostolskie, które Tobie i wiernym Twoim najmiłościwiej udzielamy.

Dan w Rzymie u św. Piotra dnia 13-go sierpnia R. P. 1906, w czwartym roku Naszego Pontyfikatu.

*Pius Papież X.*

* * *

Ks. Arcybiskup, ogłaszając list powyższy, dodaje:

Szczęśliwym się czuję, że mogę Wielebnemu Duchowieństwu i Wiernym Moich Archidyecezyi zakomunikować powyższy wielce łaskawy dokument Ojca św. Piusa X. Odebrałem go w tych dniach, kiedy z obowiązku pasterskiego przesłałem Jego Świątobliwości sprawozdanie o położeniu obecnem Moich dyecezyi wraz z Świętopietrzem, składanem chętnie, jak zwykle przez ofiarne serca wasze. Niewypowiedziana łaskawość Ojca św. przemawia z tego listu nie tylko ku Mej niegodnej osobie, ale także, ku wszystkim Mi powierzonym owieczkom. Uznanie zaś wyrażone przez Jego Świątobliwość dla trudów i prac Moich pasterskich wielką wdzięcznością przejmuje serce moje tem więcej, że Ojciec św. Sam przygnębiony w obecnej chwili troskami nad miarę o los Kościoła w Francyi, tak ciężko za dni naszych doświadczonego, przesłał Mi słowa pociechy i dodał odwagi w trudnościach Moich. Nie wątpię, Kochani Moi, że ta łaskawość i dobroć Ojca św. dla Waszego Arcypasterza, nie mało także doświadczonego, i ojcowska jego pamięć o naszych dyecezyach, napełni Was również uczuciem wdzięczności i radości, i zjednoczy serca wasze węzłem tem gorętszej miłości i przywiązania do stolicy Apostolskiej. W tym właśnie celu ogłaszam Wam list Ojca św.

Powyższe pismo zechcą Wielebni Rządzcy kościołów w najbliższą niedzielę odczytać z ambon po kazaniu, a mianowicie uwiadomić swoich parafian, że Ojciec św. przesyła im z serca swoje apostolskie błogosławieństwo.

Poznań, dnia 18-go sierpnia 1906.
Arcybiskup Gnieźnieński i Poznański
† *Floryan.*
*Ks. Kaźmierski.*

---

P. S. Listy powyższe podajemy bez żadnych uwag od siebie, uważamy je bowiem za urzędową wymianę słów grzeczności. Z tego powodu też do listów tych nie przywięzujemy żadnej wagi, nie dotykają one bowiem ani słowkiem tych wielu spraw, które tak boleśnie na strunach serc naszych dźwięczą. My wszędzie i zawsze — sami, sami, sami!

---

# Obecne położenie w Rosyi w świetle historyi.

Petersburg, 8/21 sierpnia 1906.

I.

Gdy po rozwiązaniu Dumy obecny prezes ministrów Stołypin uchwycił ster rządu, nie było nikogo w Rosyi, ktoby się łudził nadzieją, iż mąż ten choćby częściowo podoła swemu zadaniu. Zaufanie do rządów carskich, które od roku prawie przyobiecują złote góry a nie dotrzymują niczego, we wszystkich warstwach społeczeństwa zupełnie zanikło. Jest to znanym od dawna środkiem każdego despotycznego rządu, w chwilach krytycznych rzucać w oczy narodowi piaskiem obietnic, a niczego nie dotrzymywać. To też Stołypin zaraz po swem naznaczeniu na prezesa ministrów nie szczędził liberalnie zafarbowanych frazesów. — Zamiarem jego było rzekomo zaprowadzenie niezwłoczne jak najszerszych reform na wszystkich polach społecznego życia. Nikt jednakże nie dawał się złapać na taki dawno zużyty lep, a sam minister pierwszem swem rozporządzeniem jaskrawie pokazał, co on rozumie pod swemi zamierzanemi „reformami“. Jednym zamachem pióra stłumił bowiem wszyskie w Petersburgu i Moskwie wychodzące dzienniki i gazety z wyjątkiem oficyalnej „Rossji“, zupełnie wstecznej „Nowoje Wremia“ i „Moskowskich Wiedomosti“, których redaktor Grinymat jest raczej ciekawym okazem patologicznym, niż człowiekiem własnego przekonania. Oprócz tego pozostawiono wolność dwom w niemieckim języku wychodzącym gazetom petersburskim, a mianowicie „St. Petersburger Zeitung“ i „St. Petersburger Herold“. Te piśmidła, nie mające w kraju najmniejszego znaczenia, nie mają nic wspólnego z obecnym ruchem.

Zabronienie więc wszystkich gazet z własnem politycznem przekonaniem, było pierwszą próbą „liberalizmu“ p. Stołypina. Równocześnie nastąpiły tłumne aresztowania różnych podejrzanych osobistości po całym kraju. W miesiącu lipcu uwięziono przeszło 200 osób. Zebrania dawniejszych członków Dumy wszędzie zostały zabronione lub rozwiązane.

Jakże naród, a przynajmniej te warstwy, które go w Rosyi przedstawiają, zachowały się wobec takiego postępowania rządu?

Z początku zdawało się, że rozwiązanie Dumy pociągnie za sobą niezwłocznie jakiś dotychczas niebywały wybuch gniewu i rozpaczy. Spodziewano się ogólnego bezrobocia i strejku na wszystkich fabrykach, na kolejach żelaznych i pocztach. Tymczasem nic podobnego nie nastąpiło. Być może, iż rząd, tym razem przygotowany i pouczony zajściami w zeszłorocznej jesieni, zawczasu przedsięwziął odpowiednie środki dla stłumienia wszelkiego ruchu rewolucyjnego, jednakże główna przyczyna leży w samej naturze rosyjskiego narodu, w jego lenistwie i bezprzykładnej apatyi. Po raz drugi tak nazwana inteligencya jak najzupełniej zawiodła.

Nasuwa się nam przy tej okazyi myśl, że naród rosyjski w ogóle jest niezdolnym do jakiejkolwiek organicznej pracy w wielkich rozmiarach, a w szczególności do utworzenia potężnego zorganizowanego państwa. Historya rosyjskiego narodu najlepszym jest tego dowodem. Jedyny wielki człowiek a nawet może i geniusz, jakiego Rosya wydała, Piotr Wielki, dźwignął państwo z krwawych zametów średniowiecznego barbarzyństwa i postawił je na podstawę nowoczesnych idei. Zupełnieześrodkowany ustrój, jaki on nadał ówczesnej Rosyi, odpowiadał zupełnie ówczesnemu stanowi jej oświecenia i społecznych stósunków, i żaden historyk nie odmówi założycielowi nowoczesnej Rosyi uznania a nawet i podziwienia. W jaki jednak sposób następcy Piotra I-szego wykończyli jego dzieło i czy nadali temu dziełu ten wygląd i ten kierunek, jakiego ogólny rozwój państw europejskich i duch czasu wymagał. Odpowiedź na to zapytanie brzmieć musi zupełnie przecząco. Nikt z następców Piotra I-szego, ani Katarzyna II, ani Mikołaj I, lub Aleksander II nie pojęli należycie swego zadania. Żyli oni tą błędną myślą, że Rosyi zadaniem i misyą jest zapanowanie nad Azyą i wyparcie islamu z Europy.

**Dla tego całe ich usiłowania skierowane były ku rozszerzeniu granic swego państwa i przyznać trzeba, że Katarzyna II, dosyć zręcznie zamiarom tym** odpowiadała. Czy jednak wewnętrzny ustrój państwa odpowiadał ciągłemu powiększaniu się jego i przyjmowaniu w swe łono coraz to nowszych i odrębniejszych żywiołów, o to nikt nie pytał.

Przez całe dwa wieki, które upłynęły od panowania Piotra I-szego, w wewnętrznym ustroju państwa, w jego organizacyi i administracyi nie zaszła żadna ważna zmiana. Cała maszyna biurokracyi, zupełnie przestarzała i nieodpowiednia, pracowała wprawdzie dalej, lecz już nie dla ogółu, którego poruszać i którym rządzić nie była zdolna, lecz tylko dla siebie samej. To też gdy zastało tę starą i zardzewiałą maszynę takie zdarzenie jak wojna krymska, maszyna ta pokazała się zdumiałemu światu w całej swej hańbie nieudolności i sromocie. *G.*

# Przegląd prasy.

Część prasy naszej w dosadni sposób odpowiedziała na zaczepkę ks. patrona Wawrzyniaka na tegorocznym sejmiku Spółek w Pelplinie. Odezwały się mianowicie w tej sprawie „Lech“ „Dz. Berliński“, „Gazeta Polska“, „Goniec Wielkopolski“ i „Postęp.“

Zdanie nasze w tej sprawie już wypowiedzieliśmy, jest ona atoli tak ważna, tak blisko dotyczy znaczenia całej naszej opinii, że nie możemy pominąć milczeniem, jak i te gazety, które powyżej wymieniliśmy, o niej sądzą.

Sprawa sama przedostała się na światło dzienne dzięki korespondentowi „*Lecha*“, który nie zawahał się poruszyć jej publicznie.

„Lech“ powiada, że nie dałby wiary tej zaczepce, gdyby ks. prałat Wawrzyniak

„po raz pierwszy o gazetach naszych z pogardą się był wyraził.

„Co do drwin z biedy redaktorów odpowiadamy — pisze dosłownie dalej — ks. prałatowi krótko, że dobrze drwić z biedy innych temu, kto pobocznie zarabia rocznie tysiące — od spółek.

Niech ks. prałat Wawrzyniak wreszcie nie myśli, że redaktorzy nie mają nic do sprzedania. Owszem, za brzęczącą monetę mogą sprzedać — swój honor, a za względy — uczciwość dziennikarską. Jeżeli to się u nas nie dzieje, jeżeli prasa nie jest sprzedajna, to społeczeństwo powinno ją za to szanować, a nie darzyć ją pogardą. Niech ks. prałat Wawrzyniak zajmie na kilka tygodni nasze miejsce w czasie, gdy będą się toczyły nieczyste interesy z ziemią, a zobaczy, czy redaktorzy — nie mają co sprzedać“.

„*Dziennik Berliński*“ powiada, że

„pycha i zarozumiałość spowodowały ks. Wawrzyniaka do takiego lekceważenia redaktorów polskich, a szczególnie tych, którzy stanęli w obronie ludu polskiego i ze zaparciem się siebie samych składają ze swego „grosza wdowiego“ ofiary na ołtarzu ojczyzny?

„W tym czasie, gdy ks. Patron zażywał wywczasu na wyspie Korfu, w tym samym czasie niejeden z „biednych“ redaktorów spędzał swe „wakacye“ w ponurych murach więzień pruskich.

„Chrystus powiedział, że „nie można służyć Bogu i mamonie“.

„Niechże tedy i ks. Patron usłucha tego napomnienia Boskiego mistrza, i niech tylko służy Bogu, boć Jego to służbie się poświęcił. Sprawy zaś patronatu i dyrektoryatu niech pozostawi osobom świeckim, które zupełnie tak samo dobrze niemi pokierują, przez to zaś od razu będą wolne aż dwa stanowiska i to dla ludzi, którzy dziś nadaremnie się za kawałkiem chleba oglądają“.

„*Gazeta Polska*“ pisze:

„Zbiorowy protest wszystkich godność i honor swój szanujących dziennikarzy najlepszą, zdaniem naszem, byłby odpowiedzią na lekceważące prasę i redaktorów uwagi ks. Prałata. Byłoby na miejscu, gdyby który z starszych redaktorów w celu przygotowania takiej zbiorowej odpowiedzi zwołał wszystkich redaktorów na wspólne posiedzenie do Poznania. Towarzystwo Dziennikarzy i Literatów na rzeszę niemiecką nie powinno również sprawy tej zmilczeć“.

„*Postęp*“ podchwycił po powtórzeniu korespondencyi „Lecha“ uwagę jego, że ks. prał. Wawrzyniak nie po raz pierwszy zaczepił prasę naszą i przypomina,

„że na zjeździe delegatów w Bazarze w Poznaniu również ks. Wawrzyniak występował przeciwko prasie za to, iż ta gromiła sprzedawczyków i alarmowała społeczeństwo nową zamierzoną sprzedażą. To się nie podobało także ks. Wawrzyniakowi i gorzkie czynił z tego wyrzuty prasie. I wtenczas prasa ks. Wawrzyniakowi dała należytą odprawę. Gdyby nie alarm prasy, chociaż czasami i fałszywy, tobyśmy mieli z dwa razy tyle sprzedawczyków, co dziś ich mamy. Zdrowa opinia jeszcze tylko w prasie polskiej, a mianowicie w tej szczerze ludowej, która się nie ogląda na żadne względy, znajduje swój wyraz. Ks. Wawrzyniak swem lekceważeniem i poprostu swem urągowiskiem chce znaczenie prasy polskiej obniżyć“.

Istotnie, kto uwagi ks. prałata Wawrzyniaka słyszał, takie musiał odnieść wrażenie, na które „Postęp“ ma nazwę „obniżenie znaczenia prasy.“

To też jest powodem, dlaczego o tej sprawie tak obszernie — w osobnym artykule i tutaj w przeglądzie prasy piszemy.

I tak prasa nie zdołała powstrzymać jeszcze w zupełności prądu sprzedawczykostwa. A co się z ziemią i z nami stanie, gdy prasa ta dzięki podobnym występom, jak ks. patrona Wawrzyniaka — jeszcze więcej utraci wpływu?

Zresztą, że prasa ta z uczciwych pobudek, z idealnych tylko względów broni ziemi, na to najlepszy dowód ta osławiona „bieda“ redaktorów.

Tej „biedzie“ jednak bezkarnie urągać nie wolno nikomu!

Mamy nadzieję, że redaktorzy w tej sprawie wystąpią — solidarnie, mimo różnic przekonań i poglądów politycznych.

# Tydzień polityczny.

Nawał wprost spraw polskich, naszych, i to nagłych wymagających natychmiastowego wypowiedzenia się, zniewolił nas do odłożenia w ostatnim numerze przeglądu politycznego do obecnego tygodnia. Wypadków godnych suchego choćby zanotowania namnożyło się tyle, że podajemy je tutaj sposobem tabliczkowym:

*15 sierpnia:* Król angielski Edward VII w odwiedzinach u cesarza Wilhelma. Spotkanie serdeczne — dużo pisania po gazetach — polityczny wynik odwiedzin na razie — żaden.

*16 sierpnia:* Pisma niemieckie donoszą, że *szach perski* nadaje narodowi swemu konstytucyę.

*Z Konstantynopola* depesze, że sułtan ciężko chory.

*17 sierpnia:* „Posener Tageblatt“ opisuje przyjęcie pastora Latrilla z Chodzieży u ks. Bülowa, który zaręcza, że sprawę „kresów wschodnich“ uważa za najważniejszą kwestyę wewnętrznej polityki w Niemczech, i że dotychczasowa polityka jego w tym względzie pozostanie niezmienną.

*18 sierpnia:* Straszne trzęsienie ziemi w *Walparaizo* (Chile — połudn. Ameryka), podobne do trzęsienia ziemi w San Francisco. Niezliczona liczba osób zabita i ranna, miasto zniszczone.

*18 sierpnia:* Minister rolnictwa Podbielski podaje się do dymisyi. Podbielski wiadomo wmieszany jest do skandalów kolonialnych. Pisma humorystyczne pełne są karykatur Podbielskiego i jego żony.

*19 sierpnia:* W Essen w Nadrenii odbywa się t. zw. „Katolicki dzień niemiecki“. Obecni są dygnitarze katolickiego Kościoła w Niemczech i wszyscy znaczniejsi przedstawiciele centrum.

*W Warszawie* dokonano zamachu na *Skałona*. Zamach niestety się nie udał.

*20 sierpnia:* W Marsylii odkryto przygotowania do zamachu na prezydenta Francyi *Fallieresa*, który we wrześniu ma zwiedzić wystawę rolniczą w M. Podejrzanego anarchistę, u którega znaleziono materyały wybuchowe, próżne kule ołowiane do bomb — uwięziono.

*23 sierpnia:* Telegraficzne biuro angielskie Reutera donosi, że cesarzowa *chińska* nosi się z zamiarem nadania Chinom konstytucyi. — Pewnie będzie sprawiedliwsza jak w Prusiech.

— *Kreta*, słynna wyspa grecka, własność turecka dawniej obecnie pod ochroną państw europejskich, zarządzana przez jednego z książąt greckich, ma zupełnie oddana być na własność Grecyi. Niepokoje na Krecie robią widocznie Europie za dużo kłopotu.

Na wyspie amerykańskiej *Kubie* wybuchła rewolucya. Prezydent Kuby przywięzuje do niej mało znaczenia.

*24 sierpnia:* W pismach niemieckich pojawiają się wieści, jakoby w *ministeryum pruskiem opracowywano prawo o wywłaszczeniu Polaków*. Równocześnie pojawiają się pogłoski przeczące.

*25 sierpnia:* Cesarz niemiecki wydał amnestyę, mocą której upadają wszystkie kary nałożone za obrazę majestatu lub członków rodziny królewskiego domu. Pisma niemieckie z amnestyi są bardzo niezadowolone.

*W Petersburgu* dokonano zamachu na prezesa ministrów *Stołypina*. Minister uniknął śmierci cudem prawie. Zamachu dokonano w mieszkaniu ministra. Ofiarą padło przeszło 30 osób zabitych — i tyleż prawie rannych. Pomiędzy rannymi znajdują się także dzieci ministra. — Z obawy przed zamachami podali się podobno wszyscy wyżsi urzędnicy w *Odesie* — do dymisyi.

*26 sierpnia:* *„Dzień hakatystyczny“* odbył się w Malborgu. Nowe przeciwko Polakom knuto tam zamachy. Udział ogromny. Szowinizm niemiecki rośnie w zastraszający sposób.

*27 sierpnia:* Niemcy, znajdujący sie za granicą, skarżą się w „Berl. Tageblacie“, że Rzesza niemiecka nie chroni ich dość energicznie przed gwałtami krajowców. Żądają od cesarza, ażeby w przyszłości energiczniej bronił swoich poddanych. — Polacy, pomimo swej przynależności do tej „największej potęgi“ świata, niejednę na ten temat mieliby skargę. Ale!...

*W Peterhofie*, prawie tuż pod oczami cara dokonano morderstwa na jen. *Minnie*. Zamachu dokonała kobieta.

W ostatnich dniach nic szczególnie ważnego się nie wydarzyło. W Rosyi anarchia, bomby i zamachy. Rząd tymczasem zapewnia, że mimo wszystko stanowiska nie zmieni. By pozyskać chłopów na swoją stronę, zapowiedziano, że rozsprzedanych zostanie między nich kilku milionów mórg ziemi, będącej w osobistem posiadaniu cara i dworu.

W pierwszej połowie t. m. wydał Ojciec św. encyklikę do biskupów francuskich i do katolików Francyi. Encyklika zajmuje w stosunku do prawa i rozdziale Kościoła i rządu stanowisko oporne.

## Z Górnego Śląska.

Od p. *Jana Pyki*, który wmieszany był w proces abstynentów na Górnym Śląsku i za to odcierpiał dłuższą kaźń więzienną, odbieramy następujące pismo:

„Dnia 23 sierpnia opuściłem bramę więzienia pruskiego; przesiedziałem w nim karę długomiesięczną za rzekome przynależenie do „tajnych“ związków, które szerzyły na Górnym Śląsku — wstrzemięźliwość. Posądzono nas o coś zupełnie innego.

Nie sądziłem nigdy, że danem mi będzie cierpieć za zwalczanie marności i znikomości tego świata.

Nasamprzód dziękuję wszystkim dobroczyńcom za udzielanie wsparcia mojej rodzinie i zarazem oświadczam, że *surowa ta kara nie zdolała mnie złamać, ani przerobić na pruskiego Niemca*.

Wiem i pragnę, ażeby *„ona nie zginęła!“*

Opuściwszy więzienie z upragnieniem, podążyłem zobaczyć się z rodziną, usłyszeć głos żony, dowiedzieć się, kto był jej opiekunem, kto podał jej kawałek chleba.

Czułem w sercu radość, że powitam braci moich, siostry, przyjaciół, znajomych — z drugiej atoli strony *ubolewałem, że muszę opuścić kaźń, w której miło mi było cierpieć* za sprawę, która się tylko wrogom nie podoba. Ba, mnie nawet *mury celi mojej się uśmiechały*.

Dzisiaj jestem przekonany, że są ludzie, którzy ze sierotami współczują.

Prawda — jestem na majątku poszkodowany, lecz duch mój osięgnął tem większą potęgę. Utraciłem nawet kaucyę 500 mk., lecz nie zapominam słów wieszcza, że złoto jest znikome — a *my Polacy hartowni być mamy jak żelazo*. *Jan Pyka*)*.

*Zaborze wieś*, dnia 27 sierpnia 06.

Pismo powyższe jest podziękowaniem za składki, jakie zebrały się na rodzinę uwięzionego.

Szczerze się cieszymy, że w panu J. Pyce widzimy rodaka, który na pomoc braci swoich w zupełności zasłużył. Kogo więzienie nie złamało, kto w kaźni cieszyć się umiał, że cierpi za sprawę naszą, kto pragnie, by bracia jego hartowni byli jak stal — ten widocznie jest i dobrym człowiekiem i dobrym Polakiem.

Co przeciwko takim pomogą systemowi pruskiemu — kary? Zrobią z nich tem dzielniejszych szermierzy i obrońców, a w takim razie kar tych nam ani żal, ani szkoda.

## Z Westfalii i Nadrenii.

### W sprawie „Zjednoczenia“

odbieramy od p. Teofila *Wanota*, kierownika biura „Zjednoczenia,“ obszerną korespondencyą, w której się p. W. broni przeciwko zarzutom różnych członków rady nadzorczej tej organizacyi.

Nie odmawiamy słuszności obrony p. Wanotowi, ale sprawa ta dziś już przedawniona. Miesiące minęły od walnego zebrania „Zjednoczenia“. Odnowienie jej mogłoby tylko ponownie zaognić i zaostrzyć przykre stosunki wśród tamtejszych rodaków.

Do tego „Praca“ ręki przykładać nie może, tem więcej, że wątpliwem jest pytanie, czy rozgłaszanie tego rodzaju spraw po pismach sprawie „Zjednoczenia“ przyniesie — korzyść.

Jedno jest pewne, że z tych swarów drwią sobie Niemcy, że skutkiem tego znaczenie „Zjednoczenia“ wśród innych podobnych organizacyi nie rośnie lecz raczej upada, to jest jasne. Pamiętajcie, panowie zwolennicy i reformatorzy „Zjednoczenia“ o jednem, że jesteście organizacyą zawodową, że jako taka niejednokrotnie będziecie musieli wchodzić z równoległemi organizacyami niemieckiemi w układy — n. p. o strejki. Pytamy was, co głos wasz będzie znaczył, jeżeli nie zdobędziecie sobie u nich szacunku i poważania?

Nasze zdanie w tej sprawie jest takie: jeżeli reformy w „Zjednoczeniu“ są potrzebne, to należy je przeprowadzać w *łonie* organizacyi — a

***) Autor prosi pisma mu przychylne o powtórzenie tego listu. Red. „Pracy.“**

**przedewszystkiem kłótni i swarów nie** wynosić przed publiczność, którą to mało obchodzi. To bowiem Zjednoczeniu nic nie pomoże, raczej na pewno zaszkodzi.

. . . . . . . . . . . . . . . .

**W sprawie Świętojózefacia**

odbył się jak donosi „W. Polski“ w ubiegłą niedzielę wiec w Wanne. Chodziło o to, czy ustrój „Świętojózafacia“ pozostawić takim, jakim jest, czy też zamienić „Komitet“ na „Towarzystwo Pomocy Naukowej“. Po dłuższych rozprawach uchwalono „Towarzystwa Pomocy Naukowej“ *nie zakładać*, lecz działać ma i nadal „Komitet dla spraw Świętojózafacia“. Kasyerem tegoż „Komitetu“ obrany został p. Józef Hain z Bochum-Hofstede.

. . . . . . . . . . . . . . . .

**W sprawie księży-Niemców**

a towarzystw polskich donoszą nam, że „na Ludwiku“ w Bruchu w Towarzystwie św. Antoniego przyjęto ustawę, według której ks. Niemiec będzie pierwszym i rzeczywistym prezesem Towarzystwa. Przyznano także księdzu wpływ na wybór zarządu.

Wiadomość to bądź jak bądź bardzo przykra. Spodziewamy się tylko, że tow. św. Antoniego na całą dyecezyę monasterską będzie jedynem, które tak bardzo okazało się uległem wobec księdza, który na jego czele niczem innem nie będzie, tylko — germanizatorem.

Smutne to i bolesne, że wśród członków Tow. św. Antoniego nie znalazł się nikt, któryby spokojnie, bez uchybienia czci duchownej, ale śmiało i stanowczo oparł się żądaniu księdza.

Może to się stać jeszcze, jeszcze członkowie Tow. św. Antoniego mogą — obalić zmienioną ustawę. W przeciwnym razie pisma polskie będą zmuszone przed Tow. św. Antoniego — rodaków przestrzedz.

. . . . . . . . . . . . . . . .

**O założeniu „Sokoła“ w Bruchu**

piszą nam, co następuje:

*Bruch*, dnia 19. 8. 06.

Kochana „Praco!“

Czołem! Wielka radość jest u nas na Bruchu. Najmłodszy „Sokół“ na obczyźnie usłał sobie tutaj swe gniazdo.

„Sokół“, prawda „istniał“ już u nas od dawna. Założyli go tutaj na wiecu panowie Brejscy. Był jednak ten „Sokół“ bez ducha, nie rozpiął skrzydeł do lotu. Brakło nam sali. Teraz dopiero otrzymaliśmy salę od socyalistów. Nikt „Sokoła“ nie chciał przyjąć, cóż więc było robić, kiedy tyle młodzieży woła, ino do „Sokoła“, do „Sokoła“.

Toć zaraz na wstępie w dniu założenia wpisało się 75 druhów. Zebranie to zagaił druh Bręborowicz, dzielny wiarus — sekretarzował na zebraniu tem dh. Sibilski — a kasyerem był dh. Janowski. Wszyscy tu na Bruchu znani dzielni rodacy i patryoci.

Przemawiali druhowie J. Kwiatkowski i Bereszyński z Herne, Błaszak i Jagodziński.

Obecnie po zebraniu z dnia 19-go sierpnia należy do naszego gniazda już druhów 165 — a nie ustaniemy aż nie dopniemy do tysiąca.

Cześć „Sokołowi“, czołem! — druhom z zarządu Bręborowiczowi, Janowskiemu, Sibilskiemu. Pracujcie dzielnie nad rozwojem naszego młodego gniazda. *Młody Sokół.*

. . . . . . . . . . . . . . . .

**W Linden-Hanower**

piszą nam — odbył się dnia 26 sierpnia *wiec sokolski*. Na wiec ten mimo przyrzeczenia niestety nie przybył d. Żmudziński z Kastropu. W miejsce tego opowiadał d. Konieczny, jak to Polska była przedmurzem Europy od nawały tureckiej, a teraz nie wolno Polakowi na własnej roli w Prusiech domu pobudować. Upominał matki, by dzieci chowały po polsku. Przemawiali także dd. Słowik, Paplański, Cichy, Freichel, Jędrkowiak i Tomczak.

Na wiecu tym utworzono także „Towarzystwo Polek“, do którego odrazu przystąpiło 20 Polek. Przewodniczący d. Fiszer zakończył wiec po 2 godzinnych obradach.

## Ruch w Towarzystwach.

* **Poznań:** — *Bractwo Kwestarskie* (Żłobki). Na cel powyższy urządzamy dnia 8-go Września na wzgórzu Św. Łazarza zabawę z programem bardzo urozmaiconym. Jesteśmy przekonani, że ze względu na cel, również jak i na dogodne położenie pięknego ogrodu publiczność zbierze się bardzo licznie, dając tym sposobem dowód sympatyi i poparcia dla Bractwa Kwestarskiego, pracującego od kilkunastu lat dla dobra najmłodszych, najmniejszych i najbiedniejszych.

*Zarząd.*

* **Poznań:** *Pielgrzymka nocna z Poznania do Dąbrówki.* Podajemy do wiadomości, iż z dnia 2-go września o godz. wpół do 10-tej rano odprawi się Msza św. w kaplicy Matki Boskiej Różańcowej w kościele podominikańskim na intencyą wszystkich dobrodziei i dobrodziejków o łaski im najpotrzebniejsze. Przed mszą św. będzie poświęcona nowa chorągiew tejże kompanii. Upraszamy bardzo, aby i inne chorągwie n. p. z dziennej kompanii, także z Towarzystw Katolickich Robotników i Terminatorów raczyły wziąć udział w Mszy św. Chorągiew nowa będzie wystawiona po Mszy św. na sali do obejrzenia.

Kompania nocna wychodzi 7-go września o godzinie wpół do 9-tej na wieczór z Kościoła św. Małgorzaty na Śródce. Biletów do jazdy wozami nabyć można na sali Dominikańskiej. St. Kowalski, przew.

— **Gostyń.** Tutejsze Towarzystwo Przemysłowców i Rzemieślników obchodziło w ubiegłą niedzielę swoją 30 rocznicę istnienia. Uroczystość odbyła się wśród licznego grona gości z Poznania, Śremu, Kościana, Śmigla, Osieczny, Jarocina, Wrześni, Borku, Piasków, Jaraczewa, Koźmina, Górczyna, Jeżyc i Swarzędza. Od początku Towarzystwa do dziś wytrwali następujący członkowie: Ciążyński, Solosman, Badkiewicz i Jankowski. Po uroczystościowem zebraniu, które się odbyło wspaniale, goście raczyli się koncertem w ogrodzie p. Jankiewicza — wieczorem zaś zabawą z tańcami. — Towarzystwu życzymy jak najlepszego rozwoju.

— **Osiek.** (Zach. Prusy): Dnia 26-go sierpnia założono tutaj Towarzystwo flisów, czyli t. zw. przewoźników drzewa. Do Towarzystwa, które ma na celu uzyskanie jak najlepszych stosunków płacy dla swych członków, należeć mogą obok Polaków — także Niemcy. Na wniosek p. L. Formańskiego, redaktora „Pielgrzyma“ zastrzeżono jednakże w ustawach raz na zawsze, że obrady na zebraniach prowadzą się li tylko — *po polsku.* Obecni to zastrzeżenie przyjęli jednomyślnie, głosowali za niem nawet Niemcy. Do Towarzystwa wstąpiło od razu 113 członków. Szczęść Boże.

— **Ostrzeszów.** W niedzielę, dnia 26 go sierpnia odbył się tutaj zjazd kół śpiewackich okręgowych. Miasto było pięknie przyozdobione. Drużyny śpiewacze zbierały się od samego rana na sali Kahlerta. Ucztę śpiewacką rozpoczął Ostrów — polonezem Maszyńskiego. Ostrów też otrzymał pierwszą nagrodę — druga Raszków. W śpiewie brały udział z kół niezwiązkowych, nie mogących się więc ubiegać o nagrody, Grabów i wiejskie kółko z Przygodzic. Ostatnie pod batutą p. Stan. Guzikowskiego nagrodzone zostało prawdziwą burzą oklasków.

Zjazd ten przyczyni się do pobudzenia okręgu naszego do tem gorliwszego pielęgnowania pieśni polskiej. Cześć jej.

## Wiadomości.

* Pierwsza zabawa „Towarzystwa Dziennikarzy i Literatów Polskich“ w Poznaniu odbędzie się w niedzielę dn. 2-go września b. r. w Urbanowie. Zabawa ta rokuje uczestnikom tyle urozmaicenia i wrażeń, że każdy, ktokolwiek jako tako czuje się na siłach, powinien podążyć do Urbanowa, ażeby choć tylko przekonać się: czy to prawda? — Będzie wstępne po 30 fen. Koncert orkiestry Tow. Muzycznego bezpłatnie — gra fantowa, ile kto zechce, używanie zimnych i ciepłych, pieprznych, kwaśnych i słodkich potraw i zakrapianie „gorącymi napojami“, ile kto może. Nie wierzycie? To przekonajcie się sami!...

* **Co na to władze szkolne?** Jak wiadomo narzucono katolickiej gminie szkoły w Gostyniu trzech nowych nauczycieli, a to z powodu rzekomo przeciążenia miejscowych sił nauczycielskich. Warto wobec tego — pisze „Gazeta Polska“ — przypomnieć, że we wsi *Maciejewie* pod Kościanem jeden nauczyciel (Polak) uczy 240 wyraźnie *dwieście czterdzieści dzieci*, a w *Jurkowie* gdzie również jeden nauczyciel urzęduje, uczęszcza do szkoły *180 dzieci!* Komentarze zbyteczne!

* **Sprawa Chrószcza**, który zabił żandarma Rothego w Pszowie, wywołała między pismami polskimi a hakatystycznymi znamienną wymianę zdań. Oto — polskie pisma za „Katolikiem“ stwierdziły, że Chrószcz nie był żadnym agitatorem, że chlubił się orderami swymi, jakie zdobył sobie za odwagę w duńskiej, austryackiej i francuskiej wojnie, jednem słowem, że był to jeden z tych Bartków polskich, którzy za sprawę pruską krew przelewali, którzy z tego dumni byli. I tego Chrószcza doprowadził system pruski do takiej rozpaczy, że zastrzelił żandarma. Natomiast hakatystyczne pisma robią z Chrószcza wielkiego agitatora polskiego. Za zabójstwo żandarma robią odpowiedzialną „wielkopolską agitacyę.“ Że hakatystom zajście w Pszowie musi być paskudnie nie na rękę, to nie dziw. Po potulnym chłopku polskim spodziewali się, że pokornie będzie chodził w jarzmie pruskim, że nawet całować będzie rękę, która go chłoszcze, byle tylko rząd umiał mu wmówić, że wszystko, co się dzieje, to się dzieje dla jego dobra. Chrószcz poczuł to „dobro“ na własnym grzbiecie, którego nie miał gdzie rozgrzać na starość, bo w stodole nie pozwolono mu pieca ustawić, nie mówiąc o pozwoleniu na pobudowanie domu. — Kto tu winien? — Krwi, którą Chrószcz zrozpaczony przelał — nie zmażą potoki atramentu hakatystycznego. Ta krew żandarma i Chrószcza — na wieki pozostanie *na sumieniu hakatystów!*

* **Proces sokołów śląskich.** Wkrótce rozpocznie się przed bytomską izbą karną nowy proces o należenie do „związków tajnych“. Obwinionych jest 12-tu członków „Sokoła“ z Rozdzienia, na Górnym Śląsku. W styczniu r. b. „Sokół“ rozdzieński urządził uroczystość gwiazdkową. Dozorujący policyant, rzekomo z powodu deklamacyi i mów, zebranie rozwiązał, poczem kilku sokołów udało się do innego lokalu. W kilka dni później kilku sokołów zeszło się znowu, aby wypić zakupione już piwo, które zostało po owej nieudałej uroczystości. Ale i to zebranie rozwiązano. W końcu radca policyjny Mädler z Bytomia odbył rewizyę u kilku sokołów i zabrał niektóre pisma, prokuratorya zaś wdrożyła proces.

* **Bankowi Ziemskiemu** w Poznaniu robi korespondent „Lecha“ z Mielżyna straszny zarzut, że dzięki niedbalstwu banku 87 morgowe gospodarstwo w Mielżynie p. Fracha na subhaście dostało się w ręce niepewne, a z tych rąk przeszło na własność — komisyi kolonizacyjnej. — Pomimo iż od korespondencyi „Lecha“ minęły już dwa tygodnie, Bank Ziemski milczy. To znaczy, że przyznaje się do współwiny, że szmat ziemi polskiej we wrogie przeszedł ręce. I to także „bank ratunkowy!“

* **Nowe sprzedawczykostwo.** Niejakiś *Michalski* sprzedał wieś *Kępę*, obszaru 1036 mórg praojcowi hakatyzmu, Tiedemannowi z Klenki. Kępa przylega do Klenki. — Pan Michalski obecnie w „Dzien. Poznańskim“ poszukuje większej dzierżawy i chlubi się kapitałem 70 do 80 tysięcy marek. Judaszowskie to srebrniki. Czy „Dzien. Poznański“ dużo na tem ogłoszeniu zarobił?....

* **Z Wrzesińskiego** donoszą nam, iż właściciel Nowegodworu p. *Czekała*, który kupił przed rokiem owe 550 mórg, wystawiony jest na pokusę sprzedania ziemi komisyi kolonizacyjnej, która mu ofiarowuje sprzęt, inwentarz i 100,000 mrk. „odstępnego.“ Jesteśmy przekonani, iż pan Czekała jako mienny i twardy w polskości obywatel, nie pozwoli się usidlić i dbając o honor rodzinny, kolonizacyi majątku swego nie sprzeda.

* **Na Gościeszyn** — tak donosi urzędowe pismo władzy duchownej — otrzymał prezentę ks. Swinarski. Pisma nasze stwierdzają, że ks. Swinarski dopiero dwa lata jest księdzem, a istnieje prawo, które dopiero po pięciu latach kapłaństwa dozwala na objęcie probostwa. — Starsi koledzy z tego wyprzedzenia ks. Swinarskiego i ze swej przełożonej władzy z pewnością bardzo zadowoleni nie będą.

* **Z miasta** piszą nam: Chciałbym zwrócić uwagę na *Towarzystwo Muzyczne.* Jest to wprost niesłychanem, aby Poznań i wogóle cały zabór pruski nie mógł utrzymać jednej lepszej orkiestry muzycznej, która ma tak wzniosły cel: krzewić pieśń i melodyę swojską.

Niestety Towarzystwo napotyka na każdym kroku na nieprzezwyciężone przeszkody ze strony ogółu i z trudnością tylko może swój byt zachować. A przecież nic ma powodu się uskarżać na złe wykonanie muzyczne orkiestry Towarzystwa Muzycznego. W ostatnim bowiem czasie zrobiło ono tak znakomite postępy, że może zupełnie publiczność zadowolnić. Składa się ocbecnie li tylko ze stałych zawodowych muzyków, którzy poza orkiestrą nie mają żadnego innego zajęcia.

Niestety koncerta orkiestry Towarzystwa Muzycznego świecą rażącą pustką, ale za to po Eldoradach, Wilhelmach i Beelach zasiadają tłumy Polaków, wzbudzając u obcych uśmiech ironii i lekceważenia.

I to wszystko dzieje się w *centrum* ruchu narodowego — w Poznaniu.

O bracie Polaku! Kiedyż nareszcie dźwigniemy się z narodowych wad i narowów? Zastosujmy i to szare, codzienne życie do wymagań idei narodowej. Niech i w Poznaniu zabłyśnie promyk, który oby rozgorzał w jasny, budujący ogień! *Niebora.*

* **Ostrów.** Wieś rycerska *Kwiatków*, 2200 mórg obszaru, włącznie 600 mórg lasu i 150 mórg łąk, dotychczas do hr. Skórzewskiego z Rososzycy należąca, przeszła mocą kupna na własność Domu Bankowego Drwęski i Langner (Marcin Biedermann) w Poznaniu.

Kwiatków, ze względu na kosztowne budynki, okazały dwór w parku itd., nie będzie parcelowanym, lecz sprzedany zostanie tylko w całości.

Zdanie gospodarstwa już nastąpiło.

* **Miłosław.** *Czy to prawda?* Ks. prob. Bogdański, jak piszą „Lechowi“ odmawia rodziców, ażeby nie zakazywali dzieciom odpowiadać na niemieckie pytania religii. — Wiadomość ta jest tak sprzeczną z wszelkiem poczuciem narodowem i religijnem, że nie niepodobieństwo jej wierzyć. Dla tego pytamy się Czytelników naszych miłosławskich: czy to prawda?

* **Z Żerkowa** donoszą bardzo smutne rzeczy o zachowaniu się tamtejszych obywateli. W ostatnim roku coś 80 Polaków z miasta i okolicy przystąpiło do żerkowskiego „kriegerfereinu“. Wszyscy brali udział w ostatniej zabawie „krigerów“. Pochód był okazały — dzięki Polakom, którzy „dumnie“ kroczyli w szeregu. Gorsze jest jeszcze to, że na wspomnianej zabawie palnął pewien urzędnik mowę i nazwał wszystkich Polaków nie należących do „krigerfereinu“ — Lumpen!

Prawie zaś nie chce nam się wierzyć — pisze „Gazeta Grudziądzka“ — korespondentowi, gdy pisze, że do „krigerfereinu“ należy również pewien obywatel, który jest *kasyerem Banku ludowego i rendantem kasy kościelnej*, prócz niego zaś należy do owego Towarzystwa dwóch lub trzech członków Rady nadzorczej! — Oj źle, będzie trzeba Żerkowianom sprawić tęgie — kropidło.

* **Z Bydgoszczy** donoszą nam, że pogrzeb ś. p. ks. *Markwarta* był tak wspaniałym, iż podobnego Bydgoszcz już od dawien dawna nie widział. Wszystko, co żyło, a uczynić to mogło, podążyło, by ś. p. księdzu Markwartowi oddać ostatnią przysługę. Orszak pogrzebowy był długi na jakie dwa kilometry. Konduktowi żałobnemu towarzyszyło mnóstwo księży. Żałobnych mówców było trzech, a na cmentarzu w ciepłych rzewnych słowach pożegnał zmarłego p. dr. Piórek. — Ś. p. ks. Markwart zginął śmiercią nagłą. Bawił u wód w Copotach, skąd pojechał do Swinoujścia, aby tam użyć przyjemniejszej kąpieli. Tam go niestety ku ogólnemu żalowi naszemu zabrała śmierć nieubłagana.

* **W Toruniu** odbył się w czwartek, dnia 23-go sierpnia wiec przeciwko pijaństwu. Wiecowi przewodniczył ks. prob. *Gołębieski* ze Szynwałdu.. — Udział publiczności był bardzo liczny. — Głównymi mówcami byli ks. ks. *Ludwiczak* z Lubasza i *Niesiołowski* z Pleszewa. Przedstawiwszy zgubne skutki pijaństwa, zachęcali zebranych do wstrzemięźliwości i do przystępowania do „Wyzwolenia“, stowarzyszenia w tym celu założonego. Po wiecu zapisało się do „Wyzwolenia“ około 70 osób.

Wiece podobne powinny się odbyć we wszystkich większych miejscowościach, a mianowicie w tych, gdzie pijaństwo głęboko zakorzenione!

* **W Tczewie** założył w niedzielę dnia 19-go ubiegłego miesiąca ks. Wawrzyniak, patron Spółek Zarobkowych Bank ludowy. Wybrano do zarządu ks. Mańkowskiego z Lubiszewa i pp.

S. Warczyńskiego i Stromę. — Nowemu polskiemu przedsiębiorstwu Szczęść Boże!

* **Katowice.** Pierwszy wiec „Straży,“ który się tutaj nie odbył, spowodował mimo tego proces. W przeszłym tygodniu stawali przed sądem ławniczym p. mec. dr. Seyda i pp. Emil i Juliusz Kuźniccy oskarżeni o przekroczenie ustawy w stowarzyszeniach i zebraniach. Rozprawa została jednak odroczoną, ponieważ p. mec. Seyda powołał się na świadectwo burmistrza katowickiego, że miał jego pozwolenie, urządzić zebranie zapowiedziane w oznaczonej sali — ew. w innej. Rzecz ciekawa, jaki sąd wyda wyrok — za winy „nie popełnione.“

* **Bracia Rodacy!** Udaję się do Was z prośbą i mam nadzieję, że mi nie odmówicie pomocy i podacie mi dłoń. Rzecz tak się ma: Księgarz D. E. Friedlein w Krakowie, podarował mi resztę nakładu z mej książki „Blade kwiaty z miejskiej chaty“ tytułem honoraryum.

Buduję domek, a brak mi zupełny funduszu na jego ukończenie, chciałbym więc rozprzedać chociaż sto egzemplarzy, a za otrzymane pieniądze ukończyć domek, abym mógł mieć na zimę swoje gniazdo. Odezwę tę podałem już do „Słowa Polskiego“ we Lwowie i był ten skutek, że rozprzedałem 40 egzemplarzy.

Udaję się jeszcze raz do Was, Bracia Rodacy zaboru pruskiego z tą nadzieją, że mi wielu z Was dopomoże przez kupienie mej książki (2 korony 20 hl.) Zamówienia proszę pod adresem Antoni Rucharczyk Benczyn p. Wielkie drogi (Galicya.) Ufam, że mię nie opuścicie Bracia! Gdybyście Bracia odczuli moją niedolę, nie odmówilibyście mi pomocy!

Wasz
*Jantek z Bugaja,*
włościanin-poeta.

*Od Redakcyi:* Prośbę znanego Czytelnikom naszym poety *„Jantka z Bugaju“*, poety włościanina, jak się sam nazywa, polecamy gorąco Waszej ofiarności. To nie prośba o darowiznę, to prośba o kupno książki, która zawiera bardzo piękne wiersze, których wyboru dokonał ceniony i u nas poeta Jan Rydel. Mamy nadzieję, że zgłoszenia do Jantka z Bugaju popłyną jak najliczniej.

* **Pan dr. Karol Stark**, specyalista w chorobach skórnych i płciowych, wrócił i przyjmuje w mieszkaniu swem przy ulicy Wiktoryi 11.

* **Pan dr. Michał Szulc**, specyalista w chorobach płuc, gardła, nosa i uszu wrócił z podróży i przyjmuje w zwykłych godzinach.

* **Chleb dla swoich.** (Ogłoszenie IX z dnia 24-go sierpnia 1906). Następujący rodacy, dzielni w swym zawodzie, znajdą chleb pomiędzy swoimi: 1) Adwokat (miasto ma 75 000 mieszkańców). 2) Adwokat. 3) 2 lekarzy (Prusy Zachodnie). 4) Stolarz. 5) Szklarz. 6) Kamieniarz. 7) Koszykarz. 8) Garncarz. 9) Cieśla. 10) Dekarz. 11) Kupiec zbożowy. 12) Kupiec materyałów piśmiennych. 13) 2 czeladzi stolarskiej. 14) Księgarz. 15) Kowal. 16) Kupiec strojów. 17) Kupiec żelaza. 18) Uczeń do wyrobów blaszanych. 19) Czeladnik i 2 uczni szklarskich. 20) Szewc.

Bliższych informacyi udzieli Biuro „Straży“ Piekary 13 II.

Adres dr. Tadeusz Jaworski, Poznań — Posen. Uprasza się załączyć znaczek na odpowiedź.

* **Zwracamy** uwagę reflektantom na ogłoszenie, dotyczące *sprzedaży pięknej kamienicy w pewnem mieście Prus Zachodnich.* Właścicielka chora i w podeszłym wieku chce sprzedać pod korzystnemi warunkami rodakowi. Wpłaty potrzeba tylko 6000 marek.

Jak nam donoszą, żydzi i Niemcy mają wielki apetyt na wzmiankowaną kamienicę, więc niech się rodacy zgłaszają jak najspieszniej do ekspedycyi „Pracy“ pod znakiem B. L. i niech nie dopuszczą do tego, aby obcy nabył tę posiadłość.

## Nekrologia.

† Ś. p. *Józef Braunek*, administrator dóbr Rossoszyckich, dnia 23-go z. m. w Poznaniu w 40-ym roku życia. Zwłoki złożono w grobowcu familijnym w Środzie dnia 26-go z. m. R. i p.

† Ś. p. *Julianna Gróšta*, dnia 23-go z. m. w Odolanowie, w 83-im roku życia. R. i p.

Ś. p. *Stefania z Tomickich Skorosżewska*, dnia 27-go z. m. w Poznaniu. Zwłoki złożono w grobie familijnym w Roczkowie dnia 31-go z. m. R. i p.

† Ś. p. *Walerya z Pruskich Brochwicz — Donimirska*, dnia 26-go z. m. w Chełmnie. Pogrzeb odbył się dnia 29-go z. m. w Sztumie. R. i p.

† Ś. p. *Władysława Gołos*, dnia 20-go z. m. w Wybranowie, przeżywszy 23 lata. R. i p.

† Ś. p. *Stanisław Kupsz*, dnia 26-go z. m. w Poznaniu, przeżywszy lat 62. R. i p.

## Nasza ofiarność.

**Na wdowę i młodzieńca, nie mogącego zapłacić szkolnego,** złożyli: pp. O. C. z Poznania 1 mrk; Irena Jewasińska z Wrocławia 3 mrk; Jan Otto z Buku 1,50 mrk; S. S. z Opola 3 mk.

O dalsze datki bardzo prosimy.

**Na Dom Polski w Bochum:** pani A. Łucka z Jaremcza w Galicyi 1 mrk.

**Na głodnych w Królestwie:** p. Jan Otto z Buku 3 mrk.

**Na rodziny skazańców w Gliwicach zebrane 21 mrk. 5 fen. wysłaliśmy dnia 28-go z. m. komu należy.**

## Od Redakcyi.

*Panu Pawłowi Marszałkowi w Lindau — Hanover.* Dziękujemy i prosimy o częstsze doniesienia. Czołem.

*Bezimiennemu autorowi „naszej ziemi“:* Myśl dobra — ale naucz się Pan ortograficznie pisać. Wierz nam Pan, że to łatwiej, aniżeli być — poetą!

# DZIAŁ ILLUSTROWANY.



*Bitwa pod Wolą dnia 6-go września 1831-go roku.*
*(Według starego sztychu.)*

## Przed 75-ciu laty.

### Objaśnienia
**do planu fortyfikacyi Woli,**

zdobytej po bohaterskiej obronie gen. Sowińskiego dnia 6-go września 1831-go r. przez Moskali.
*Zestawił Karol Rzepecki.*

† Kościółek do dziś istniejący zamieniony na cerkiew prawosławną, w którym zginął nieśmiertelny obrońca fortu generał Józef Sowiński z resztką polskiej załogi.

*Historyą walki o redutę*

najlepiej podzielić na trzy oddzielne momenta.

*Moment I.* Generał rosyjski Lüders przypuszcza szturm piechotą rosyjską do bastionu *B;* piechota rosyjska zdobywa bastion, piechota polska cofa się do gęstego lasku *E*, poprzerzynanego na modłę francuskich ogrodów prostemi drogami i szpalerami. Równocześnie uderza generał Martynow z brygadą grenadyerów w miejscu *t* na naczółek głównego bastionu *A*. Po dzielnej obronie Moskale zdobywają bastion *A.*, ale szaniec *ddd* wstrzymuje dalszy ich pochód. Będąc w roku 1905-tym w Warszawie sprawdziłem, iż szaniec ten dziś jeszcze istnieje. Lasek zamieniono na schizmatycki cmentarz (!!).

Generał Berg późniejszy namiestnik Królestwa bierze szturmem bastion *C.* na czele pułku Staro-Ingermanlandzkiego; pułk Nowo-Ingermanlandzki pchnięty przez kurtynę czyli wał w miejscu *i* wkracza do lasku *E;* pułk 11-ty strzelców rosyjskich zostaje przy *o* w asekuracyi 6-ciu armat, których generał Berg używa na ostrzeliwanie posiłków polskich dążących na pomoc reducie z Warszawy.

*Moment II.* Wojska wyżej wymienionych generałów Lüdersa i Berga usiłują zdobyć lasek *E E* wkraczając do niego z dwóch przeciwnych krańcy. Straszna walka na bagnety, w której polska piechota dotrzymuje placu okrywając się chwałą; Moskale ponoszą ogromne straty. Generał Martynow nie mogąc po zdobyciu bastionu A. wtargnąć przez *ddd* do rdzenia reduty, wysyła większą część swej brygady z punktu *X* do *Y* na pomoc Lüdersowi, który lasku żadną miarą Polakom wydrzeć nie może. Po długiej rozpaczliwej a zażartej walce, po otoczeniu i atakowaniu lasku ze wszech stron udaje się nareszcie Moskalom opanować lasek *E E.* Generał hr. Toll ustawia 12-cie armat przy *n.* z rozkazem ostrzeliwania posiłków polskich dążących z Warszawy.

*Moment III.* Bataliony moskiewskie, które zdobyły lasek, przypuszczają szturm do wału *d f.* W tym samym czasie posela feldmarszałek Dybicz, wódz naczelny armii moskiewskiej, kolumnę generała Malinowskiego (Mo-

skala), aby zdobyła wał *m, e;* generał hr Pahlen posela świeżą brygadę z dywizyi Nabokowa do szturmu na *m,* wreszcie posela generał Neidhardt pułk 11-ty jegrów stojący dotąd przy armatach przez bastion *C.* do szturmu na wał *e f.* Batalion Martynowa, który zajął bastion A. zdobywa także szaniec *dd;* resztki polskiej załogi bronią się do ostatka w kościółku póki nie wyginęły lub jako ranne nie poszły w niewolę.

Oto krótki, zwięzły, a przytem wiarogodny opis krwawej walki, jaką stoczono na dwa dni przed kapitulacyą Warszawy o Wolę. Policzmy teraz siły walczących.

Generał Sowiński, któremu na własne żądanie powierzono obronę Woli, miał pod sobą tylko 2000 żołnierza; liczył niezawodnie na to, iż w danej chwili wesprze go głównodowodzący posiłkami polskiemi z pod szańców Warszawy. Przeciwko tym 2000-om nie wystarczającym wcale a wcale na obronę skuteczną tak obszernej reduty wysłał Dybicz 2 brygady Nabokowa (jednę z nich pod Martynowem) jednę brygadę Lüdersa, jednę Berga, jednę Malinowskiego i 11-ty pułk strzelców razem $5^1/_2$ brygady; licząc brygadę po dwa pułki, po dwa bataliony: razem 22 bataliony!! Chociażby bataliony te liczyły wówczas tylko przeciętnie po 600 chłopa to zawsze wypadnie, że najmniej 13,200 Moskali walczyło przeciwko 2000 Polakom, czyli 6-cio rakiej mniejszości! —

Walka o Wolę trwała od godziny 7-mej z rana do godziny 2-giej po południu. Wstyd dzisiaj wyznać w jak nieudolnych rękach spoczywało naczelne dowództwo polskie. Podczas gdy 2000 dzielnego żołnierza walczyło godzinami przeciwko mrowiu moskiewskiemu, nieopodal o 20 minut marszu kilkanaście tysięcy piechoty i jazdy polskiej stało bezczynnie przy rogatkach wolskich, jerozolimskich i na Czystem. Posłano wprawdzie po południu kilka batalionów piechoty na pomoc gen. Sowińskiemu, ale atak ten był spóźniony i daremny, bo armaty Berga i Tolla zagrodziły drogę.

Bądź jak bądź epizod obrony Woli zajmuje w historyi wojska polskiego chlubną kartę; zdobycie tej reduty kosztowało Moskali około 5000 rannych i zabitych, a bagnet polski skąpał się do syta we krwi najezdnika.

* * *

VII.

## Bitwa pod Wolą

dnia 6-go września 1831 roku.

Po bitwie pod Ostrołęką jeszcze nie wszystko dla nas było stracone — mężny żołnierz polski pałał żądzą powetowania klęski, cóż kiedy Skrzynecki i znaczna część jenerałów bić się nie chciała. Skrzynecki zamiast iść wstępnym bojem, rozpoczął układy z Rosyą, Austryą i Prusami. Oj, to oglądanie się na obcą pomoc, to nas zgubiło.

Nakoniec złożono z dowództwa Skrzyneckiego, a wybrano Dembińskiego. Tymczasem w miejsce Dybicza, który umarł nagłą śmiercią podobno na cholerę, objął naczelne dowództwo nad armią rosyjską feldmarszałek Teodor Paskiewicz, pochodzący z Litwy.

Armia rosyjska — pisze M. Wysłouchowa — mając zamiar atakowania Warszawy, podsunęła się pod to miasto w nocy z dnia 5 na 6 września 1831 roku i wśród gęstej ciemności jesiennej otoczyła je ze wszystkich stron.

Armia ta była ogromna: liczyła razem piechoty i jazdy około 83 tysięcy głów i miała 390 armat.

W Warszawie natomiast znajdowało się wówczas zaledwie 33 tysięcy żołnierza. Z tych parę batalionów pozostało w mieście dla utrzymywania porządku. Na szańcach zaś do boju stanęło trzydzieści jeden i pół tysięcy, a więc prawie trzy razy mniej, niż było wrogów. Bitność i bohaterstwo polskiego żołnierza byłyby jednak starczyły za liczbę i odniosły zwycięstwo, gdyby nie fatalne warunki, w jakich walka się toczyła, — gdyby nie przeciwności.

Pierwszą z tych przeciwności był brak dzielnego wodza głównego, któryby mógł był objąć dowództwo nad waleczną wiarą i pokierować mądrze całem działaniem.

Jenerał Krukowiecki bowiem, który przywłaszczył był sobie wszelką władzę, był człowiekiem lichego charakteru, a duszę miał nikczemną, tchórzliwą. To też w dniu walki rozstrzygającej nie pomagał, ale szkodził raczej świętej sprawie.

Drugą przeciwnością, która spowodowała klęskę, było rozpowszechnione wśród wojskowej starszyzny polskiej mniemanie, że nieprzyjaciel zwróci główne siły swoje nie na Wolę, lecz na inne przedmieście warszawskie, zwane Mokotowem.

— Wola — mówili nasi jenerałowie — ma najsilniejsze fortyfikacye, okopy, szańce, reduty, więc wrogowie na nią nie uderzą. Nie zechcą przecież brać wołu od rogów. Mokotów natomiast jest punktem najsłabszym. Więc Moskwa tamtędy wdzierać się będzie. Tam przeto, na Mokotowie, trzeba najwięcej żołnierza ustawić, najlepsze działa dać.

Rachuba ta, niestety, zawiodła! — Nieprzyjaciel zwrócił kolumny ku Woli. A tam garnizon był szczupły, liczył zaledwie 1317 głów, — do skutecznej zaś obrony całego szańca trzeba było conajmniej 4 tysiące piechoty.

Pomimo sił tak szczupłych z naszej strony walka trwała długo, mordercza i bohaterska, bo żołnierz polski umie bronić ojczyzny i za nią umierać, a pięknym przykładem świecili mu niektórzy wodzowie, — w pierwszym rzędzie jenerał Sowiński.

Sowiński miał za sobą chlubną przeszłość rycerską. W 1812 roku, podczas wojny Francyi z Rosyą, bił się walecznie w wojsku polskiem, które dopomagało Francuzom przeciwko wspólnemu wrogowi. W wojnie też dosłużył się rangi podpułkownika artyleryi i utracił nogę, kula nieprzyjacielska urwała mu ją na polu bitwy...

Ani kalectwo jednak, ni wiek podeszły nie przeszkodziły Sowińskiemu walczyć za ojczyznę w powstaniu listopadowem z roku 1831. Młodzieńczy ogień gorzał w jego piersi, a chęć służenia Polsce zdwajała siły. W dniu 6 września sam żądał od wyższej władzy wojskowej, aby mu powierzono obronę szańca na Woli, który był punktem najważniejszym, a zarazem najniebezpieczniejszym. Może przeczuwał w sercu, że to bój jego ostatni, że w dniu tym bohaterska śmierć uwieńczy żywot pełen chwały, bo ci, co widzieli go wówczas, opowiadają, że wyglądał, niby prorok natchniony. Z czarnych jego oczu sypały się iskry zapału, czoło, srebrnym włosem uwieńczone, jaśniało pogodą, wyniosła postać rycerska prostowała się dumnie, śmiało, zwycięzko!

— Jenerale — mówił do sławnego Dembińskiego, który w pierwszych zaraz chwilach bitwy pospieszył na Wolę, aby zbadać jej środki obrony — jenerale, żałuję dziś bardziej, niż kiedykolwiek, mojej nogi, gdyż dzisiaj byłaby się ona najlepiej ojczyźnie przydała. Bądź jednak spokojny: łatwo mnie nie wezmą!

A silnym słowom rycerza polskiego towarzyszył grzmot armatni. Dwieście dział grało i szedł jęk po ziemi naszej, szańce krwią jęły się farbować, śmierć szeroko roztoczyła dookoła panowanie...

Po dwóch godzinach morderczego ognia jenerałowie rosyjscy dali hasło do ataku. — Ura! ura! — brzmią w powietrzu dzikie wrzaski i kolumny moskiewskie, pewne zwycięstwa, rzucają się na nasze szańce, ale tu czeka ich bój zacięty...

Całe kolumny dwóch jenerałów, Geismara i Sulimy, uderzają na szaniec 54, którego broniły jeno dwie kompanie polskie i przez długi czas krwawe bagnety polskie spychają napadających z wałów do fosy. Wdarli

się nakoniec, wydając okrzyk zwycięstwa... Zawcześnie! bo oto w samym szańcu wre bój zażarty... A gdy wszystkie środki obrony zostały wyczerpane, wtedy komendant szańca, Ordon, cisnął zapalony lont w magazyn z prochami i wysadził redutę w powietrze. Wraz z gromadą nieprzyjaciół zginęła



*Wojciech Kossak.* **Sowiński w kościele wolskim.**

i garstka Polaków, ale nie poddała się, nie unizyła przed najezdcą...

Bohaterski ów czyn Mickiewicz uwiecznił we wspaniałym wierszu pod tytułem: „Reduta Ordona“.*)

Chlubną walkę toczy o szaniec 54 Broni go zaledwie stu trzydziestu siedmiu Polaków, uderza nań sześć batalionów moskiewskich, a jednak nikt nie myśli o poddaniu się, o cofnięciu się choćby na krok jeden. Żołnierz polski gardzi śmiercią, walczy do ostatniej kropli krwi, pada ze świętem imieniem ojczyzny na ustach. A kiedy znalazł się młodzieniaszek jakiś, jeden jedyny, co o pardon zawołał, własny oficer szpadą go przeszył, aby przed hańbą ustrzedz.

Ale cóż poradzić mogło bohaterstwo, choćby największe, przeciwko sile przeważnej nieprzyjaciela, zwłaszcza, że inni jenerałowie, prócz Dembińskiego, nie spieszyli, przez zbrodniczą zaiste lekkomyślność, na odsiecz zagrożonej Woli?...

I oto wróg zdobywa, piędź za piędzią, pole bitwy krwią zbluzgane, trupem okryte... Co żyje jeszcze, co uszło bagneta, skupia się pod wodzą mężnego Sowińskiego, za kościołkiem przedmiejskim, który redutę bohatera zasłaniał.

I znowu wszczyna się bój krwawy, rozpaczny — na śmierć, nie na życie!...

Po trupach braci, Sowiński przedziera się wreszcie z garstką swoich do kościoła. Tu zasuwa drzwi: wznosi wał obronny z ławek, sam umieszcza się u stóp ołtarza i mężnie odpiera natarcie wroga.

Ale ostatnia ta walka, a raczej rzeź, krótką zaledwie miała trwać chwilę. Żołnierze polscy padają, jeden po drugim, z piersią przeszytą ostrzem bagnetów. I oto nad ciałami poległych widnieje już tylko wyniosła postać Sowińskiego. Żołnierze moskiewscy, upojeni zwycięstwem, zdziczali od mordu, rzucają się ku niemu i nagle stają, jak wryci. Z twarzy bohatera szedł taki blask niezłomnej walki, że podniesione ramiona żołdaków opadły bezwładnie. Nie śmieli uderzyć.

— Proś o darowanie ci życia. Wołaj: Pardon! — wrzasnął nareszcie któryś z Moskali, odzyskując przytomność.

Po twarzy Sowińskiego przemknął płomień gniewu. On miałby się ukorzyć, prosić o łaskę!...

— Oto masz pardon Polaka! — zawołał z uniesieniem, topiąc żelazo w piers wroga.

Były to ostatnie jego słowa. Runął u stóp krzyża, znaku męki, przebity ostrzem dziesięciu bagnetów...

I śmierć jednak okrutna nie zdołała zgasić w nim rycerskiej wspaniałości. Znać było, że w tych kształtach piękna mieszkała dusza. „Spokojną twarz Sowińskiego, bohaterskie jego rysy podziwiali wszyscy“ — powiada dowódzca rosyjski w raporcie swoim z krwawych walk tego dnia krwawego... **)

*) Wiersz ten zamieszczamy na str. 1348.

# Z życia Ordona.

Dnia 29-go listopada 1896 jako w rocznicę powstania 1830 roku, złożone zostały na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie, w przygotowanym na ten cel pomniku, popioły człowieka, którego imię przekazał pamięci największy z naszych wieszczów w zamieszczonym wierszu „Reduta Ordona“.

Zapewne niejeden, który idąc za poetą, widzieć go zwykł oczyma duszy, w sferach apoteozy niedostępnej pospolitemu oku, ze zdziwieniem się dowie, że ten, tkóry podług podania wy-

**) W sprawie szczegółów śmierci generała Sowińskiego pisze p. mecenas Karpiński z Gniezna co następuje:

Sowiński nie zamknął się w kościele i nie został zakłuty przy ołtarzu kościoła wolskiego, lecz poległ przy dziale, broniąc szańców Woli. Ciało zabitego generała poniesiono do kościoła i złożono przed ołtarzem i z tego powstała barwna, poetyczna legenda o śmierci przed ołtarzem, spopularyzowana przez mistrów słowa i pędzla.

Do przygotowania się na śmierć pozostał wiekopomnym bohaterom Woli, mur kościoła, a za nim samotne działo. Sowiński do ostatniego tchu z kilku kanonierami działo nabija i wystrzeliwa na świtę Paszkiewicza, która w dreszczach leniwiącego się zwycięztwa lornetowała bohaterskie wysiłki obrońców Woli. Oficer rosyjski wywiesza chustkę na szpadzie, wołając, aby się poddali. Sowiński woła do swoich: „ognia do ostatniego ładunku, a potem kolbą i bagnetem.“ Tłum grenadyerów rosyjskich zagniata naszą garstkę ośmaków, przedzierając się do Sowińskiego, który podniesionym z ziemi karabinem odpiera nacierających napastników, aż przeszyty kilku bagnetami, chyli się na armatę; nie mogąc zgiąć drewnianej nogi, przyparł się stojąc, do wysokiej lawety „jak niezłomny posąg na ostatniej drzazdze ojczyzny, a z tak groźnem jeszcze spojrzeniem, że broń okrwawiona zaoobonnie wypadła z ręki grenadyerom, co go zakłuli.“

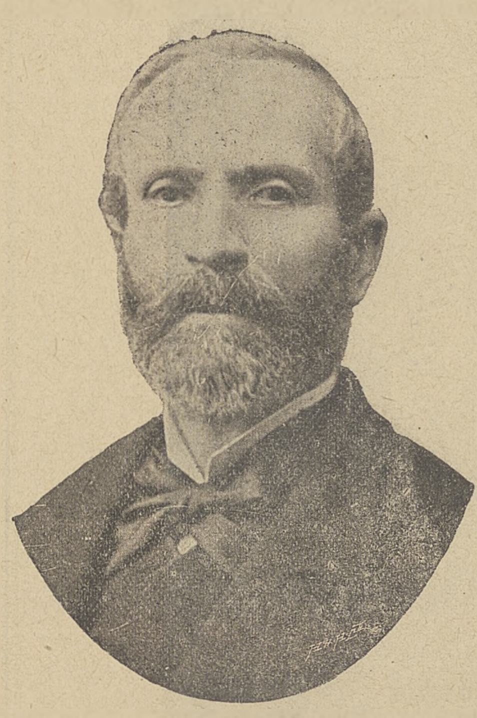
*Gniezno*, 26-go czerwca 1906.

*Antoni Karpiński.*

lecieć miał w powietrze, jako bohater, w czasie szturmu Warszawy — w wysadzonej przez siebie reducie, dziwnem losu zrządzeniem, nie tylko nie zginął w tej pamiętnej chwili, ale żył jeszcze potem długie, długie lata — pracując na różnych polach, ciężko i wytrwale, z myślą o ojczyźnie — i tęskniąc za nią aż do końca życia. Tak — wbrew twierdzeniu: „że co ma ożyć w pieśni zginąć powinno w rzeczywistości“ — ten sam Ordon, który zginął 1831 roku w utworze poetyckim Mickiewicza, umarł rzeczywiście w roku 1887, a więc 56 lat po zdobyciu Warszawy.

W artykule „Reduta Ordona“, przez niego samego napisanym, we Florencyi 1880 roku w numerze 226 „Gazety Narodowej“ 1882 roku wydrukowanym, Julian Konstanty Ordon tak o sobie mówi: „Wziałem udział w rewolucyi 29-go listopada 1830 roku i w wyparciu Moskali z Warszawy. — Byłem w bitwach: 14 lutego pod Dobrem, 19 pod Wawrem, 23 i 25 pod Grochowem, 31 marca pod Dębami Wielkiemi, 10 kwietnia pod Iganiami w pogoni za gwardyami moskiewskiemi, 21 maja pod Tykocinem i Złotoryą; następnie pod Ostrołęką, gdzie byłem ozdobiony krzyżem *Virtuti militari* i posunięty do stopnia podporucznika. Po tej krwawej bitwie ściągnęliśmy pod Warszawę dla zreorganizowania się.

W obronie Warszawy generał Bem objął komendę całej artyleryi. 2 września przeznaczył mnie na komendanta reduty nr. 54, po lewej stronie Woli. Udałem się natychmiast objąć moją komendę i zrobić inspekcyę stanu fortyfikacyi dział i artylerzystów. Ze smutkiem spostrzegłem, iż stan obrony był jak najgorszym, reduta usypana w sześciokąt z ziemi, nie wysłana nawet faszynami i koszami, by zasłonić działa i kanonierów od kul nieprzyjacielskich. Fosy płytkie, palisady w nich słabe, wilcze doły niedokończone. Z sześciu dział żelaznych starych, jeden granatnik nie do użycia — kilkudziesięciu artylerzystów, z samych rekrutów złożonych. Zacząłem też natychmiast mustrę, a szczególniej celowania. Nazajutrz 3-go, generał Bem zwiedzając fortyfikacye, przyszedł do mojej reduty, zrobiłem mu raport z dobytej inspekcyi; odpowiedział mi, że nie pozostaje jak tylko bronić się jak można, że w razie ataku przyjdzie na odsiecz; ale gdyby reduty obronić nie można było, przygotować się — magazyn wysadzić, by się amunicye w ręce nieprzyjaciela nie dostały. Szóstego z rana, gdy zaledwie dnieć zaczęło, patrząc przez lunetę, spostrzegłem jeźdźców konnych od strony wsi Włochy. Byli to kozacy, którzy, jak wiadomo, zasłaniają ruchy wojska moskiewskiego; — kazałem dać parę strzałów, by ich rozpędzić i pokazać, że jesteśmy na baczności. Skoro się lepiej rozwidniało, spostrzegłem linię artyleryi z kilkudziesiąt dział złożonej ku nam idącą. Zacząłem ogień popierany z sąsiednich szańców, ale Moskale, nie bacząc na to, szybko podstąpili pod moją redutę i zaczęli ogień morderczy. W parę minut zdemontowali jedno z dział, ubili i ranili kilkunastu kanonierów —



**Julian Konstanty Ordon.**

ogień też nasz powoli ustawał. Tymczasem piechota moskiewska zupełnie oskrzydliła nas; pomocy obiecanej nie widać było — piechota nasza, która w czasie kanonady leżała pod wałami, by się o ile można zasłonić od kul nieprzyjacielskich, powstała na komendę swych oficerów i zaczęła ogień na piechotę moskiewską; — ale ta stokroć liczniejsza odpowiadała gradem kul, — rzuciła się na redutę, zaczęła się wdzierać na wały, wyparła wrota w tyle reduty i rzuciła się z bagnetem na garstkę naszych; ja tymczasem ku magazynowi, gdzie stał przy drzwiach, z których się po schodach schodziło do tegoż, podoficer — magazynier z lontem, by zapalić sztupiny u drzwi do prochów prowadzące, zbliżywszy się do niego, kazałem przyłożyć ogień, — spuścić lont — i oto buchnął płomień, naraz huk — trzask: — poczem nie wiem jak długo nieświadomy niczego, przychodząc do przytomności, poczułem ból piekielny twarzy i rąk opalonych; powstawszy cokolwiek, słyszę pękanie granatów, a potem cisza... Tak nasi jak i Moskale rzucili się plackiem na ziemię, by uniknąć skorup granatów. Tymczasem wszedł generał komenderujący atakiem, kazał zabębnić odbój i brać nas do niewoli. Rannych włożono na wozy i tak odprowadzono nas do Nadarzyna.

W 1860 roku udałem się do Sycylii i Neapolu do Garibaldego, tam otrzymałem komendę pierwszej bateryi. Po skończonej kampanii, otrzymawszy nowy medal, wszedłem po raz czwarty w stopniu kapitana do armii włoskiej. Tu byłem komendantem fortecy w Ventimiglia, Vinadio, cytadeli w Brescii, w Palermo, nie widząc żadnej karyery przed sobą, podałem się do emerytury, którą otrzymałem w 1872 roku, jako kapitan w stopniu majora. Od tego czasu zamieszkuję Florencyę. Pocieszam się nadzieją, że stan polityczny na Wschodzie może nam coś pomyślnego sprowadzić, i że będę mógł jeszcze oddać usługi krajowi, po blisko trzydziestoletniem doświadczeniu w rozmaitych wojskach.“

Oto relacya krótka, zwięzła, treściwa, z długiego żywota pełnego poświęceń, trudu i tylu zawiedzionych nadziei, — raport żołnierza, co spełniwszy swą powinność schodzi z placówki, jaką mu los przeznaczył, — z gotowością wszakże stanąć do apelu, skoro nań ojczyzna zawoła.

Nie ma tu żalów, skarg i wyrzekań na losy i ludzi, nie ma frazesów i deklamacyi; — czuć tu człowieka, co kończy rachunki ze światem, a którego wzrok wpatrzony „w tę ochronę spokojną gdzie wieczność przebywa,“ jednego tylko dobra pragnie i szuka dla siebie — spokoju.

Spokój! — Zaprawdę po pracy całego życia, — znaleść spokój w 77-ym roku, byłaby to dlań pomyślność aż nadto zasłużona. Ale wśród okoliczności ówczesnych — wśród bieżących spraw Europy, gdzie na hańbę wieku rozpanoszona „siła przed prawem,“ stawszy się dogmatem, zajęła miejsce sprawiedliwości i prawdy, dla Polaka, co był patryotą nie w słowach, lecz w czynie, — był że li możliwym podówczas spokój?

To też gdy mu przyszło wybrać miejsce spoczynku doczesne, nie udał się do Francyi, która przestała nam być siostrą, ale osiadł we Włoszech, za które walczył i zamieszkał we Florencyi. Zanim jednak to się wszystko stało, gdy okoliczności polityczne zmusiły go zawiesić szablę na ścianie emigranckiej izdebki, imał się pracy nad sobą i dla innych.

Trudnił się nauczycielstwem w Anglii, Francyi i Włoszech, a że od młodości był członkiem towarzystwa, którego celem, jak Filaretów w Wilnie, była dobroczynność, wspieranie charakteru i umysłu, z myślą o powszechnem dobru; — więc ta praca po za obozem wypełniała mu w części życie, pomagała dźwigać krzyż swój bez ję-

ku, w spokojnej rezygnacyi i przekonaniu, że musi być i że będzie lepiej.

Łatwo więc sobie przedstawić, jakie to były resztki życia tego człowieka. Stolica kwiatów i sztuki, tak ponętna dla szczęśliwych, nie mogła już mieć dla niego powabu. Cierpiał fizycznie, ale bardziej jeszcze cierpiał



**Pomnik Ordona we Lwowie na cmentarzu Łyczakowskim.**

moralnie. Pogrom zaś Francyi, stanowiąc dziejową w losach świata epokę, nie mógł też nie zakrwawić serca polskiego wiarusa. Sterany wiekiem i pracą, ociemniały prawie i głuchy, samotny starzec, co przeżył zawodów i utrapień tyle, nie poddawał się długo przystępom zwątpienia, czepiając się każdej nadziei, nawet każdego jej cienia... Lecz gdy go doszły wieści z kraju, o tem, czego się najmniej spodziewał: — o upadku ducha, skutku zwykłym nieuwieńczonych powodzeniem wybuchów, o nierzadkiem wyparciu się czczonych dotąd ideałów, apatyi w sferach, które siłą tradycyi były długo wzorem cnót obywatelskich dla innych; o rozdźwięku w pojęciach, braku zgody i warcholstwie tam, gdzie wspólność celów winna skupiać siły; — a z drugiej strony, gdy go dolatywały nieustannie jęki mordowanej Polski i Litwy, to też i nic dziwnego, że ten żelaznej wytrwałości człowiek, któremu poczucie honoru i spełnienie obowiązku od lat młodzieńczych było dewizą życia, przywalony nadmiarem nieszczęść i boleści, w przystępie sromu i oburzenia, zwalił się na łoże i z niego już nie powstał.

Odtąd ze wszystkich życzeń, jakie miał kiedy dla siebie, jedno tylko pozostało: — życzenie śmierci.....

Umarł....

I oto ręka, która przez pół wieku dzierżyła szablę w tylu walkach za prawdę i dobrą sprawę — zwisła bezwładnie na wieki... Wieczność otuliła go spokojem, rzucając mu na usta odblask jakby nie ziemskiego zadowolenia, jakie mają ludzie dobrzy po skończonej pracy i — modlitwie. Ostatni list zawierał prośbę do przyjaciela, by jego popioły odwiózł do Polski i — pożegnanie...

Z przytoczonych szczegółów, któż w nim nie dojrzał pięknej postaci polskiego imienia! Nie podajemy tu szczegółów, jak żył, pracował i cierpiał... Dopełni to łatwo w swej wyobraźni czytelnik, gdy pomyśli, że ten rozbitek nawy ojczystej, który każdej chwili gotów był dać życie za nią, skazany na żywot tułaczy zanim umarł, długie lata przebyć musiał na obczyźnie — daleko od niej... Tułacze — któż bardziej jak „my zabitej Matki dzieci", pojąć zdoła całą gorycz tego słowa!... Toż i nie dziw, że w pamięci serca, że w myślach o domowej strzesze, dźwięczały mu nieraz może te piękne strofy dawnej emigranckiej piosnki:

*Czemu smutek serce tłoczy*
*I zachmurza moją brew?*
*Czemu we łzach gasną oczy?*
*Czemu we mnie stygnie krew?*

*Wszak tu pięknie, bo ten kraniec*
*Jest jak drugi ziemski raj...*
*Ja wiem tylko, żem wygnaniec,*
*A ten piękny — nie mój kraj!*

*Czy poranek świtem płonie,*
*Czy wieczorny pada zmrok,*
*Ja ku Polsce wyschłe dłonie*
*I gasnący zwracam wzrok.*

*Tam kraina ulubiona!*
*Tam i pociech płynie zdrój...*
*Tam została moja żona*
*I maleńki synek mój!*

*Ty, co wskrzeszasz zmarłe ludy,*
*Ty, wszechmocny Boże, daj*
*Znieść tułactwa ciężkie trudy*
*I rodzinny ujrzeć kraj!*

*Chciałbym widzieć moją chatkę,*
*Do rodzinnych wrócić stron;*
*Chciałbym widzieć ojca, matkę*
*I rodzinny słyszeć dzwon...*

Żądania zmarłego, wyrażone w ostatniej jego woli i liście do przyjaciela, zostały spełnione dosłownie. Pan Ludwik Ostaszewski, jakkolwiek zamieszkały daleko od Polski, bo aż w Mesynie, pomimo wiek podeszły, nie zawahał się ponieść ni kosztów, ni trudu, by przywieść prochy Ordona do Lwowa. Stało się to 6-go listopada 1891 roku. W pomniku zaś wzniesionym staraniem miasta i ofiarnością artysty pana Barącza pietyzm rodaków złożył szczątki zasłużonego męża.

*Edward Pawłowicz.*

## Myśli i zdania.

Kto w pierwszym kroku na jeden
włos zboczy,
Nim dojdzie celu tysiąc mil odskoczy.

*Generał Morawski.*

# Reduta Ordona.

(Opowiadanie adjutanta.)

Nam strzelać nie kazano. Wstąpiłem na działo
I spojrzałem na pole — dwieście armat grzmiało.
Artyleryi ruskiej ciągną się szeregi,
Prosto, długo, daleko, jako morza brzegi.
I widziałem ich wodza; — przybiegł, mieczem skinął.
I jak ptak jedno skrzydło swego wojska zwinął.
Wylewa się z pod skrzydła ściśniona piechota
Długą, czarną kolumną, jako lawa błota
Nasypana iskrami bagnetów. Jak sępy,
Czarne chorągwie na śmierć prowadzą zastępy.
Przeciw nim sterczy biała, wązka, zaostrzona,
Jak głaz bodzący morze reduta Ordona.
Sześć tylko miała armat. Wciąż dymią i świecą!
I nie tyle prędkich słów gniewne usta miecą;
Nie tyle przejdzie uczuć przez duszę w rozpaczy,
Ile z tych dział leciało bomb, kul i kartaczy.

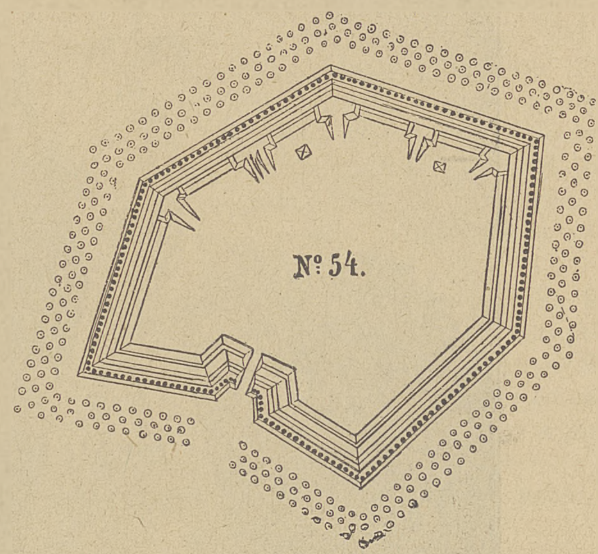
Patrz, tam granat w sam środek kolumny się nurza
Jak w fale bryła lawy, pułk dymem zachmurza;
Pęka śród dymu granat, syk pod niebo leci
I ogromna łysina śród kolumny świeci.
Tam, kula lecąc, zdala grozi, szumi, wyje,
Ryczy jak byk przed bitwą, miota się, grunt ryje,
Już dopadła; jak boa śród kolumn się zwija,
Pali piersią, rwie zębem, oddechem zabija.
Najstraszniejszej nie widać, lecz słychać po dźwięku,
Po waleniu się trupów, po ranionych jęku,
Gdy kolumnę od końca do końca przewierci,
Jak gdyby środkiem wojska przeszedł anioł śmierci.

Gdzież jest król, co na rzezie tłumy te wyprawia?
Czy dzieli ich odwagę, czy pierś sam nadstawia?
Nie! On siedzi o pięćset mil na swej stolicy,
Król wielki, samowładnik świata połowicy.
Zmarszczył brwi: i tysiące kibitek wnet leci;
Podpisał: tysiąc matek opłakuje dzieci;
Skinął: padają knuty od Niemna do Chiwy.
Mocarzu, jak Bóg silny, jak szatan złośliwy!
Gdy Turków za Bałkanem twoje straszą spiże,
Gdy poselstwo paryskie twoje stopy liże:
Warszawa jedna twojej mocy się urąga,
Podnosi na cię rękę, i koronę ściąga,
Koronę Kazimierzów, Chrobrych z twojej głowy:
Boś ją ukradł i skrwawił, synu Wasilowy!

Car dziwi się: ze strachu drżą Petersburczany;
Car gniewa się: ze strachu mrą jego dworzany;
Ale sypią się wojska, których Bóg i Wiara
Jest Car, Car gniewny: umrzem, rozweselim Cara!
Posłany wódz Kaukazki z siłami pół świata,
Wierny, czynny i sprawny, jak knut w ręku kata.

Ura! ura! Patrz, blizko reduty, już w rowy,
Walą się, na faszynę kładąc swe tułowy;
Już czernią się na białych palisadach wałów.
Jeszcze reduta w środku, jasna od wystrzałów
Czerwieni się nad czernią: jak w środek mrowiska
Wrzucony motyl błyska; mrowie go naciska, —
Zgasł: tak zgasła reduta... Czyż ostatnie działo
Stracone z łoża, w piasku paszczę zagrzebało?
Czy zapał krwią ostatni bombardyer zalał?

Zgasnął ogień. Już Moskal rogatki wywalał.
Gdzież ręczna broń? Ach, dzisiaj pracowała więcej,
Niż na wszystkich przeglądach za władzy książęcej!
Zgadłem dlaczego milczy — bo nieraz widziałem
Garstkę naszych walczącą z Moskali nawałem.
Gdy godzinę wołano dwa słowa: pal, nabij;
Gdy oddechy dym tłumi, trud ramiona słabi;
A wciąż grzmi rozkaz wodzów, wre żołnierza czynność;
Nakoniec bez rozkazu pełnią swą powinność,
Nakoniec bez rozwagi, bez czucia pamięci,
Żołnierz jako młyn palny nabija, grzmi, kręci
Broń od oka do nogi, od nogi na oko:
Aż ręka w ładownicy długo i głęboko
Szukała, nie znalazła — i żołnierz pobladnął!...
Nie znalazłszy ładunku, już bronią nie władnął,




**Reduta Ordona.**

I uczuł, że go pali strzelba rozogniona;
Upuścił ją i upadł; nim dobiją, skonał!...
Takem myślił: a w szaniec nieprzyjaciół kupa
Już łazła, jak robactwo na świeżego trupa.

Pociemniało mi w oczach: a gdym łzy ocierał,
Słyszałem, że coś do mnie mówił mój Jenerał,
On przez lunetę, wspartą na mojem ramieniu,
Długo na szturm i szaniec poglądał w milczeniu,
Nakoniec rzekł: „Stracona". Z pod lunety jego
Wymknęło się łez kilka; rzekł do mnie: — „Kolego,
Wzrok młody od szkieł lepszy; patrzaj, tam na wale
Znasz Ordona, czy widzisz gdzie jest?" — Jenerale,
Czy go znam?... Tam stał zawsze, to działo kierował,
Nie widzę... znajdę... dojrzę... śród dymu się schował:
Lecz śród najgęstszych kłębów dymu, ileż razy
Widziałem rękę jego dającą rozkazy...
Widzę go znowu... widzę rękę... błyskawicę,
Wywija, grozi wrogom, trzyma palną świecę,
Biorą go... zginął!... O nie! Skoczył w dół, do lochów..."
— „Dobrze, rzecze Jenerał, nie odda im prochów".

Tu blask... dym... chwila cicho... i huk jak stu gromów!

Zaćmiło się powietrze od ziemi wyłomów;
Harmaty podskoczyły, i jak wystrzelone
Toczyły się na kołach; lonty zapalone
Nie trafiły do swoich panew. I dym wionął
Prosto ku nam, i w gęstej chmurze nas ochłonął.
I nie było nic widać, prócz granatów blasku,
I powoli dym rzedniał, opadał deszcz piasku.
Spojrzałem na redutę... Wały, palisady,
Działa, i naszych garstka i wrogów gromady,
Wszystko jako sen znikło! Tylko czarna bryła
Ziemi niekształtnej leży — rozjemcza mogiła:
Tam, i ci co bronili i ci co się wdarli,

Pierwszy raz pokój szczery i wieczny zawarli;
Choćby cesarz Moskalom kazał wstać: już dusza
Moskiewska, tam raz pierwszy, Cesarza nie słusza!
Tam zagrzebane tyluset ciała, imiona;
Dusze gdzie? nie wiem; lecz wiem gdzie dusza Ordona.
On będzie Patron szańców! Bo działo zniszczenia
W dobrej sprawie jest święte, jak dzieło stworzenia:
Bóg wyrzekł słowo stań się, Bóg i zgiń wyrzecze!
Kiedy od ludzi wiara i wolność uciecze,
Kiedy ziemię despotyzm i duma szalona
Obleją, jak Moskale redutę Ordona:
Karząc plemię zwycięzców zbrodniami zatrute,
Bóg wysadzi tę ziemię, jak on swą redutę.

*Adam Mickiewicz.*

# Katedra Wileńska.

Rozblyskujący w blaskach słońca, złoty krzyż na frontonie katedry, ciągnie ku sobie oczy pobożnych mieszkańców Wilna; ciekawy badacz przeszłości, patrząc na ten przybytek, sięgnąć musi w daleką przeszłość, jeżeli chce poznać koleje, przez jakie ta świątynia w ciągu długich lat przechodziła.

Przed wiekami, ciągnęła się cudna dolina, porosła lasem dębowym tu, gdzie dziś jest plac katedralny, ogród botaniczny i skwer.

Na 50 lat przed założeniem Wilna, bo w roku 1272 książę litewski Swintorog, wzniósł tu ołtarz Perkunasowi, władzcy piorunów, wzniecił wiecznie gorejący ogień święty i tu kazał palić zwłoki książęce.

Od jego imienia, dolina ta „doliną Swintoroga" nazwana, była polem, gdzie się rozegrał niejeden epizod historyczny.

Gedymin w roku 1314 wzniósł na miejscu dawniej bałwochwalni, okazalszą świątynię Perkunasa, gdzie się i inne bóstwa mieściły; nie miała ona jednak dachu, a ocieniały ją olbrzymie dęby, rosnące wokoło.

Świątynia Perkunasa przetrwała 120 lat.

Gdy Jagiełło królem polskim został i chrześciaństwo na Litwę wprowadzać zaczął, pierwsza runęła świątynia Perkunasa w roku 1387 i na miejscu, gdzie stał główny ołtarz, zatknięto krzyż. — Na tych samych fundamentach, Jagiełło zbudował kościół i poprosił papieża Urbana VI o wyniesienie go na katedrę.

Pierwsza ta świątynia katedralna, zupełnie do dzisiejszej nie była podobną, ale rozmiary miała te same.

W prostym, bizantyjskim guście, wszelkich ozdób zewnętrznych pozbawioną była. W środku kościoła pozostał ten sam krzyż, który zatknięto na gruzach pogańskiego ołtarza.

Lat dwanaście tylko istniał ten pierwszy kościół na Litwie, zgorzał wraz z miastem, w czasie wielkiego pożaru w roku 1399. Na jego miejscu Witold wzniósł okazalszy, w stylu germańsko-gotyckim, z licznemi wieżycami; w roku 1407 konsekrował go biskup.

Z legendy wiemy, że przy budowie tej świątyni, zapomniano o umieszczeniu dawnego krzyża na pierwotnem miejscu. Otóż pewnego dnia przybył z prowincyi ksiądz staruszek, wyraził swą radość z odnowienia świątyni, a zarazem wymawiał, że zapomniano o postawieniu krzyża. Ksiądz oficyał nie zwrócił uwagi na słowa staruszka, ale wkrótce potem, biskup Mikołaj, zmożony snem w czasie długiej modlitwy w katedrze, ujrzał nieżyjącego pierwszego biskupa Andrzeja i widział, jak ten wyniósł z zakrystyi duży krzyż, postawił na środku kościoła i znikł. — Gdy biskup o tem widzeniu księżom opowiedział, z opisu postaci domyślono się, że zwiedzający katedrę staruszek i widziany we śnie biskup, byli jedną i tą samą osobą.

Dowiedziawszy się o tem, wielki książę Witold, własnym kosztem zbudował ołtarz na środku katedry i kazał umieścić prosty krzyż, na którym znajdowała się figura Zbawiciela, z kości słoniowej wyrzeźbiona.

Cudem jakimś figura ta ocalała ze wszystkich pożarów, jakie katedrę nawiedzały i do dziś przechowuje się w zakrystyi, na ciemnym krzyżu, noszonym w czasie procesyi Wielkiego Tygodnia.

Kościół zbudowany przez Witolda, był o wiele piękniejszy od dawnego, w dzień i w nocy stał otworem, przed ołtarzami gorzały lampy, a w czasie nabożeństwa wygrywała muzyka. Dzwony wisiały w oknach na facyacie, bo chociaż przed kościołem stała stara pogańska baszta, ale dopiero w roku 1524 budowniczy Annus przerobił ją na dzwonnicę przez dobudowanie kilku pięter.



Pierwsza katedra w Wilnie.

W roku 1530 wszczął się w Wilnie wielki pożar, który pochłonął wraz z większą częścią miasta i katedrę, która przetrwała 130 lat.

Król Zygmunt I, polecił Janowi z książąt litewskich, biskupowi wileńskiemu, zająć się odbudowaniem katedry; w roku 1538 kościół już był gotów do poświęcenia. Roboty prowadził Rzymianin, majster murarski Zenobii. Ta katedra nie miała najmniejszego podobieństwa z witoldowską. W roku 1610 wybuchł w Wilnie okropny pożar, który zniszczywszy miasto, obrócił się na zamek królewski, zrujnował ten starożytny gmach, kosztem ostatnich Jagiellonów odnowiony, i tak uszkodził katedrę, iż dla uniknięcia zupełnego zawalenia się, musiano natychmiast wziąć się do jej restauracyi. Ale roboty szły bardzo wolno i dopiero w roku 1632 biskup Abraham Wojno kościół poświęcił.

Ten nowy kościół katedralny był świadkiem wielu chwil historycznych. Widział on w swych murach najznako-

mitszych mężów, obok tego i wrogów.

Gdy w roku 1654 wybuchła wojna, książę Chowański wziął miasto razem z zamkami.

Zanim wkroczył on do miasta, zdołano zabrać z katedry kosztowności, dokumenty, które wywieziono, jak również i zwłoki św. Kazimierza.

żna było odprawiać nabożeństwa w katedrze i zamknięto ją na lat kilka.

Dopiero w roku 1771 biskup wileński rozpoczął starania o odbudowanie katedry. Z planów podanych sobie, wybrał plan Wawrzyńca Gucewicza, który też zaraz zabrał się do przebudowania katedry.



**Katedra Wileńska.**

Sześć lat zajmował zamki; obdarto katedrę ze wszystkiego, co się tylko wziąć dało, w kościele konie trzymano.

W roku 1660 Michał Pac, miasto odzyskał, ale zamki pozostały półtora roku jeszcze w rękach nieprzyjaciół, którzy zaciągnąwszy działa na górę Zamkową, strzelali przedewszystkiem do katedry.

W końcu wróg zgnębiony został, ale katedra zawalona była gruzami.

Najmniej ucierpiała kaplica św. Kazimierza, dokąd wkrótce napowrót relikwie św. Kazimierza przeniesiono.

Mularzowi Janowi Salwadorowi powierzono restauracyę katedry.

Inwazya Szwedów, w roku 1702 i 1706, nie wyrządziła katedrze wielkich szkód, za to pożar w roku 1741 dotkliwe szkody w niej poczynił.

Biskup Zienkowicz zabrał się do jej odbudowania, gdy niespodziewanie nowe nieszczęście spadło na tę świątynię. W czasie straszliwej burzy, jaka szalała nad Wilnem, zebrało się kilka osób w kaplicy Matki Boskiej Częstochowskiej.

Gdy ksiądz w asystencyi wchodził dla odprawienia nabożeństwa, rozległ się huk okropny i wieża zegarowa nad kaplicą runęła, wraz ze sklepieniem.

Pośpieszono na ratunek, ale wyciągnięto z pod gruzów tylko trupy. W drugiem jeszcze miejscu zawaliło się sklepienie, przygniatając paru księży.

Wobec takich okoliczności, nie mo-

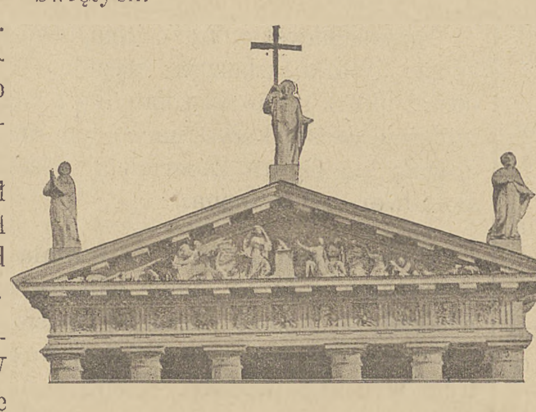
Obecnie katedra stoi przy północnej stronie obszernego placu, i przy tyłu do pięknego skweru, założonego na miejscu, gdzie stał dolny zamek królewski.

Kościół zbudowany z cegły, z wyjątkiem kaplicy św. Kazimierza, która jest z piaskowca.

Ma kształt wydłużonego czworoboku, z wystającemi na rogach czterema budowlami, od południa kaplica św. Jana Nepomucena, od tyłu kaplica św. Kazimierza, od północy kaplica św. Władysława i zakrystya.

Wystające te budowle, łączą się krytemi galeryami, z których każda posiada sześć kolumn, stojących na wysokiej podwalinie.

W głębi galeryi, w bocznych ścianach kościoła, w 14-tu niszach stoją posągi gipsowe. Po prawej stronie posągi królów, po lewej — posągi świętych.



**Szczyt frontonu katedry z płaskorzeźbą i figurami ś. Heleny, ś. Stanisława i ś. Kazimierza.**

Od frontu znajduje się okazały portyk na podmurowaniu; sześć greckodoryckich kolumn, podtrzymuje sklepienie.

Nad kolumnami, na samym froncie, jest sztukaterya, z wapna, gipsu i tłuczonego marmuru, wyobrażająca pierwszą ofiarę Noego, po wyjściu z arki.

Jest to dzieło sławnego Righiego, profesora akademii św. Łukasza w Rzymie. Nad portykiem, już na dachu, wznoszą się trzy bardzo wielkie posągi, obite blachą i malowane na kolor kamienia.

Po środku św. Helena trzyma wielki krzyż, obity blachą, grubo w ogniu złoconą, na lewym rogu św. Stanisław, na prawym — św. Kazimierz.

Nad kaplicą św. Kazimierza i zakrystyą, są kopuły z renesansowemi latarniami.

*Emilia Węsławska.*

(Ciąg dalszy nastąpi).

## Mali bohaterowie.

Kto czyta pisma nasze, temu po ostatnich wiadomościach o cierpieniach dzieci za to, że nie odpowiadają na nauce religii po niemiecku, mimowoli zakręci się łza bólu w oku.

To dzieci jeszcze — a znosić muszą prześladowania. Za co? — tylko za to, że ich rodzice są Polakami, że są dobrymi katolikami, że nie chcą, ażeby szkoła dusze ich dzieci niezrozumiałą nauką wypaczyła.

Wiadomo, że ta nauka niemiecka religii po szkołach miejskich oddawna już jest zaprowadzona — ale nie wiadomo może jeszcze ogólnie, że od dawna też już trwa opór przeciwko tej nauce.

A jednak tak jest. Na dowód podajemy doniesienie jednego z ojców, który pisze nam, że syn jego już od 1900 roku nie odpowiada na niemieckie pytania. Pisze ojciec ów między innemi:

Od roku 1900 musi syn mój chodzić trzy razy tygodniowo na areszt szkolny. Do obecnego roku musiał pozostać w trzeciej klasie. Gdy bowiem od roku 1900 rozpoczął nie odpowiadać na niemieckie pytania, a na Wielkanoc miał świadectwo tak dobre, że mógłby był razem z innymi do wyższej przedostać się klasy, pozostawiano go zawsze w tej samej klasie. Na dowód przesyłam Wam dokument — list

p. inspektora Schulza, który mi pisze, że

„ponieważ syn mój Leonard stale odmawia odpowiedzi niemieckiej w nauce religii, musiał i w tym roku zostać cofnięty z drugiej do trzeciej klasy“.

W liście tym dodaje inspektor pogróżkę, że „syn mój będzie musiał do szkoły uczęszczać *rok dłużej*, jeżeli oporu swego nie zaprzestanie“.

Otóż nie zaprzestanie — za to ja ręczę.

Dziwi mnie jednakże, że w tym roku syna mego już przenieśli do drugiej klasy, choć oporu nie zaprzestał. Natomiast dziwnym zbiegiem okoliczności zaginęły jego świadectwa i nie mogę ich się doprosić u p. rektora.

U nas w Miłosławiu są rodzice bardzo chwiejni i nie pozwalają na to, ażeby dzieci nie uczyły się religii po niemiecku. Dzieci same mówią, że oneby się nie uczyły — ale rodzice im każą.

Tu w Miłosławiu są t. zw. „psie dnie“, t. j. takie, w których dzieci oświadczają, że nie będą uczyć się religii po niemiecku — a potem znowu ulegają.

Tak też było w ostatnich czasach. Wszystkie dzieci się uczyły z wyjątkiem mego syna. Nauczyciele potulnością dzieci tak byli uradowani, że nawet i syna mojego zwolnili z aresztu.

Aż tu znowu dziś (list datowany jest z dnia 22-go sierpnia 1906 r.) trzy dziewczęta przestały odpowiadać na niemieckie pytania w religii. Zaraz też syn mój musiał odsiedzieć 2 godziny aresztu i otrzymał nakaz, ażeby odtąd *codziennie na dwie godziny do aresztu przychodził do szkoły.*

Dołączam obrazek mego syna, który rzeczywiście jest męczennikiem za



**Wnętrze katedry Wileńskiej.**
(patrz artykuł „Katedra Wileńska.“

wiarę; który cierpi za to, że woli rodziców słuchać aniżeli nauczycieli.

Z poważaniem
*Józef Grandke.*

Tak nam pisze znany w Miłosławiu ze swej gorliwości w służbie wiary i sprawach narodowych ojciec i zaklina się na zbawienie, że „nie przemogą go w tym oporze przeciwko niemieckiej nauce religii ani bramy piekielne.“



**Leonard Grandke**
**z Miłosławia, który od 1900 r. nie odpowiada na niemieckie pytania w religii. Zaprawdę — mały bohater!**

Oby i inni rodzice zechcieli pójść za tym przykładem. A dzieci w tak twardej wychowane szkole, dzieci, które cierpieniem okupić będą zdolne swoje względem rodziców posłuszeństwo, te dzieci zapewne wyrosną z małych — na wielkich bohaterów, zdolnych obronić święte skarby wiary i narodowości naszej. *Redakcya.*

# *W szumie brzóz.*

*W szumie brzóz i ptasząt głosie*
*Pieśni płyną z mojej duszy,*
*Po dąbrowie rannej rosie*
*Płyną... nic ich nie zagłuszy.*

*I w dal płyną piosnki moje,*
*Rozlegają się wokoło,*
*I rzucają blasków zdroje,*
*A mnie cudnie i wesoło...*

*Wszystko zlewa się w czar jeden:*
*Pieśni moje i brzóz szumy,*
*I czarowny tworzą Eden,*
*I czarowne tworzą dumy...*

*Coraz głośniej brzmią te pienia,*
*Głośniej szumią brzozy z niemi...*
*W oczach świat się w raj zamienia...*
*Czym ja jeszcze tu — na ziemi?...*

*Wnet popłynę pieśni torem*
*I polecę hen, tam do nich;*
*I na skrzydłach mknąc nad borem*
*Będę słuchał, jak pieśń dzwoni...*

*Będę słuchał na te pienia,*
*Na te głosy, czyste, jasne*
*Aż z rozkoszy, rozrzewnienia*
*Ich zaklęty czarem — zasnę...*

R. 8. 7. 1906. Ego.

# Z dymem cygara.

Autor staroświeckiej piosenki pod tytułem powyższym, który śpiewał niegdyś wesoło: „z dymem cygara kończą się wszelkie me utrapienia“, nie przeczuwał z pewnością nieubłaganej walki, jaką wypowiada dzis nauka owym „błękitnym kółeczkom“, które jemu tyle rozkosznych nasuwały marzeń. Dziś utrapieniem prawdziwem dla palących stały się głosy ostrzegające, które zatruwają im „niewinną“ przyjemność, ukazując złowrogie jej skutki. Nawet ci, co nie potępiają stanowczo

tytoniu, nawołują do ostrożności, do reformy w paleniu.

Jednym z takich właśnie pobłażliwych i wyrozumiałych na słabostki ludzkie jest dr. Leonard Furst, profesor uniwersytetu lipskiego.

Dr. Fürst zaznacza najpierw, że tytoń, po dni nasze nie był nigdy poddany metodycznym badaniom laboratoryjnym — dalej, że on sam podjął z nim szereg prób i doświadczeń, i że wedle wyników otrzymanych wolno mu dzisiaj utrzymywać, co następuje: Potępienie palenia tytoniu, jako nałogu szkodliwego zdrowiu bezwzględnie, jest w równej mierze nieusprawiedliwione, jak niedorzeczne.

Nieporozumienie wynika głównie stąd, że za jedno mamy następstwa używania tytoniu z następstwami, jakie wywiera na organizm ludzki nikotyna, pierwiastek wielkiej w istocie szkodliwości, zwłaszcza przy nadużywaniu go, jak to ma miejsce w naszych czasach. Niegdyś palono albo w samotności, albo w kółeczkach bezwarunkowo poufnych, a zawsze w pewnych wyjątkowych godzinach, przy oględności i zachowaniu możliwej elegancyi. Na ulicy palenie fajki było wzbronione w wielkich miastach, jak Londyn i Berlin, gdzie kary za przekroczenie tego zakazu nakładano znaczne. Nie było też dzisiejszych ułatwień pod postacią cygar i papierosów, palenie wymagało więcej zachodu, musiało zatem koniecznie być rzadszem i mniej powszechnem. Dziś nałogowy palacz podkopuje potężnie swój system nerwowy, psuje aparat trawienia przez zbyteczne wchłanianie nikotyny, dochodzi powoli do bezsenności, bólów głowy, peryodycznych ataków migreny. Tacy niepowściągliwi tracą pamięć stopniowo i przygotowują się systematycznie do paraliżu częściowego lub zupełnego. O tem wszystkiem przekonywa się lekarz, badając przez stetoskop serce człowieka palącego dużo. O płucach jego można także powiedzieć wiele, bo w istocie odmawiają one powoli swoich usług, dopóki ich nie odmówią zupełnie. Zresztą przekonano się o szkodliwości samej nikotyny, dając jedną jej kroplę do zażycia wielkiemu psu najsilniejszej rasy — rasy nowoziemskiej: w ciągu 60 sekund zwierzę żyć przestało.

Doktór Fürst przytacza przykłady spotykanych w jego praktyce lekarskiej nadużyć tytoniu, mówi o sposobie traktowania tego rodzaju cierpiących, a w końcu podaje, że w laboratoryum swojem dokonał analizy 96 gatunków tytoniu, pochodzącego z różnych krajów. Maksimum nikotyny zawierał jeden gatunek 3,37 proc. na 100 — minimum 1,12 proc. Przekonał się też, że im cygaro jest lepsze, tem mniej zawiera owej substancyi trującej.

Cygara wyborowe z tytoniu Portoriko mają procent nikotyny najwyżej 1,20 na 100, podczas gdy użyty na cygara tytoń niemiecki pospolity, ma tej trucizny od 2,13 proc do 2,36 na 100. Wnioski ogólne, jakie wyciąga ze spostrzeń swoich dr. Fürst są następujące:

Tytoń szkodliwy jest przedewszystkiem dla tych, którzy palą gatunki niskie — dalej dla tych, którzy paląc, żują cygara a przez to zatruwają błony jamy ustnej. Ponieważ przy procesie palenia nikotyna gromadzi się z tyłu tej masy tytoniu, która się spala, przeto im dalej posuwa się ten proces, tem pozostała w ustach część cygara zawiera więcej substancyi zatruwającej. Winien też wiedzieć profan, że koniec cygara, ten właśnie, który wydaje woń najmniej przyjemną, zawiera zapas trucizny zdrowiu ludzkiemu najprzeciwniejszej. To samo można powiedzieć o kończącym się papierosie i resztkach tytoniu, dopalającego się na dnie fajki.

Wniosek jedyny, jaki się stąd wyprowadzić daje, jest, aby nigdy nie palić do końca. Pewnik też zdaniem tego lekarza stanowi, że papieros jest mniej hygienicznym od cygara i fajki, albowiem tlący się papier wydziela tlenek węgla zarówno nieprzyjazny płucom, jak oczom. Wystrzegać się radzi pozostawania w pokoju napełnionym dymem tytoniu.

To też nim wejdzie w życie środek zapobiegawczy dra Gerolda, który zaleca poddawanie tytoniu reakcyi chemicznej dla oswobodzenia go od zawartości nikotyny, uczony lipski każe przestrzegać przynajmniej zaleceń następujących:

1) Palić tylko tytonie lekkie.
2) Używać tylko dobrych cygar.
3) Niedopalać nigdy cygar do końca — to samo stosuje się do papierosów.
4) Zgasłego cygara lub papierosa nie zapalać powtórnie.
5) Nie siedzieć w pokoju, który zapełniają chmury dymu.
6) Nie żuć w ustach końca cygara.
7) Używać do cygar i papierosów cygarniczek, w których pożądanem byłoby umieszczenie bawełny czystej.

U siebie w domu palić tylko fajkę na długim cybuchu.

Do zaleceń owych, które tu przytaczamy ku twemu pożytkowi, nałogowy palaczu współczesny, racz stosować się ściśle, bo w przeciwnym razie będziesz kiedyś śpiewał, zamieniając wesołą piosenkę w smutną skargę: „Z dymem mojego cygara uleciało zdrowie moje“

# Historya cukru.

P. Bertoni, dyrektor instytutu agronomicznego w Assuncion w Paragwaju, zbadał niedawno i opisał roślinę, rosnącą na północy tego kraju, a odznaczającą się zawartością wielkiej słodyczy. Ludność miejscowa nazywa ją Caahee, Arucacca, lub wreszcie Ciracaa, co oznacza, roślina słodka, roślina cukrowa, lub roślina miodowa. Jest to niepokaźne ziele, kilka centymetrów wysokie, o małych listkach i malutkich kwiatkach. Botanik nazwał ją naukowo Eupatorium Rebaudianum. Ojczyzną nowej tej rośliny są wysoko położone równiny górskie w paśmie gór Amambay od najdalszej północy, aż do źródeł rzeki Rio Manday. Nie znajdujemy jej nigdzie w wielkich ilościach, ale na niektórych przełęczach w dość licznych grupach. Godnym uwagi jest wysoki stopień słodyczy. — Kilka liści wystarczy do osłodzenia sporej filiżanki herbaty lub kawy. Jeżeli się weźmie mały kawałeczek listka do ust, czuje się słodycz całą godzinę. Roślina ta nie zawiera żadnych substancyi szkodliwych dla zdrowia. Bertoni wyklucza stanowczo przypuszczenie, jakoby słodycz ta opierała się na zawartości cukru. Wysokość słodyczy jej jest znacznie większą od słodyczy cukru. Nadto materya słodka, zawarta w roślinie, w przeciwieństwie do cukru, za dodaniem drożdży nie fermentuje.

Prawdopodobnie więc mamy tu do czynienia z nową materyą chemiczną, którą dopiero za pomocą analizy będzie można odnaleść.

Praktycznego, przemysłowego zastosowania roślina ta dotąd nie znalazła, Bertoni jednak sądzi, że będzie można ją uprawiać, a tem samem wyzyskać dla celów przemysłowych. — Pewien Niemiec rozpoczął już nawet odpowiednie próby. Cukrowi więc grozi konkurencya. Wobec tego nie od rzeczy będzie przypomnieć kilka szczegółów z jego historyi.

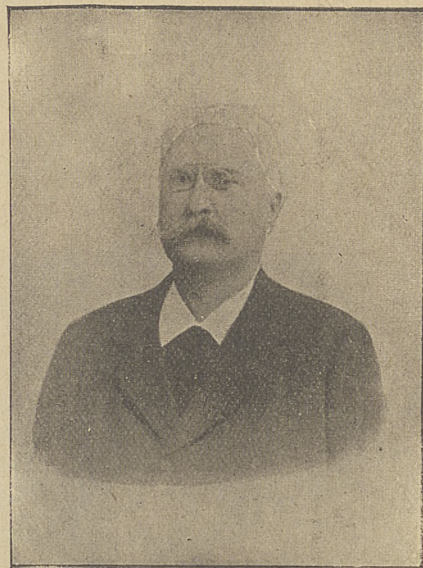
Otóż w starożytności o cukrze nie wiedziano; dowodem tego fakt, że znany znakomity rzymski podręcznik kucharski nic nie wspomina o nim, tylko o miodzie attyckim, którego używano do zaprawy sosów i napojów, chociaż prawdopodobnie w Chinach, a szczególniej w Indyach, ojczyźnie trzciny cukrowej, używano go od wieków w pierwotnej formie, krając trzcinę na kawałki i wysysając zawarty w niej sok słodki. Później zaczęto wytłaczać sok w większej ilości, którego używano do słodzenia, a że sok taki ulegał fermentacyi, spróbowano więc, czy przez suszenie na słońcu, lub gotowanie na

# Członkowie Patronatu Związku Spółek Zarobkowych.

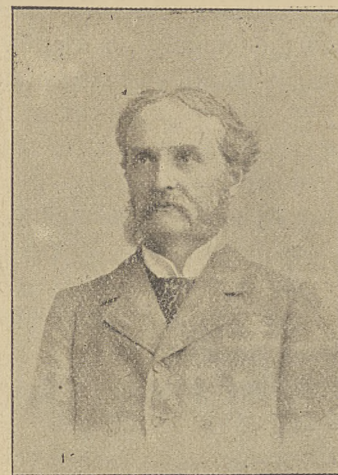
(patrz artykuł w dziale politycznym p. t. „Sejmik Spółek“.)



Ks. prałat Piotr Wawrzyniak, patron.



Dr. Józef Kusztelan, dyrektor Banku Związku Spółek Zarobkowych, członek patronatu.



Dr. Rzepnikowski, wicepatron.

ogniu nie utrwali się do dalszego użycia sok cukrowy i to dało początek wynalezieniu cukru.

W Europie zapoznano się z cukrem znacznie później. Przynieśli go Arabowie, którzy wogóle bardzo wiele nieznanych przedtem towarów sprowadzili ze wschodu do naszych krajów. Odnalazłszy dogodne warunki w Sycylii i Hiszpanii pozakładali tam plantacye trzciny cukrowej i odtąd już Europa miała własny cukier.

W szesnastym wieku, wkrótce po odkryciu gorących krain Ameryki, Europejczycy pozakładali w Brazylii i innych koloniach olbrzymie plantacye trzciny cukrowej, które dostarczały na rynki europejskie taką ilość cukru, że musiano zaprzestać uprawy trzciny w Europie, gdyż się nie opłacała; odtąd sprowadzano cukier z Ameryki aż do początku dziewiętnastego wieku, kiedy go znów zaczęto wyrabiać na miejscu, ale już nie z trzciny, lecz z buraków.

W Polsce od najdawniejszych czasów używano miodu do słodzenia potraw i napojów. Dopiero po raz pierwszy pojawił się cukier za panowania Władysława Jagiełły około roku 1410 (w czasie oblężenia Malborga, dokąd go mieli ,według podania, przywieść rycerze, powracający z wojny za czasów wyprawy krzyżackiej). Od tego czasu zaczęto go sprowadzać z zamorskich krain, li tylko na stół królewski i książęcy, a jako drogocenna rzecz na równi z cynamonem był pod kluczem zamykany. W owym czasie cynamon należał do przypraw bardzo drogich i rzadkich, i występował jedynie czasami na stołach papieży, królów i książąt. I nie każdy magnat mógł pozwolić sobie na taki zbytek: kawałki cynamonu ofiarowano sobie wzajemnie, jako szacowne podarki.

W połowie ośmnastego wieku aptekarz niemiecki, nazwiskiem Margraf, wpadł na myśl wydobywania cukru z buraków, ale wówczas nie skorzystano z jego pomysłu. Dopiero w początkach dziewiętnastego stulecia (około 1811 roku), kiedy cena cukru, pochodzącego z kolonii, znacznie się podniosła, podjęto pomysł Margrafa. I od ąd już wyłącznie z buraków wyrabiano cukier. W przyszłości może go zastąpi roślina paragwajska.

## Samochody.

Powszechnie utarło się mniemanie, że samochody należą do najnowszych wynalazków w dziedzinie środków lokomocyi kołowej. P. A. B. w czasopiśmie „Naokoł świata“ prostuje ten błędny pogląd:

„Pierwszy samochód, zbudowany przez Cugnota, ukazał się na ulicach Paryża w roku 1769, nie był on już jednak pierwszą w tym kierunku próbą. Jednocześnie z nim, a nawet o kilka lat wcześniej, nad zastosowaniem pary, jako siły pociągowej, pracowali już: Francuz Sawerwy, Anglik Robinzon, słuchacz uniwersytetu glazgowskiego, uczeń i przyjaciel Watta. Później, w r. 1801, w dzień Bożego Narodzenia dwaj również Anglicy, Murdock i Trorithik, wypuścili swój pierwszy samochód w małem kornwalijskiem miasteczku Camborne. Pracując ciągle nad ulepszeniami w tym kierunku, w dwadzieścia lat później zbudowali wehikuł, podobny cokolwiek do arki Noego z olbrzymim, wystającym kominem, o ruchu powolnym i ociężałym. Naturalnie, że tego rodzaju omnibus, nie przedstawiając spodziewanych udogodnień, nie mógł się ostać zbyt długo — usunięto go wkrótce jako wynalazek mało praktyczny w stosunku do potrzeb życia codziennego.

Po tej niefortunnej próbie nastąpiła długa przerwa. Umysły zajęły się kolejami, powierzchnia ziemi pokryła się siecią nowych dróg, po których z niezmierną szybkością zaczęły przebiegać wężowe cielska pociągów; zdawało się, że w takich warunkach samochody nie mogą mieć najmniejszej racyi bytu. Dopiero czasy najnowsze widząc niczem nie zapełnione luki w komunikacyi podmiejskiej, szczególnie przy wielkich zbiorowiskach ludzkich lub pomiędzy drugo- i trzeciorzędnemi miastami, gdzie budowa kolei, choćby wązkotorowej, nie opłaciłaby swojego nakładu, zwróciła się po ratunek do dawnego wynalazku. Pojawiły się więc znowu samochody, z roku na rok zmieniane i ulepszane, bądź to jako pojedyncze pojazdy, bądź to jako całkowite pociągi.

Dziś zwykły samochód wyścigowy posiada szybkość 130 wiorst na godzinę, czyli prześcignął najszybszy pociąg kuryerski, zwyczajny zaś równa się w biegu pocztowym pociągom, przy obecnej jednak budowie normalny samochód jest zbyt małym do przewożenia ciężarów. Chcąc użyć samochodu jako środka przewozowego, próbowano przyczepiać do niego odpowiedniej wielko-

šei furgony, tworząc w ten sposób pociąg kołowy; pociągi te jednak okazały się nadzwyczaj mało obrotnemi, szczególnie na wszelkich zakrętach drogi, a z powodu braku równowagi pomiędzy ciężarem swoim wpadały na ciągnący je samochód lub w razie wznoszenia się pod górę odciągały go na dół.

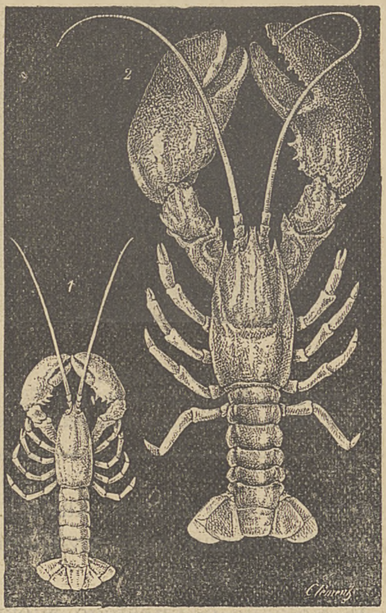
Dopiero w ostatnich czasach zarządzający parkiem wojskowym w Meudon, Renard, wynalazł nadzwyczaj dowcipny przyrząd, przy którego pomocy pociąg, złożony z 6 do 8 furgonów, może się swobodnie poruszać po zwykłych szosach i bitych drogach z szybkością 18 do 30 wiorst na godzinę, podejmując o 600 pudów ładunku.

Wzór takiego pociągu wystawiono przed kilku laty w „Palais de Beaux Arts" na wystawie samochodów. Składał się on z najzwyczajniejszych furgonów do przewożenia ludzi i ciężarów, a cała jego nadzwyczajność polegała na przymocowaniu do nich specyalnych przyrządów. Przyrządy te są dwojakiego rodzaju. Jedne łączą pomiędzy sobą furgony i samochód w ten sposób, że na zakrętach dróg każdy furgon toczy się samodzielnie, lecz po tej samej drodze i po tym samym łuku, co każdy poprzedni, tak, że konduktor nie potrzebuje się kłopotać o kierunek ostatnich furgonów. Ten więc przyrząd warunkuje równomierność i rytmiczność ruchu pociągu bez względu na ilość furgonów, oraz ułatwia wznoszenie się pociągu pod górę, nawet przy lekkim stosunkowo samochodzie.

Każdy zwyczajny pociąg kolejowy lub samochodowy posuwa się naprzód dlatego tylko, że wagony ciągnie lokomotywa lub samochód; w przyrządzie Renarda samochód nie ciągnie furgonów, lecz tylko wyrabia siłę konieczną do poruszenia się ich. Siła ta, za pomocą przechodzącego pod furgonami walca i pewnego systemu kół zębatych, obraca tylne koła każdego furgonu, zmieniając je w swojego rodzaju samochody. W ten sposób każdy furgon porusza się samodzielnie, nie hamując ruchów samochodu, ani go popychając; tego zaś rodzaju rozkład siły poruszającej pozwolą pociągowi bez kłopotu i niebezpieczeństwa wchodzić w góry i schodzić na dół. Rzecz prosta, że pociąg samochodowy Renarda nie może zastąpić pociągu kolejowego, w każdym razie staje się niezmiernie pożyteczny w miejscowościach, gdzie kolei niema lub w komunikacyach podmiejskich i tutaj szeroka przed nim otwiera się przyszłość.

# Kraby i homary.

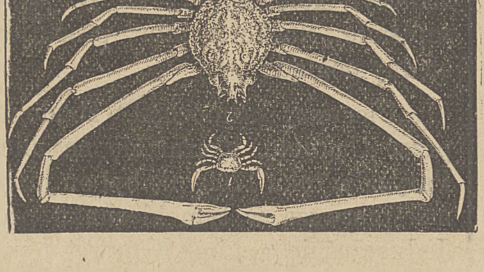
Amerykańskie muzeum Historyi naturalnej niedawno wzbogaciło swe kolekcye prawdziwym „fenomenem" morskim. Jest to mianowicie olbrzymi krab japoński, który mierzy przeszło półczwarta metra (sześć łokci) w największej swej rozciągłości. Sko-



**Homar olbrzymi.**

rupiak ten należy do osobliwego rodzaju krabów pająkowatych i zamieszkuje wody japońskie, które dają przytułek przeszło 1,100 gatunkom.

Rozmiary tego olbrzyma są widoczne na naszym rysunku, gdzie widać obok niego kraba wielkości średniej (wielkości dłoni). Tułów jego równa się niemal dużemu talerzowi stołowemu, a dwoje ramion, uzbrojonych szczypcami uzębionymi jak piła, są w stanie zakreślić ruchem przestrzeń. na której wygodnie rozciągnąć się może cały człowiek. Ośm nóg pozostałych, skłonnych do wyciągania się, przypomina łodygi bambusowe. Kraby po-



**Krab olbrzymi japoński.**

siadają osobliwszą zdolność do przystrojenia się suto w kawałki gąbek i wodorostów. Za pomocą swych ruchliwych kleszczów zbliżają różne takie kawałki do ust, zwilżają rodzajem lepkiej śliny, ażeby prędzej przylgnęły. Tak przybrany krab zaczaja się w jakim dołku i czeka na nieostrożnie przepływającą ofiarę.

Niezwykłą ozdobą tegoż muzeum jest również olbrzymi homar, złowiony żywcem przez rybaków na wybrzeżach New-Jersey. Należy do rodzaju amerykańskiego, zwanego Homarus americanus Kay'a; ma on 90 centymetrów (przeszło półtora łokcia) długości, waży zaś 17 kilogramów (przeszło 34 fun.) Przeniesiony do akwaryum żył ledwie kilka dni, poczem został zakupiony i sporządzony przez muzeum. — Jak kraby, tak homary, należą do rzędu skorupiaków dziesięcionogich; homar jest zupełnie podobny do naszego raka rzecznego a krab różni się od niego tem, że brzuszek (zwany u raka „szyjką") jest maleńki i podgięty pod pancerz, nogi zaś dłuższe.

W Stanach Zjednoczonych zajmowano się kwestyą hodowli homarów i kwestyę tę podobno rozstrzygnięto już pomyślnie. Prób i doświadczeń dokonywano w laboratoryum pływającem i tam zdobyto spostrzeżenie, że najlepszym środkiem dostarczenia warunków niezbędnych do hodowli młodych homarów po wykluciu się z jaj, jest mieszanie bezustanne wody; w przeciwnym razie ikra, skłonna w pewnych chwilach do opadania na dno, zbierze się w zagłębieniach dna i młode raki będą się dusiły, albo się wzajemnie pożerały. Pokarm młodych homarów składał się z posiekanych żyjątek pełnego morza. Po dniach dziewięciu do szesnastu, raczki przebyły okres krytyczny i doszły do stanu homarów dorosłych. Odtąd pozostawiono je własnemu przemysłowi. Dzięki tej metodzie ze stu jaj ikry zyskiwano po 16, a nawet 40 i 54 sztuki, podczas kiedy dawniej 99 na sto ginęło.

*R. W.*

# *Bracia rocznica.*)*

*Bracia rocznica, więc po zwyczaju,*
*Nam rozproszonym tułaczom*
*Wspomnieć o polskim godzi się kraju,*
*O tych, co po nas tam płaczą.*

*Niech żyją nasze żony i dziatki,*
*Co w domu tęsknią za nami,*
*Siwi ojcowie i stare matki,*
*Co nas żegnali ze łzami.*

*Niech żyje nasza wioska rodzinna,*
*I polski las, polska niwa,*
*Gdzie zeszła młodość nasza niewinna,*
*Młodość swobodna, szczęśliwa.*

*Niech żyje polski obyczaj stary,*
*I wiara polska i mowa,*

*) Ogólnem odśpiewaniem powyższej pieśni zakończyła się uroczystość XV. rocznicy założenia Towarzystwa polsko-katolickich robotników w Berlinie, o czem pisaliśmy w ostatnim numerze. — Przyp. Redakcyi.



Po bitwie pod Wörth.

*Bo nie uniknie piekielnej kary,*
*Kto darów Bożych nie chowa.*

*Niech Bóg otoczy opieką swoją*
*Kraj nasz i naszych współbraci,*
*Co tam w ojczyźnie na straży stoją,*
*Niech im to niebo zapłaci.*

*A teraz zdrowie przezacnych gości,*
*Co z różnych stron tu przybyli,*
*I tych, co obchód uroczystosci*
*Tak wzniosłej nam urządzili!*

## Dziesięć bardzo ważnych wskazówek,

**które każda dobra matka pamiętać i wykonywać powinna.**

1. Strzedz małe dzieci od wypadnięcia z kołyski lub z łóżka, od upuszczenia z rąk, gdyż od wstrząśnienia mózgu skutkiem upadku, dziecko łatwo może dostać drgawek, zostać głuchoniemem lub kaleka, garbatem, albo kulawem. Dlatego nie pozwalać małym kilkoletnim dzieciom, aby nosiły niemowlęta, szczególnie powinięte.

2. Przez cały czas przed narodzeniem dziecka, jakoteż podczas karmienia, matka nie powinna pić wódki, piwa, wina, wogóle żadnych trunków, gdyż alkohol przechodzi w krew dziecka i powoduje bezsenność i różne choroby, a co najgorsze, dziecko nabywa pociągu do trunków. Niejeden pijak, niebacznej i niewstrzemięźliwej matce zawdzięcza, że oddał się temu obrzydliwemu nałogowi pijaństwa, który ona wszczepiła w niego w pierwszych chwilach życia!

3. Starać się, aby dziecko sypiało dużo i dobrze. Sen jest dla dziecka jeszcze potrzebniejszy, niż pokarm; mniej dziecku zaszkodzi brak dostatecznego i zdrowego pokarmu, niż brak snu. Niemowlę w pierwszym roku powinno spać kilka godzin w dzień i 12 godzin w nocy n. p. od 7-mej wieczór do 7-mej rano. W drugim, 3-cim, 4-tym roku, wystarczy 1—2 godzin snu w dzień, a 12 w nocy. Od 5 do 10 roku życia, powinno dziecko spać od 8-mej wieczorem do 6-tej rano, ale nie potrzeba mu już snu w dzień. Nie przyzwyczajać dzieci do kołysania, ale od pierwszej chwili kłaść do snu równo na łóżku, czy w kołysce i zostawić w spokoju. Nie dawać żadnych środków usypiających n. p. makówek pod głowę lub odwaru z maku, bo przez to dziecko głupieje i staje się bezmyślne i niezdolne. Aby dziecko spało dobrze, trzeba dbać, by miało czystą i suchą bieliznę i pościel, którą trzeba codzień przewietrzać a łóżko lub kołyskę oczyszczać z owadów. Dzieci małe powinąć do snu, ale niezbyt ciasno, by mogły swobodnie oddychać i nie rozgrzewały się zanadto; starsze kłaść równo na wznak i okryć lekko. Główka dziecka małego czy starszego, nie powinna leżeć wysoko na poduszkach lecz nisko na równi z całem ciałem; ręce przyzwyczajać od początku trzymać na kołdrze na wierzchu, aby dziecko nie nabrało złego nałogu bawienia się swojem ciałem co jest i zgubne i straszne w skutkch, tak dla duszy, jak dla umysłu i zdrowia.

4. Nie nosić dziecka niepotrzebnie na rękach, gdy już zaczyna chodzić; nie bawić go i nie zadawać mu wciąż pytań, gdy zaczyna mówić. Wtedy bowiem mózg dziecka bardzo jeszcze jest słaby, a przy samem mówieniu i poznawaniu przedmiotów pracuje i męczy się. Najlepiej, gdy dziecko same się bawi i mówi kiedy chce. Nie męczyć dziecka uczeniem na pamięć wierszyków lub pacierza.

Wystarczy, gdy dziecko małe od 2 lat przeżegna się przy pomocy matki rano i wieczór i za matką odmówi, powtarzając słowo po słowie: Ojcze nasz i Zdrowaś, a gdy starsze od 4 lub 5 lat: Wierzę i inne krótkie modlitewki np. do Anioła Stróża i za zmarłych. Powtarzaniem codzień za matką, dziecko prędko się nauczy pacierza i polubi go; przeciwnie znudzi go i zmęczy, gdyby mu kazano kilka lub kilkanaście razy powtarzać raz po raz to samo, by się prędzej nauczyło na pamięć. Pilnować, aby dziecko prędko się ubierało i rozbierało i zaraz zrana po ubraniu odmówić z niem pacierz, jeżeli się go razem nie odmawia z całą rodziną, co zawsze najlepsze.

5. Nie dawać dzieciom nigdy wódki,

wina, ani piwa. Spirytus jest dla dzieci silną trucizną. Najzdrowszy napój, to woda i mleko.

6. Do dwóch lat nie dawać dzieciom wcale mięsa, później jak najmniej. Za to nie żałować im mleka, jarzyn i dojrzałych owoców, kaszy i chleba. Dziecko nie powinno jeść, gdy nie głodne, ale też nie powinno długo być bez pożywienia, bo dłuższe przegładzanie osłabia dziecięcy organizm znacznie więcej, niż starszego człowieka, gdyż dziecko rośnie i rozwija się. Dawać dzieciom jeść w pewnej stałej porze, cztery albo pięć razy na dzień, obficiej rano i w południe, mniej pod wieczór. Przed samem spaniem dzieci nie powinny jeść, bo śpią wtedy niespokojnie i chorują.

7. Nie pozwalać dzieci straszyć, np. przez krzyknięcie, opowiadanie strasznych i okropnych rzeczy, a szczególnie przez przebieranie się za dziwy lub strachy. Przestraszone dzieci dostają nieraz drgawek, które męczą je potem całe życie, lub też stają się niespokojne, bardzo wrażliwe na wszystko. Od pierwszych miesięcy życia, trzeba dziecko przyzwyczajać, żeby się nie bało pozostawać w ciemnej izbie.

8. Nie pozwalać dzieciom znęcać się nad zwierzętami, gdyż to wytwarza w nich dzikość i chęć do okrucieństwa.

9. W postępowaniu z dziećmi zachować zawsze cierpliwość i wyrozumiałość. Zostawić dzieciom wiele swobody, nie bronić tego, co nie złe, a możliwe do wykonania, zakazywać tylko tego, co złe, szkodliwe, niebezpieczne.

Nie łajać dziecka, gdy się nic nie wie, czy zawiniło; nie bić dzieci, chyba za bardzo wielkie przewinienie, n. p. za nałogowe kłamstwo, gdy inne kary nie pomagają, za krnąbrność, zuchwalstwo i wielki upór, za kradzież lub nieobyczajność. Zachować przytem spokój, a bicia używać zawsze z wielkiem umiarkowaniem i jak najrzadziej. Z dzieci łajanych nieustannie i bitych, wyrastają źli ludzie; niejedna matka nieoględnem biciem w złości, okaleczyła dziecko na całe życie. Najlepsza matka, to taka, która dobrocią i roztropnością prowadzi dzieci, a nigdy nie bije, a pewien mądry i doświadczony pisarz powiedział, że na dziesięć uderzeń, które wychowawca dał dziecku, dziewięć sam powinien był otrzymać za to, że nie umiał znaleźć innych sposobów i kar, tylko bicie. Dzieci łagodnie prowadzone, same są łagodne, dobre, ciche, zdolniejsze i pilniejsze w nauce, wytrwalsze w pracy. Chcesz matko mieć dobre, łagodne i kochające dzieci, kochaj je sama, bądź dla nich dobra, łagodna i cierpliwa, wyrozumiała. Nie łajać, ani nie karać dziecka, gdy czegoś zrobić nie umie lub nie może, ale je cierpliwie pouczyć lub dopomódz. Nie straszyć dzieci biciem bez potrzeby; nie mówić nigdy: nie rób tego, bo cię zabiję. Zdarzało się, że po takiej groźbie, dziecko nie wróciło do domu, lecz uciekło lub odebrało sobie życie.

10. Modlić się codzień o dobre wychowanie swych dzieci.

## Złote listki.

*Można nic więcej nie posiadać nad pracę, umiarkowanie, rzetelność, a jednak stać wysoko w szeregu ludzkości.*

* * *

*Oszczędność jest dzieckiem rozumu, siostrą wstrzemięźliwości i matką wolności.*

* * *

*Kto mówi — sieje; kto słucha — żnie.*

* * *

*Człowiek jest wozem, namiętność jego końmi, a rozum woźnicą.*

## Nasze ryciny.

— *Po bitwie pod Wörth.* Dnia 6-go sierpnia 1870 roku w czasie wojny z Francyą zderzyła się III. armia niemiecka pod wodzą Fryderyka Wilhelma, ówczesnego następcy tronu, a późniejszego cesarza Fryderyka III-go z armią francuską pod wodzą marszałka polnego Mac Mahona. Francuzi w liczbie 80,000 walczyli mężnie od rana do wieczora przeciwko 120,000 Prusakom, Bawarczykom, Wyrtemberczykom i Badeńczykom aż nareszcie musieli przemocy ustąpić. Rycina przedstawia nam palącą się wieś Wörth, zajętą wieczorem przez zjednoczonych Niemców. Na lewej stronie opatrują rannego oficera. W głębi widzimy jeńców francuskich, nad którymi powiewa sztandar „czerwonego krzyża“ jako znak, że w miejscu tem założono lazaret, na który nie należy strzelać. W pośrodku nadjeżdżający po bitwie Fryderyk Wilhelm witany zostaje przez wojsko upojone zwycięztwem. Piąty korpus, w którym walczyło tysiące Polaków, przyczynił się wielce do zwycięstwa, atakując sam front pozycyi francuskiej i ponosząc przy przejściu rzeczki Sauer ogromne straty w rannych i zabitych, podczas gdy wojska bawarskie i wyrtemberskie obeszły nieprzyjaciela na skrzydłach. Straszny to był los braci naszych, że walczyć musieli przeciwko katolikom i do tego nie za własną Ojczyznę. Dziś za te ofiary krwi i życia nie pozwala rząd osiedlać się i wybudować domek na zakupionej parceli; toć czytaliśmy, że Chrószcz w Pszowie, który zastrzelił żandarma, także był okryty medalami za udział w wojnach ostatnich. A czy w 1866-tym roku nie grano naszym w Czechach: „Jeszcze Polska nie zginęła“ byle tylko dzielnie szli do boju? Dziś na podobne faryzejstwo oburza się ludzka natura.

## Myśli zaczadzonego filozofa.

*Ładne kobiety lubią pieszczoty, brzydkie szacunek, stare, by rad ich zasięgano, dowcipne, by je chwalono, ale wszystkie jednakowo lubią pochlebstwa.*

*Mądry dziwi się temu, co rozumie, głupi — odwrotnie.*

*Nieraz (choć rzadko) ludzi przez omyłkę chowają, lecz za to ileż ludzi żyje jakby przez omyłkę.*

*Najsławniejszy dzisiaj to chyba ten człowiek, który innych zbywa... słowami.*

*Pieniądze najwięcej sprawiają kłopotów tym, którzy ich nie mają.*

*Złe — jest przyprawą, dającą smaku do życia.*

*Im brzydszy mąż tem ładniejsza toaleta żony.*

# Humor i satyra.

## Z dzisiejszej tragi-komedji pomyłek w Kongresówce.

Z za węgla domu wyskakuje członek bojówki i wali do przechodzącego z *browninga.* Zaatakowany pada trupem, czyniąc zdziwioną minę.

— Przepraszam, pomyliłem się, to nie pan — odzywa się z flegmą napastnik.

Rzadko kiedy nieszczęśliwy posiadacz „zupełnie podobnych wąsów, brody, lub nosa,“ zdobędzie się na szarmancką odpowiedź:

— Nic nie szkodzi, proszę częściej.

* * *

## Nasi uczeni.

Tomasz bardzo jest dziś dumny,
I powiada tak do żony:
— Robię przy Encyklopedyi,
Ze mnie przeto mąż uczony.

Na to rzeknie mu małżonka:
— Miejże pewnik ten w pamięci.
To nie dowód uczoności,
Gdy kto prasę korbą kręci...

* * *

## Tak jest najczęściej.

— Ożeniłeś się?
— Od pół roku.
— Posag duży?
— Milion...
— Marek, czy fenygów?...
— Kaprysów.

* * *

## Wrodzone przymioty.

— Pan jest malarzem?
— Tak!
— Ach!... aby być malarzem, trzeba mieć po temu wrodzone przymioty.
— To też je mam! mogę prawie cały tydzień nic nie jeść!

* * *

## Nieporozumienie.

A panna Melania?
— Melcia wyszła...
— Wyszła? zamąż?...
— E, nie! wyszła na miasto po sprawunki.

* * *

## Najchętniej.

On — ona — salon — miłość — czar —
Krew w żyłach gra i tętni —
On szepnął: „Żoną moją bądź!“
A ona mu: „Najchętniej.“

Ślub — rok pożycia — dużo zmian —
Oboje źli, czy smętni —
On szepnął jej: „Rozwiedźmy się“ —
A ona mu: „Najchętniej.“

* * *

## Okruchy.

Jak dziurawe naczynie nie zatrzyma wody, ani dziurawy worek mąki, tak serce kobiety nie zatrzyma tajemnicy.

Prenumerotorom i kobietom wierzyć nie można.

Tylko z za szyby patrzy się przyjemnie na burzę i na... teściową.

Wielu dostaje się wyżej na sposób kominiarzy, t. j. krętemi i brudnemi przejściami, to też wyglądają jak kominiarze.

## Z kongresu anti-syjonistycznego

— Chcą oni wykorzenić niechlujstwo z mas żydowskich... Dobrze! przepławić raz jeszcze żydów przez Czerwone morze!

## Sułtan chory.

Policya w Turcyi posmutniała. O rycerze półksiężyca! Sułtan jest bardzo chory.

Sułtan wystrzegał się wszystkiego i nie jadł kwaszonych ogórków jak Wielki Szach, a jest chory.

Ha! trudno! Kto ma siedm tysięcy żon, ten ma siedm tysięcy teściowych. Kto ma siedm tysięcy teściowych, ma siedmdziesięt tysięcy kości w gardle, czego i sułtan nie wytrzyma. A jeśli teściowe do tego są kościste ze struktury — o wielki Proroku!

Co sułtanowi jest? Angina pectoris? Duszność? Nieprawda! To dyagnoza przezorna, aby biedaka można było łatwo udusić i powiedzieć, że to Angina pectoris, Tak samo możnaby o carze powiedzieć, że ma chorobliwe skłonności do pęknięcia...

Nerki? Z tego się śmieje nawet najwierniejszy syn sułtana, kapral Iwan Durnowaty, od policyi. Sułtan leczy się wedle arabskiej medycyny, której nie są znane żadne nerki. Sułtan nie ma nerek.

Sułtan cierpi na chorobę skomplikowaną. Ma przedewszystkiem wrzód na wątrobie, tzw. wrzód armeński.

Dalej ma raka w żołądku. (Rak macedoński idzie trochę naprzód i zaraz tyłem wraca. Wymaga operacyi).

Dalej cierpi na zatkanie jelita grubowego. Pomaga na to środek prosty, który pomógł w ostatnich czasach Szachowi: rycynowy olej, t. zw. konstytucyjny. Wzięty za prędko powoduje wymioty, jak np. u Cara.

Serdeczni przyjaciele sułtana wmawiają w niego straszną chorobę: wodostręt i chcą mu dlatego usunąć z przed oczu Morze Czarne, aby go woda nie drażniła.

Biednego sułtana chcą za życia jeszcze zrobić tureckim świętym, więc lekarz Nafiz basza ściąga z niego co może, tak, że potem dla mocarstw zostanie tylko pieprz turecki.

* * *

## Ostatnie życzenie.

Bardzo energicznego Abrahama Bombonera skazano na śmierć przez powieszenie za rzucenie kilku bomb. Ten, trochę uciążliwy środek lokomocyi, z niebem, zupełnie nie przeraził Bombonera. Tudno. Jak wisieć, to wisieć.

— Ma pan jakie życzenie przed śmiercią? — pytają go pod szubienicą.

— Mam. Chcę przejść na prawosławie.

— Co takiego? Na prawosławie? Panie Bomboner, to wam nic nie pomoże.

— Mniejsza o to, ja chcę być prawosławnym.

Nie można odmówić. Prowadzą popa i Abraham Bomboner został prawosławny.

— Nu, a powiedzcie teraz, Bomboner, czemu wy chcieli być prawosławny?

— Bo ja sobie myślę, że jak już muszę wisieć, to po co ma wisieć porządny żyd na szubienicy, niech wisi sukinsyn Moskal.

* * *

## U doktora.

— Czy jesz dobrze? — po nocach sypiasz?
— Ale gdzie tam! i jem licho i po nocach sypiać nie mogę.
— Dla czego?
— A bo ja jestem stróżem i w nocy muszę ciągiem bramę otwierać.

* * *

## Wygadał się.

— Więc kochasz mię pan?
— Tak, i miłość ta doprowadzi mnie chyba do szaleństwa!
— Lepiej do ślubu...
— Przecież to wszystko jedno...

* * *

## Nieprzyzwoity.

— Czy pani pozwoli, abym był jej cyceronem?
— Przepraszam pana, ale z ludźmi, którzy używają nieprzyzwoitych wyrażeń, ja nie mam nic do czynienia!

* * *

## I tak źle, i tak niedobrze.

Wyjdzie baba za młodego,
Krzyczą: Ach rzecz zdrożna!
Ożeni się stary z młodą,
Wrzeszczą: Fi, nie można!
. . . . . . . . . . . . . . .
No i dogodź ludziom człecze,
Gdy do ślubu chęć cię piecze!...

* * *

## Miłe spotkanie.

— Droga pani. Po tylu latach! A poznała mnie najdroższa pani?
— A jakże! Po kapeluszu!
— A ja drogą panią — po żakiecie!

* * *

## Ostrożna.

— Aż cztery rachunki modniarki odrazu!... To do niczego nie podobne!
— Ależ proszę papy, nie chciałam go cztery razy na gniew narażać!

* * *

## Co to dobra szkoła może.

— Wie pan, że nie przypuszczałam, iż pan tak dzielnie tańczy. Pan, jak

widzę, to mógłbyś bez zmęczenia całą noc tańczyć?

— Proszę pani, będąc już sześć lat żonatym, musiał się człowiek nauczyć, gdy trzeba od rana do wieczora przed żoną skakać!

* * *

### Dobra posada.

— Czem jest pan Władysław, który się ożenił z panną Julią?

— Posiada bardzo intratny urząd: jest mężem swojej bogatej żony.

* * *

### Praktyczna osoba.

— Panie doktorze, przyszłam po należny mi procent...

— Za co!

— Jakto, za co? Przecież od mojego synka wszystkie dzieci w całem mieście dostały odry!

* * *

### U rzeźnika.

— Dla czego umieściłeś takie wielkie lustro przy drzwiach?

Rzeźnik: Żeby gosposie nie widziały jak ważę mięso.

## Rozmaitości.

*Zamordowanie księdza.* Swieżo w nocy na folwareczku Karczówka pod Otwockiem w Królestwie nieznana banda rozbójników dokonała ohydnego mordu. W niewielkiej odległości od parafialnej wsi Karczewia na małem folwarczku zamieszkał od marca r. b. 80-letni ks. Feliks Pyzalski. Około godziny 12-tej w nocy kilkunastu uzbrojnych ludzi otoczyło dom księdza i gdy jedni pod groźbą zabicia unieruchomili służbę, inni zaczęli dobijać się do wnętrza mieszkania, strzelając jednocześnie z rewolwerów. Ksiądz Pyzalski odpowiedział również z dubeltówki, za chwilę bandyci wyłamali drzwi i do bezbronnego już staruszka dali kilka strzałów, kładąc go trupem na miejscu. Jest domniemanie, że bandyci musieli zrabować znaczną sumę, gdyż ks. P. sprzedał niedawno drugi swój folwarczek za 14 000 rubli i pieniądze trzymał w domu.

* * *

*Znowu mały garnizon.* W Landau rozpoczął się 17-go b. m. skandaliczny proces. Chodziło o szulerkę na wielką skalę.

W Dieuz, na granicy francuskiej, w małym garnizonie niemieckim istniała szulernia na wielką skalę, w której hazardowali szalenie najwyżsi arystokraci z Bawaryi, Prus i Austryi, a także bogaci kupcy i sportowcy z rozmaitych prowincyi niemieckich. Oprócz hazardu odbywały się tam także orgie, w których brały udział rozmaite „artystki“ niemieckie, a pieniędzy dostarczali lichwiarze, którzy byli zawsze na miejscu. Zbierała się tam „śmietanka“ przeważnie ze sfer oficerskich i arystokratycznych, a lichwiarze z Monachium, Metzu, Strasburgu i Wuerzburga przyjeżdżali na występy gościnne. Porucznik Muehe wyjeżdżał też do rozmaitych miast niemieckich, gdzie trzymał „bank“ i naciągał ofiary przy „maczku,“ „nasze wasze“ i „labecie.“ Stawki były w gotówce i wekslach.

W kilku wypadkach były stawką „artystki,“ które z powodu braku gotówki przez dwóch arystokratów zaproponowane zostały do wygrania. Przeszły one wówczas w inne ręce i za znaczną nadpłatę. Porucznik Muehe za względy pewnej artystki zapłacił wekslem i odstąpił ją zaraz komu innemu, policzywszy sobie za to znaczny procent. Jedna z tych diw była przedtem kochanka konsula w Monachium, który po znacznej przegranej odstąpił ją pewnego wieczora hr. Preysingowi w ten sposób, że Preysing przyjął kochankę w zamian za znaczny dług karciany konsula.

Proces ten wywołał w całych Niemczech ogromne wrażenie, mnóstwo osób z najwyższych sfer jest skompromitowanych.

* * *

*Jak długo może człowiek suszyć?* Na to pytanie z okazyi uratowania robotników w Courriers usiłują dać odpowiedzi fizyologowie. Ernest Brücke robił w tym kierunku doświadczenia ze zwierzętami, które, jak wiadomo, przez długi czas mogą się obejść bez pożywienia np. płazy i zwierzęta zapadające w sen zimowy. Organizmy poszczące tracą przedewszystkiem tłuszcz, następnie muszkuły. Niemniej dotknięte są głodem nerwy. Z tych dotychczasowych spostrzeżeń i doświadczeń wynika, że człowiek obejść się może bez pożywienia 21 do 22 dni. Zdawałoby się, że cyfra to za wielka. Uwzględnić należy, że wchodzą tu w grę melancholicy, którzy mogą pościć niezwykle długo. Sześciu melancholików, którzy pili wodę, a nic nie jedli, wytrzymali głód przez czterdzieści i jeden dni. Najważniejsze warunki, mogące przez długi czas zapewnić organizmowi wytrzymałość wobec głodu są: spokój i ciepło. Ten spokój ciała zdaje się, przyczynia się najwięcej do wytrzymałości wobec głodu. Podczas tak zwanej głodowej kuracyi zauważono, że kuracya ta może być prowadzona póty, dopóki pacyent leży w łóżku bez ruchu. Skoro tylko pozwoli się mu wstać, uskarża się natychmiast na głód, pragnienie i osłabienie. Dzieci oczywiście nie mogą tak długo obejść się bez pożywienia, jak dorośli. Już Hippokrates pisał: „Dzieci wytrzymują głód króciej aniżeli dorośli, mężczyźni krócej aniżeli kobiety, a starcy wytrzymują go najdłużej.

* * *

*Ludożercy.* Na Syberyi w Kutymsku uwięziono przed kilku tygodniami rodzinę ludożerców, którzy pod wpływem głodu zabijali przejeżdżających tamtędy podróżnych i jedli ich mięso. Podobnie w Kongo, w państwie murzyńskiem w Afryce, banda Murzynów napadła na stacyę misyi katolickich, zabiła jednego z misyonarzy i ośmiu jego pomocników, a zwłoki ich zjadła.

## Zagadki.

1) Kiedy zającowi najbardziej dokuczają [zęby?

2) Ile jest liter w alfabecie?

3) Co jest najpotrzebniejsze przy obiedzie?

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 8-go września.

**Rozwiązanie szarady z nr. 33-go „Pracy“:**

**Pop.**

Dobre rozwiązanie nadesłali: *z Poznania*: pp. Antonina Szulc i M. Markiewicz; *z prowincyi*: pp. Helena Kaźmierczak ze Śmigla, J. Szperkowski z Pożarowa, Wincenty Nęcki z Donaborowa (powiat Kępiński), Bronisław Sikorski, tokarz z Pleszewa, i Józefa Wyszomirska z Roska; *z Prus Zachodnich*: p. Jan Czajkowski z Kazanic (powiat lubawski); *z Prus Wschodnich:* p. Zofia Raduńska z Sontopp (powiat niborski); *z Górnego Śląska:* p. Paweł Szymura z Rownin pod Żorami; *z obczyzny:* z Berlina p. Czesław Ciastowski, z Charlottenburga pani Antonina Żelewska w następującym wierszyku:

Dobra to łamigłówka
Co z jednego składa się słówka.
Kto „Pracę“ od A do Z czyta,
Łatwo ten wyraz chwyta;
I od razu wie przecie,
Że o „Popie„ mówicie
Któremu powierzył się chłop;
Odpowiedź jest zatem:
**„Pop.“**

Nagrodę otrzymali: pp. Józefa Wyszomirska z Roska, Zofia Raduńska z Sontopp i Antonina Żelewska z Charlottenburga.

# DZIAŁ POWIEŚCIOWY.

## Rzeź Pragi.

Powieść historyczna przez **Teodora Tomasza Jeża.**

4)

(Ciąg dalszy.)

Działo się to w 1806 roku.

Tysiąc ośmset lat temu, Chrystus zbawił ludzkość: obecnie Prusacy wybierali się zbawiać Niemców. Wszystko co żyło, rwało się do broni. Chwalebny zapał ogarnął wszystkich, od króla począwszy, aż na ostatnim Niemcu skończywszy. Królowa młoda i piękna, własnym przykładem rozdmuchiwała ogień, który miał żywcem spalić Francuzów. Wszystko, co broń nosić mogło, spieszyło pod sztandary.

W tym właśnie najgorętszego zapału czasie, młodzi nasi panowie znajdowali się w Berlinie, i nie mogli zostać obojętnymi widzami. Nie zgadzało się to, najprzód, z dobrym tonem, a potem z usposobieniem Polaków, którym szczęk oręża żywo grał po żyłach rycerskich. Ociągali się, nie wiedzieli co począć — aż wszyscy trzej napisali do Warszawy, do hrabiego Uhryńskiego, opisali mu cały stan rzeczy, i zapytali o radę.

Odpowiedź hrabiego godną jest przechowania, jako wzór dyplomatyczny, należący do rodzaju tej prywatnej dyplomacyi, którą niektórzy z panów naszych posługiwali się w trudnych razach, lawirując pomiędzy przeciwnemi wiatrami. Brzmiała ona jak następuje:

— „Drodzy synowie i kochany Michale!

Odpiszę wam wszystkim trzem razem, dla tego że pisząc do każdego z osobna, musiałbym jedno i to samo powtarzać.

„Znanemi mi są wypadki, o których donosicie. Myślałem nad niemi i jestem w stanie udzielić wam rady, jako człowiek wytrawny i doświadczony.

„Przygotowująca się wojna jest tego rodzaju, że nie można z góry powiedzieć, jaki obrót weźmie. Wspominam o obronie, o możliwym jej rezultacie, gdyż według tego możecie i godzi się wam pokierować sobą. Gdyby można było z pewnością wiedzieć, jakim będzie ten rezultat, to rzecz byłaby łatwa. Tu dwa przedstawiają się możliwe wypadki: albo Napoleon zwycięży i urzeczywistni szlachetne, o jakich po cichu mówią, zamiary, albo nasz monarcha zwycięży. W pierwszym razie nie wypadałoby wam brać w wojnie udziału, — lepiej byłoby czekać na przybycie zwycięzców. W drugim jednakże razie, gdybyście nie stanęli w szeregach pruskich, zakompromitowalibyście waszą pozycyę socyalną. Trzeba pogodzić jedno z drugiem. Moją więc radą jest, abyście tak zrobili: jest was moi drodzy synowie, dwóch, — niech przeto jeden wstąpi do wojska pruskiego, a drugi powraca do Warszawy i zachowa się do przybycia Napoleona. Jeżeliby Napoleon zwyciężył, i aż w nasze strony zaszedł, i jeżeliby pod jego opieką organizowały się szeregi polskie, to w takim razie drugi z was zaciągnie się do wojska polskiego. Tym sposobem dogodzi się i jednej i drgiej stronie i zwłaszcza zamknie się gębę tym, którzyby krzyczeli, gdybyście obydwa byli pod pruskiemi sztandarami. Trzeba rachować się i z tymi krzykami.

„Co się zaś tyczy Michała, to ponieważ on nie może rozedrzeć się na dwoje, radzę mu po przyjacielsku i ojcowsku, niech wstępuje do pruskiej armii. Człowiek, mający nie dla formy głowę na karku, potrafi sobie w każdym razie poradzić a w żadnym razie nie można przypuszczać, aby Napoleon zdołał wymazać pruską monarchię z karty europejskiej. Gdy ją zwycięży, to spodziewać się można, że uszczupli, nie tak jednakże, aby nie pozostało w niej pola do karyery dla młodego i rezolutnego człowieka. A zresztą nic nie przeszkadza, w ostatecznym razie przejść z pod jednego pod drugi sztandar, nie sposobem dezercyi, — broń Boże! — ale honorowie, z dymisyą. Tej jednakże ostateczności nie można się spodziewać, bo Prusy nagromadziły ogromne środki, olbrzymie robią przygtowania, a co najważniejsze, mają za sobą rosyjską potęgę. Przypuszczać więc można, że wojna rozstrzygnie się bez stanowczych dla jednej i drugiej strony rezultatów. Z tej przyczyny konieczną jest dla nas wielka w postępowaniu oględność.

„*A propos!* Wstępując do armii pruskiej, wybierajcie takie bronie i takie pułki, które bliższemi są osoby monarchy.

„Kończę, resztę zdając na wasz rozsądek, i zasyłając wam ojcowskie błogosławieństwo. Ściskam was serdecznie, wasz etc. — podpisano — Hr. Uhryński".

W przypisku dopisała się hrabina, błogosławiąc synów i Michała matczynem błogosławieństwem. Z hrabianek z których dwie starsze były już wydane i nie mieszkały w Warszawie, żadna się nie dopisała. Jedna panna Antonina była z rodzicami i czytała list ojcowski, lecz ze swojej strony ani słówka nie dodała. Dla czego?

Nie — dla czego się nie dopisała, ale raczej — spytać warto — dla czego ona, gdy hrabia powoli i wyraźnie, żonie i jej, list do synów odczytywał, a jej łzami oczy nabiegły, wyszła, poszła do swojej sypialni i rzewnie płakała? — Może żal jej było jednego z braci, może żal było Michała... Nie wiem... Może domyślimy się czegoś z modlitwy, którą ona, ukląkłszy przed obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej, wiszącym nad łóżkiem, do Najwyższego zaniosła.

— Boże!... — zawołała. — Niech on... niech oni prostą idą drogą... Nie opuszczaj ich, Panie!... Nie daj im wchodzić na manowce!... Niech przed oczyma ich stanie święta nasza sprawa, do której święte tylko i proste prowadzą ścieżki... Niech zapomną o sobie, o swoich osobistych widokach... Przypomnij mu, Panie, jego ojca i matkę i jego braci... Panie! nie opuszczaj go...

Modlitwa panny Antoniny poszła do Boga, a list hrabiego do Berlina. Co pierwsza sprawiła? — nie wiem. — Drugiego zaś skutek był taki, że jeden z młodych hrabiów wstąpił do dragonów królowej, a drugi powrócił do Warszawy, — nasz pan Michał wstąpił do tego pułku huzarów, który był czarno ubranym, miał trupią głowę na czaku i nazywał się nieśmiertelnym.

Stało się... Pewny jestem, że żaden z czytelników nie spodziewał się takiego wypadku. I ja się nie spodziewałem. Można jednakże usprawiedliwić go, albo raczej — wytłomaczyć.

Pan Michał wykierował się na bardzo rozsądnie, rozważnie i zimno biorącego rzeczy młodego człwieka, chociaż nie było tego po nim znać. Przychodziło mu to jakoś wewnętrznie; zewnętrznie zaś był zapalczywym, zamaszystym i nie pozwalającym sobie — jak powiadają — w kaszę dmuchać, co doskonale harmoniowało z jego piękną i prawdziwie męską postawą, tem bardziej, że staranne wychowanie ułagodziło i umiarkowało tę szlachecko-rycerską zapalczywość i zamaszystość. Staranne wychowanie umiarkowało w nim i jeszcze jedną rzecz — mianowicie — patryotyzm.

Pan Michał nie przestał być Polakiem, tak jak nie

przestał nim być hrabia, ale polskość swoją postawił pomiędzy „godzi się i można“. Gotów był nie odpychać tego, co godziwe; chwytał jednakże tylko za to, co możliwe — i kierował się rozumowaniem, które opierał na pewnikach takich, jak matematyka, statystyka, jeografia, sztuka wojskowa i polityka. W matematyce odwołując się do mechaniki, obliczał stosunek sił, i wypadało mu, że większa jest zawsze większą, a mniejsza mniejszą. Za pomocą statystyki mianował owe siły i wypadało mu, że Moskale i Niemcy liczą tyle milionów mieszkańców, a Polska tyle; że pierwsze mają dochody, a Polska nie ma; że pierwsze posiadają wojska, floty, fortece, zasoby, a Polska pod tym względem, posiada — zero. Jeografia przedstawiała mu środkowe ze wszystkich stron otoczone, bez gór, bez mórz, położenie ojczyzny. Sztuka wojskowa stawiała mu w umyśle problemata, złożone z samych X-ów i nie dające się żadnym rozumnym sposobem rozwiązać. Matematyka — statystyka, jeografia i sztuka wojenna zbiegały się razem w polityce, osnuwały ją dokoła, wiązały i krępowały siecią — rezygnacyi.

— Ha! jeżeli nie można, to nie można... — mówił sobie Michał — świętemi są dla mnie wspomnienia ojca, braci, matki, ale... ale...

Nie skończył myśli, lecz my ją za niego skończymy. Po „ale“ nie śmiał wypowiedzieć, że:

— Lepiejby było gdyby możliwe przełożył nad godziwe: pan Michał nie byłby sierotą, nie byłby ubogim, nie pozostałby na łasce dalekiego krewnego, — byłby niepodległym i może... nawet... grafem... Kiedy inni mogli zostać grafami, czemużby i on nie mógł zostać... Ojciec jego był niegdyś bogatym, przodkowie zasiadali senatorskie krzesła i gdyby... nie ten... Bar...

— Prześliczne, heroiczne usiłowania... — mówił do siebie — cóż, kiedy im małej jednej brakowało rzeczy!... rozumnego obrachowania... Matematyka, statystyka, jeografia, sztuka wojskowa i polityka były przeciwko nim, a oni chcieli niemi ratować ojczyznę... Błędy... to tylko dobrze, że przynajmniej heroiczne...

Pan Michał nie chciał błądzić. List hrabiego ugruntował go w tem niechceniu, a przytem i tą jeszcze błahą usprawiedliwiał sam przed sobą sumienie własne wymówką, że do pruskich, nie zaś do moskiewskich zaciąga się szeregów — jakby Prusacy i Moskale nie jednem i tem samem dla Polski byli.

Miało sumienie Michała i jeszcze jedną wymówkę, tę, która póki wypróbowaną nie została, za dobrą uchodziła monetę. Wymówką tą był nienazwany podówczas jeszcze technicznie — walenrodyzm. Był on jeszcze w pewnych kółkach towarzyskich, mających przystęp do niemiecko-moskiewskich godności, jako wysoki rozum stanu uważanym, — nie wiedziano bowiem, że jak Słowacki powiada:

„Wallenrodyczność, czyli wallenrodyzm
Bardzo jest dobrą rzeczą: — a najwięcej,
Wprowadza pewien do zdrady metodyzm,
Z jednego robi zdrajców sto tysięcy“.

Otóż kiedy naszemu Michałowi przychodzili na myśl: ojciec, bracia i matka, — i kiedy stawali przed nim nago, poranieni, potłuczeni, krwią ociekający — to on tak myślał sobie:

— Przecież ja o nich nigdy nie zapomnę, — przeciwko sprawie, za którą oni męczeńsko poginęli, nigdy broni nie podniosę; — przeciwnie: ja ich kiedyś... kiedyś... pomszczę....

Jakże owo „kiedyś“ mu się przedstawiało? — Oto, pod postacią armii, oddanej pod jego naczelne dowództwo. Armia zaopatrzoną była we wszystko, liczną miała piechotę, ...ną kawaleryę i artyleryę. Pociągi, ambulansy, ekwi...e mostowe — nic jej nie brakło. On ją prowadził i — gubił. Przeciwko komu prowadził? — z tego nie zdawał przed sobą sprawy. Co to była za armia, moskiewska czy niemiecka? — to mu było wszystko jedno, — nawet, jeżeli prawdę wyznać mamy, wolałby, żeby to była moskiewska, czuł bowiem większy pociąg do gubienia Moskali. Niemcy mniej go osobiście dotknęli, był więc na nich łaskawszym.

Pod takiemi tedy moralnemi wpływami i warunkami wstąpił nasz bohater do armii pruskiej, do nieśmiertelnych huzarów. Wstąpiwszy, uwiadomił o tem pannę Antoninę, listem, w którym główny przycisk kładł na to, że on zawsze ten sam; że żadne z jego uczuć na jotę się nie zmieniło; że tylko uczucia oddał pod wodzę rozsądku, i pewnym jest, że je w czystości i niepokalaniu przechowa, i nie będzie niegodnym tej, która go, jeszcze Michasia, mężem nazywała, którą on, gdy była jeszcze Antosią, jako żonę uważał. List ten napisanym był pięknie, czule i przekonywająco. Cóż — kiedy go panna Antonina nie czytała... Otworzyła, rzuciła okiem na podpis i na kominek w palący się płomień cisnęła, — a gdy ćwiartka płonęła, tak się wysoko podniosła jej pierś, że ją rękami przycisnąć musiała.

Może, gdyby ją Michał widział był w tym momencie — bo jej się na twarzy coś takiego, żal i rozpacz w jedno zlane, wyraziło — może odpadła by mu od takiego wojska i takiej wojny ochota i nieśmiertelne pruskie huzary straciłyby jednego z najtęższych.

Bo też rzeczywiście tęgim był, w całem znaczeniu tego wyrazu, huzarem. Tak samo jak wszyscy inni, ubranym był i uzbrojonym, a przecież nie tak samo przystawały do niego strój i uzbrojenie. Dolman i mentyk drapowały się za nim od niechcenia, jakby się w nich urodził, czako nieco naprzód nachylone, zfałdowywało mu czoło w lekkie zmarszczki, które twarzy jego nadawały wyraz groźny i prawdziwie rycerski, doskonale odbijający od szabli, taszki, szamerowań i tasiem. Słowem, był to najładniejszy w całym pułku żołnierz, odznaczający się i na piechotę i na koniu. Na koniu — trzeba go było widzieć. Żaden opis nie zdoła oddać dzielnej jego postawy, nie wymuszonej, nie naciągniętej, ale jakiejś swobodnej i zamaszystej, takiej, że go od razu na skrzydle postawiono, i na pierwszej zaraz rewii wpadł w oko królowi i królowej.

Król kazał mu wyjechać z szeregu.

Michał spiął konia ostrogami. Koń wysunął, poskoczył od razu w pęd, a on go przed samym królem na miejscu osadził, tak zręcznie i silnie, że koń aż usiadł na tylnych nogach.

— Jak się nazywasz?... — zapytał król.

— Michal von Grochowski, najjaśniejszy panie.

— Z polskich moich poddanych?...

— Tak jest, najjaśniejszy panie.

— Polacy są waleczni i królom swoim wierni... — dodała królowa.

— Będę starał się to dowieść, najjaśniejsza pani... — odparł Michał.

Śmiałe Michała odpowiedzi podobały się królestwu. Król kazał go zanotować, a królowa pochwaliła. Towarzysze i oficerowie zazdrościli mu rozmowy z najjaśniejszem państwem, dla tego może, że rozmowa ta postawiła go od razu na takiej stopie, że go wszyscy poczęli poważać, bo otworzyła przed nim drogę karyery.

Nie daleko jednakże po tej drodze zaszedł. Wojna się rozpoczęła i nie było nawet czasu odznaczyć się w niej, pomimo, że osobista odwaga była dla naszego bohatera rękojmią prędkiego odznaczenia się. Napoleon jeszcze prędzej z Prusakami się załatwił. Potłukł ich pod Auerstadt, pod Jeną i armię ich, nito bydła trzodę pognał przed sobą. Bohaterskie, przedwojenne odgrażania się, olbrzymie przygotowania, nie zdały się na nic. Zanim się Prusacy opamiętali, już Francuzi zajęli Berlin. Bohaterowie pruscy,

uciekali przed nimi, a najlepiej, nieśmiertelne huzary, jakby na usprawiedliwienie swego przezwiska, że dla tego nazywają się nieśmiertelnymi, iż śmierć ich nie dogoni.

Runęła potęga pruska, a z nią i zapał naszego bohatera.

— Tfu!... — kiedyś w marszu powiedział do siebie, pomyślawszy o smutnych wojny kolejach. — Mnie się zdawało, że gdzieś przecie potrzymają się choć trochę... że się jakoś postawią.....

Na czele takiej armii i Wallenrodów, dla zgubienia jej, stawać nie trzeba było.

Zniechęcił się Michał do Prusaków, i nad tem tylko przemyśliwał, jakby się z honorem z ich szeregów wycofać. Bo, krótko służył, a już przesiąkł tak zwanym honorem, zależącym na trzymaniu się szeregu, bez względu na to jakim on jest, — już przejął się „duchem wojska,“ ową sztuczną spójnią, wynalezioną przez praktyków wojskowych dla zastąpienia spójni naturalnej, jaką wojskom nadaje zrozumienie sprawy, za którą walczą. Sprawa pruska nie obchodziła bynajmniej naszego bohatera; lecz on osobą swoją stanął pod jej sztandarem, więc uznał jej przepisy, — więc czuł się zobowiązanym stosować się do owych przepisów, których najgłówniejszym paragrafem jest: wierność. Człowiek porządku, na naukowych i pewnikowych podstawach swoje wyobrażenia o powinnościach człowieka opierający, nie mógł buntować się przeciwko temu, co przez wszystkie najpoważniejsze wojskowe powagi jako pierwszy porządku warunek uznanem zostało. Trzymał się go niechętnie, chociaż położenie swoje uważał za kłopotliwe, zwłaszcza gdy na teatrze wojennym pojawili się sprzymierzeńcy pruscy, a tymi byli Moskale.

To szczęście, że ci ostatni pobitymi byli pod Pruską Iławą i Frydlądem.

Wojna rozstrzygnęła się tylżyckim pokojem, a pokój wyprowadził Michała z kłopotu. Polityka napoleońska, olbrzymia pod względem rozmiarów w całym świecie, tylko drobna i lękliwa co do Polski, poroniła płód, który się nazywał Księstwem Warszawskiem. Nasz więc Michał, jako Warszawianin, dobry miał i nawskroś honorowy pretekst wystąpić z pruskich szeregów. Wystąpił i powrócił do Warszawy.

Jakoś mu nie dobrze serce wróżyło gdy występował w progi domu, w którym mieszkała panna Antonina, i wywróżyło mu nie takie, jakiego by życzył sobie, przyjęcie.

Hrabia i hrabina powitali go z otwartemi ramiony, ale panna Antonina zimno mu się skłoniła i obojętnie o zdrowie zapytała, kładąc dziwnie jakoś brzmiący przycisk na wyraz „panie,“ którego dawniej nie używała.

Michał się zmięszał i zaniepokoił. Skorzystał z pierwszego sam na sam, aby tonem żalu i wymówki zapytać narzeczoną:

— Antosiu, czy ja takiego od ciebie spodziewał się przyjęcia!...

— Wymawiam sobie... — odparła panna Antonina sucho i ostro — abym nie była już dla pana Antosią..... To mogło uchodzić, póki byliśmy dziećmi.... Dziś pan jesteś słusznym człowiekiem, ja słuszną kobietą, musimy się więc zastosować do przyjętych w świecie zwyczajów, i być z sobą z daleka...

Ten ton i te wyrazy do żywego ubodły Michała. Powiedział:

— Przepraszam....

Wstał i odszedł.

Panna Antonina także odeszła do swego pokoju. A gdy zamknęła drzwi za sobą i sama została, jakże się od razu zmieniła!... Oczy nabiegły łzami, pierś co chwila podnosiła się westchnieniem, chodziła po pokoju i od czasu do czasu, zatrzymując się przed oknem, wznosiła oczy do nieba i zawieszała wzrok na wałęsających się chmurach. Śliczna twarz jej owianą była smutkiem.

Raz zatrzymała się na środku pokoju, przycisnęła pierś ręką i wraz z westchnieniem wypłynęły jej z ust wyrazy:

— Ja... go... kocham....

Ze swojej strony pan Michał także chodził po pokoju, także zatrzymywał się przed oknem i patrzał na niebo, i także był smutny. Myśli jego w następujący mniej więcej kształtowały się sposób:

— Ona zmieniła się dla mnie.... Wiem dla jakich powodów.... Ona egzaltowana: mógłżem do jej egzaltacyi postępowanie moje zastosować?...

Wzruszał ramionami i wzdychał.

— Ha!... — rzekł głośno — trzeba być cierpliwym...

Była to ofiara z konieczności, ale wielka ofiara: bo pan Michał kochał pannę Antoninę i z teatru zapasów wojennych powracając do Warszawy, kołysał się słodkiem rojeniem, że powraca po to, aby tę, którą kocha, nazwać żoną. Rojenie pękło, jak bańka z mydła. Żal za niem było panu Michałowi. Wzdychał, smucił się i niekiedy robił sobie wyrzuty, że nie przewidział tego fatalngo obrotu, jaki wzięła pruska wojna. Wyrzuty te były tem boleśniejsze, że skombinowawszy różne dane, przekonywał się, że powinien był przewidzieć — że popełnił omyłkę, która odroczyła chwilę połączenia się z panną Antoniną. Wydawało się mu, że, gdyby nie ta omyłka, to panna Antonina nie byłaby się zmieniła.

Pod tym względem — śmiało ręczyć możemy — nasz pan Michał nową popełnił omyłkę.

Bądź co bądź jednakże, na pierwszą omyłkę zwalił całe swoje nieszczęście i przemyśliwał o zaradzeniu złemu, i nowe tworzył kombinacye.

A tymczasem, w stosunkach jego z narzeczoną panował chłód. Ile razy nasi młodzi państwo się zeszli, tyle razy grzecznie i etykietalnie się witali i żegnali, mówili ze sobą o zdrowiu, pogodzie, brukowych i salonowych wypadkach, nazywali się „panem“ i „panią,“ bawili się i tyle. Panna Antonina bywała niekiedy zimna i sucha, niekiedy wesoła i dowcipna. Pan Michał zapominał się przy niej czasami, i spoglądał na nią takim wzrokiem, że z oczu tryskało mu kochanie. Wówczas ona lekko drżała. Lecz starannie wszelkich sam na sam unikała, a jeżeli uniknąć nie mogła, to wszczynała jakąś o niczem rozmowę, którą wiła niby girlandkę, z kwiatów dowcipu, z błyskotek rozumu, ale jej nigdy uczuciem nie wiązała. Na próbę, przytoczymy jedną taką rozmowę.

— Jakże się pan bawił na wieczorze u hrabiny X.?...

— Doskonale....

— Ja zaś, przyznać się muszę, żem się straszliwie nudziła.

— Pani dużo tańczyła...

— Właśnie dlatego się nudziła, żem tańczyła....

— A, to tego nie rozumiem....

— Wytłómaczę panu.... Co to są nudy?.... Wszak nie co innego, tylko nie miłe przepędzanie czasu, pochodzące z braku ożywienia, z jakiegoś wewnętrzngeo, moralnego nieusposobienia... Otóż tańczyłam, ale bez usposobienia i ożywienia.... Wyskakiwałam jak wrzecionko, kręciłam się z powinności, popychana i kierowana taktem muzyki, jak lalka sznureczkiem....

— Pani nie lubi tańczyć....

— Przeciwnie... — podchwyciła panna Antonina — lubię, ale nie zawsze... Teraz wolałabym nie tańczyć.....

— Teraz... — rzekł pan Michał, przyciskając „teraz“ akcentem — nie ma przecie czego się smucić....

— Jak-to?... — wyrwało się pannie Antoninie.

— Mamy niepodległą Polskę, którą pani tak kocha, i z której my wszyscy tak się cieszymy....

Panna Antonina zamyśliła się i raptem, jakby przebudzając się, odrzekła:

— A, prawda.... Spadła nam, jak z nieba.... No, ale cóż pan na to powie, mnie wesołość się nie bierze... Albo raczej, inaczej się wyrażę: czepiają się mnie jakieś kaprysy, szczególnie na wieczorach i balach.... Śmiesznymi wydają się mi ci, co tańczą... Wyobrażam sobie, gdybyśmy naprzykład w tej oto chwili, ja przed panem a pan przedemną poczęli skakać i wykrzywiać się...., nie byłoż by to śmiesznem.... A gdy przeniesiemy się do salonu i w liczniejszem gronie, przy odgłosie muzyki, skaczemy i wykrzywiamy się jedni przed drugimi, to to nie ma być śmiesznem...

— Pani bo surowa.... — przerwał jej pan Michał i stawał w obronie tańców ,na które panna Antonina napadała.

Takiemi bywały rozmowy pomiędzy narzeczonemi.

Z powyżej przytoczonej rozmowy podniosę jeden szczegół, mianowicie to „teraz,“ które z przyciskiem wymówił pan Michał. Odnosiło się ono do Księstwa Warszawskiego, utworzonego w skutek zawartego w Tylży traktatu.

Księstwo owe było, według jednych, pogróżką dla Rosyi, według drugich łaską dla Polaków, według rzeczywistości — lennym przyczynkiem dla Napoleona, który miał w niem wysunięty na wschód wojenny posterunek, placówkę na zatratę postawioną i ze wszech stron przez nieprzyjaciół otoczoną i naocznie strzeżoną. Gdybyż ono miało było przynajmniej siłę i naturalne granice, to jeszcze — to może zdobyć by się potrafiło na jakowąś samoistność, przynajmniej wojskową. Siły jego jednakże, jakie mieć mogło, szły do Hiszpanii, na St. Domingo, na wszystkie strony świata, zbierając laury po całej kuli ziemskiej. Wszędzie ich było, tylko nie w Księstwie Warszawskiem, na wszystkie wiatry otwartem. Polacy wierzyli w tego bożka wojny dziewiętnastego stulecia, i leli za niego krew, w przekonaniu, że przelewają ją za ojczyznę.

Wkrótce po pokoju w Tylży, księstwo powołanem zostało do wystąpienia orężnie w sprawie Napoleona. W 1809 roku stanęło do boju z Austryą.

Losy bohatera naszego znów przeniosły go na pole zapasów wojennych, tym razem jednakże w narodowych już szeregach.

To, zdawało się, powinno mu było wrócić cześć w oczach i sercu panny Antoniny, zwłaszcza, że — jak wiemy — serce kochającej kobiety jest tak łatwo przebaczającem.

Inaczej się jednakże stało, a to z tej przyczyny, że na nieszczęście naszego bohatera, panna Antonina była obecną przy naradzie familijnej, jaką przed wypadkami odbył hrabia z żoną, synami i panem Michałem.

W naradzie tej wystąpiło najprzód „ja“ a potem „ojczyzna.“ Michał zrobił kombinacyę, która uznaną została przez wszystkich.

— Nie wielkich — mówił — rzeczy można teraz oczekiwać, ale trzeba spłacić dług konieczności.... Trzeba iść, żeby nie być okrzyczanym za tchórza, chociaż może odważniej byłoby nie iść.... Są jednakże chwile, w których należy zamknąć oczy.... Taką chwilą jest obecna dla nas.... Zróbmy porównanie pomiędzy nami, tak jak dziś jesteśmy, a Prusami, jakiemi one były w pozaprzeszłym roku... My z kilkunastu tysiącami świeżego wojska, opierać się mamy Austryi, która z pewnością będzie miała przeciwko nam kilkadziesiąt tysięcy do rozporządzenia. Prusacy z ogromną i wyćwiczoną armią, z olbrzymiemi zasobami i z całym zapałem, zgnieceni zostali przez Francuzów.... Jakiż los nas czeka?.... Trzeba jednakże iść....

Hrabia uścisnął pana Michała, przyznając zupełną słuszność i sprawiedliwość jego sposobowi widzenia. Dodał wszakże, że ponieważ istnienie Księstwa Warszawskiego zaręczonem jest traktatami, przeto, w najsmutniejszym nawet razie, nie można zbyt smutnej spodziewać się katastrofy. Rosyjskie wojska współdziałać będą z polskiemi, więc chociażby najnieszczerzej współdziałały, zawsze Księstwo Warszawskie księstwem zostanie — i zawsze w księstwie zaszczytniejszą będzie pozycya socyalna tego, który nosił oręż w szeregach narodowego wojska.

Wskutek tej narady, jeden z synów hrabiego — już nie ten, co był w dragonach królowej — i pan Michał stanęli pod sztandarami narodowemi i odbyli całą kompanię 1809 roku.

O tej kampanii, albo raczej o udziale, jaki wziął w niej nasz bohater, nie wiele mam do powiedzenia, chyba to tylko, że wstąpił do ulanów i bił się walecznie. Mówię to od niechcenia, dla tego, że waleczność, odszczególniająca Polaków w ogólności, niczem nie jest szczególnem w pojedyńczym Polaku. Chwalić więc Polaka za waleczność jest prawie tem samem, co chwalić go, że na świat przyszedł. Ciekawszym pomiędzy nami byłby tchórz, jako postać wyjątkowa, dziwna a nadzwyczajna. Wiem o tem z doświadczenia. Onego czasu, kiedy sam byłem wojującym żołnierzem, z jakąż ciekawością przypatrywaliśmy się ludziom, którzy stchórzyli!... Z pewnością wieśniacy nasi nie przypatrują się tak tańcującemu niedźwiedziowi, którego cygan na łańcuchu po wsiach oprowadza, ani ustrojonej w czerwony frak małpie. Tchórz!... biada była temu, komu się ten przydomek dostał... Lepiej by mu było stokroć, gdyby był na świat nie przychodził.

Dla tego nie zachwycałem się walecznością Michała, jakiej dowody dał pod Raszynem i zawsze, ile razy pułk jego bądź w masie szarżował, bądź oddziałami staczał drobne, podjazdowe z nieprzyjacielem potyczki.

Od 1809 roku, nie opuszczał już nasz bohater szeregów wojskowych.

W stosunkach pomiędzy nim a panną Antoniną, żadna nie zachodziła zmiana. Ta sama panowała pomiędzy nimi grzeczność, ta sama obojętność — obojętność pozorna, bo oni się kochali i tylko uszanowali obojętność, on przez delikatność, ona przez te nieszczęsne nieśmiertelne huzary, które jej kochanka pokazały ze strony praktycznej, liczącego rozumnie i stawiającego kroki na drodze żywota ostrożnie, krytykującego przeszłość a nie wierzącego w przyszłość narodową.

Panna Antonina kochała Michała, ale przypominała sobie tych, co to, gdy ona im pod sekretem kilka słów powiedziała, oni biegli za Alpy i Apeniny i odgrażali się, że nie powrócą inaczej, chyba, ze szramą przez pysk. Wzdychała i mówiła sobie:

— O, czemuż on nie pomiędzy nimi!...

Z tych dziesiąty wracał. O innych wieści tylko doszły, że zginęli. Inni bez wieści przepadli.

Pomiędzy tymi, którzy powrócili, był Stanisław Grzybowski. Ten co obiecał, dotrzymał, bo powrócił z krzyżem na piersi i z piękniejszą stokroć dekoracyą na twarzy — z podwójnem cięciem przez czoło i przez skroń i oko.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

# Nad brzegiem przepaści.

Tłomaczone z angielskiego.

P. O.

6) (Ciąg dalszy.)

Przeniesiono ją na łóżko do jej sypialni, lecz nikt nie chciał przy niej czuwać, nikt jej nie chciał pielęgnować. Zostałam więc z nią sama, nie poznała mnie jednak i zaczęła do mnie mówić w tej myśli, że jestem zupełnie kimś innym. Gorączka, wywołana utratą krwi i wewnętrznym bólem wzmagała się z każdą minutą.

— Fredy! — krzyknęła ochrypłym głosem, — szukają ciebie! Chodzi tu o ćw czek... musisz uciekać tej nocy jeszcze... natychmiast! Ja się podejmuję wprowadzenia ich na fałszywy ślad... narażam się okropnie... tak okropnie, ale to dla ciebie, Fredy! Nie ma nic, czegobym dla ciebie nie uczyniła, nie odpowiadam jednak ani za twoje ani za moje bezpieczeństwo! Nic nie szkodzi, pójdę tam i zobaczę, czy...

Umilkła na chwilę i patrzała na mnie z wyrazem nieopisanej rozpaczy. Potem mówiła dalej:

— Alfredzie Voodfall, czemu ty się chcesz żenić z tą wytworną panną? Pieniędzy ona nie ma, i piękną też nie jest! Ja jestem o wiele ładniejszą! I jestem ci wierną, oddaną całą duszą i sercem! Czy ja ci się nie podobam? Czemu nie chcesz się ze mną ożenić, Fredy?

Domyśliłam się od razu, że ów Fredy, czyli Alfred Voodfall nie mógł być nikim innym, jak wspólnikiem jej, tym, którego widziałam w nocy z paczką w rękach.

— Uciekaj! — zawołała Sara przestraszona znowu — wierzaj mi, że szukają ciebie! Jeżeli cię zaaresztują, to po tobie! Można przecież też w inny, mniej niebezpieczny sposób zarobić sobie pieniądze!

Po tych słowach umilkła. Myślałam już, że się uspokoi i uśnie trochę, tymczasem ku memu niezmiernemu przerażeniu szepnęła po chwili cicho, ledwie zrozumiale.

— Umarli nic nie mówią, Fredy! Im prędzej, tem lepiej! Czy życie takiego starca ma tak dużo wartości u ciebie? Tylko nie łudź się, oni mają dowody twej winy! Gdy pomyślę o tem wszystkiem... Stałeś ty się przypadkiem mordercą?

Byłam prawie martwą z strachu! Więc ta kobieta, z którą tak długo żyłam pod jednym dachem, była uosobnieniem zbrodni!

Teraz zaczęła się śmiać głośno i szyderczo, i krzyknęła gwałtownie:

— Wiecie, Fred zakochał się po uszy w tej Dorze... Chce się koniecznie z nią żenić, i co gorzej, że żąda mej pomocy w osięgnieniu swego celu.

Przypomniała mi się teraz rozmowa podsłuchana pomiędzy Sarą i tajemniczym gościem pana Raynera, i wnosiłam z tego, że owym Fredem, nie mógł być kto inny, jak Gordon, służąca lorda Carsuthera. W rzeczywistości myślałam, że chodzi tu o Toma Parkesa i że Joasia wzbudzała zazdrość w Sarze, ale przekonałam się, że o mnie była mowa! Więc kto był ów Fred, zakochany we mnie i pragnący się ze mną ożenić? Trzeba mi pilnie było uważać na każde słowo Sary, bo tylko od niej mogłam się dowiedzieć prawdy!

I po chwili zaczęła Sara znowu:

— O jak to cięży, Tomie!... Fred powinien ci był pomódz... Sklep pełen wody, ale woda nic nie zaszkodzi ani brylantom, ani srebru...

Ah! Była tu mowa o kradzieży w Denham-Cont!

— Tom! Tom! — krzyknęła nagle — ta żmija, Dora Christie, podejrzywa nas! Fred kocha ją tak, że nie chce mi wierzyć, chociaż dosyć go przestrzegam, on zanadto jest zaślepiony! Ale ja czuwam nad nią i jeżeli się przekonam, że... Ach Fredy, ona cię zgubi!

Połączenie mego imienia z imieniem nieznanego mi jakiegoś Freda, było mi niezmiernie przykrem i niezrozumiałem. Lecz ciekawość przemogła wstręt, i zbliżając się zupełnie do Sary, rzekłam głośno i wyraźnie:

— Alfred nie wierzy ci, nieprawda?

— Nie! — odpowiedziała smutnie — on mi nie wierzy, bo zanadto ją kocha! Ach Fredy, strzeż się, strzeż się! — zawołała przestraszona — jestem pewną, że znajdzie się jaki detektiv, który wykryje złodzieja i który będzie miał dosyć odwagi do zaarsztowania Alfreda Vodfalla!

Po tych słowach umilkła. Nie spała wcale tej nocy, majaczyła trochę, lecz mówiła tak niewyraźnie, że nic już nie mogłam rozumieć. Siedziałam przy niej aż do rana, poczem Joasia zajęła moje miejsce.

## ROZDZIAŁ 9.

Nazajutrz rano wysłałam depeszę do pana Raynera z uwiadomieniem o nieszczęściu, jakie spotkało Sarę. Odpowiedział mi natychmiast, donosząc, że przesyła wyuczoną pielęgnowaczkę chorych i rzeczywiście około wieczora przybyła jakaś kobieta z listem polecającym pana Raynera. Zapytała zaraz o Sarę i udała się do jej pokoju. Nowoprzybyła nie podobała mi się wcale — twarz jej nie budziła we mnie żadnego zaufania, ale pomimo to przyjęłam ją uprzejmie, ciesząc się, że nie potrzebuje już doglądać chorej.

Przedewszystkiem zapytałam jej, czy nie jest głodną, lub czy nie chce czego wypić.

— Owszem — odrzekła krótko — prosiłabym o szklankę piwa.

Przypomniało mi się, że gdy zbiegłam wczoraj na dół dla ratowania Sary, podniosłam z ziemi pęk kluczy, które zapewne Sarze wypadły z kieszeni. O, gdyby nieszczęśliwa wiedziała, w czyich rękach znajdowały się teraz owe klucze, których nie byłaby nikomu ani na chwilę pożyczyła.

Służba rządała także cukru, kawy i świec, wypadało mi więc koniecznie iść do śpiżarni i do sklepu.

Gdy stanęłam przed zamkniętemi drzwiami śpiżarni, próbowałam otworzyć je rozmaitemi kluczami, i dopiero po długiem szukaniu znalazłam mały kluczyk, stosowny do zamku. Weszłam sama do obszernego pokoju, którego ściany wyłożone były deskami, zapewne z powodu wilgoci. Obejrzałam się ciekawie na wszystkie strony, lecz oprócz pudeł, koszy, garnków i beczek nie zauważyłam tu nic nadzwyczajnego. Pierwsza szafa, jaką otworzyłam, zawierała same słojki z konfiturami i konserwami, lecz cukru i kawy nie mogłam znaleść ani w tej, ani w innych szafach. Nagle spostrzegłam w kącie czarny skórzany worek, ten sam, który Sara niosła wczoraj do miasta i będąc pewną, że nie miała jeszcze czasu na wyjęcie jego zawartości, podniosłam go z ziemi. Ale worek był próżny! Kładąc go jednak na dawne miejsce, ujrzałam pierścień żelazny, przymocowany do podłogi i nie namyślając się długo, uchwyciłam go i podniosłam zatrzask. W innym domu nie byłabym może wcale na to zwróciła uwagi, tu, gdzie wszystko było tajemnicą, wzbudzał najmniejszy przedmiot całą moją ciekawość. Pod zatrzaskiem znajdowała się drabka — zbierając więc całą moją odwagę, zeszłam na dół...

Lecz nagle zadrżałam z przerażenia. Poniżej czwartego szczebla była woda — zielona, brudna woda, w której ciemnej powierzchni odbijał blask mej świecy.

Wszakże Sara mówiła w gorączce o wodzie w sklepie!

Po krótkim namyśle wróciłam do śpiżarni, wzięłam jakąś tyczkę, stojącą w kącie i schodząc znowu do czwartego

szczebla, zmierzyłam głębokość wody. Przy tej sposobności spostrzegłam kilka próżnych baryłek, pływających na wodzie i ściany sklepu, porosłe mchem i pleśnią. I teraz poznałam, że to była studnia, po nad którą znajdowała się sypialnia pani Rayner. Czy mógł być pokój więcej niezdrowy?

Woda tu tylko miała cztery do pięciu stóp głębokości, Moja tyczka natrafiła wnet na jakiś przedmiot miękki i niewielki, lecz nie mogłam poznać, co to być mogło. Przy bliższem rozpatrzeniu się po tej dosyć obszernej studni, spostrzegłam po prawej stronie, w odległości mniej więcej pół metra od drabki, wystający nad wodą słup, a na nim mały kuferek, który poznałam natychmiast! Tom Parkes niósł go, gdy szedł z Sarą — był to zresztą ten sam, który się znajdował w szafie, w moim pokoju w Denham-Court! Omyłka była niemożliwa — na boku znajdowała się zawsze kartka z napisem „Torino''. Wzięłam go naturalnie, otworzyłam bez trudności i o mało nie krzyknęłam głośno...

Kuferek napełniony był klejnotami! Na wierzchu zaraz leżał brylantowy naszyjnik lady Mills, dalej bransoletka i kolczyki niezmiernej wartości. Zamknęłam kuferek, lecz przy tej sposobności wypadła mi świeca z ręki i zgasła w wodzie. Drżąca z strachu, wyszłam nareszcie z owej ciemnej, okropnej studni i ochłonąwszy nieco w śpiżarni, udałam się nareszcie do biblioteki.

Z prawdziwą rozkoszą odetchłam świeżem powietrzem, lecz przebyte wzruszenie wywarło taki na mnie wpływ przygnębiający, że teraz, gdy już byłam bezpieczną, głośno płakać zaczęłam.

## ROZDZIAŁ 10.

Płakałam długo, aż wreszcie zaczęły się moje nerwy zwolna uspokajać. I chcąc się pozbyć okropnych dręczących myśli, wyjęłam z kieszeni list Ryszarda i z prawdziwą rozkoszą czytałam jego słowa, pełne miłości i tęsknoty za mną. Lecz nagle otworzono drzwi, i pan Rayner stanął na progu. Nie spodziewałam się dziś wcale jego powrotu i powiedziałam mu to otwarcie.

— Załatwiłem wszystko prędzej — odrzekł — niż z początku myślałem i nie miałem po co siedzieć dłużej w Londynie. Spieszno mi było do domu — opowiedz mi pani dokładnie, co się tu działo w czasie mej nieobecności?

Zdałam mu sprawę z nieszczęśliwego wypadku Sary, lecz on nie bardzo o tem się zasmucił. Potem zaczął mi opowiadać o swoim pobycie w Londynie i nareszcie zaczął o kradzieży brylantów Denham-Court.

— Wywarło to pewnie wielkie wrażenie na mieszkańcach zamku — dodał z dziwnym uśmiechem.

— Naturalnie — odrzekłam — lord Carsuthers był niezmiernie wzburzony, gdy mi o tem opowiadał. Co do mnie, to jestem bardzo szczęśliwą że mnie tam już nie było!

W tej samej chwili przyszło mi na myśl, że fatalizm jakiś ciężył nad każdą podróżą pana Raynera. W przeciągu pół roku wyjechał dwa razy do Londynu i za każdym razem popełniono kradzieże brylantów, najpierw u lorda Dalstona, a teraz w Denham-Court!

Lecz bądź co bądź postanowiłam mu powiedzieć o moich podejrzeniach i rzekłam, że w Denham-Court nikt inny brylantów nie ukradł, jak Tom Parkes i Sara.

— Widziałam ich razem w nocy, w ogrodzie — dodałam. — Parkes miał mały, czarny skórzany kuferek, który później leżał koło schodów. Dziś widziałam go w sklepie — i otworzywszy go, zobaczyłam brylanty lady Mills. Poznałam natychmiast jej naszyjnik i bransoletkę — nosiła je codziennie w Denham-Court!

— Ależ to niemożliwe — zawołał pan Rayner — przysięgam pani! Przyznaję, że Sara ma istny szatański charakter — że jest złą i przewrotną intrygantką, że kłamie bezczelnie, ale złodziejką nie jest! Można być wcielonym waryatem, lecz złodziejem... nie, panie, tego nigdy nie uwierzę.

Pan Rayner okropnie był wzburzony. Biegał po pokoju, poruszał gwałtownie rękami, stawiał mi najrozmaitsze pytania i zatrzymując się znowu przedemną, rzekł z głębokiem przekonaniem:

— Nie, ona by nie śmiała przynieść tu, do mego domu, skradzionych przedmiotów! Nie przypuszczam tego ani na chwilę! Nie zdobywałaby się na podobną zuchwałość!

— Jestem pewną, że korzystała z nieobecności pana i ukryła tu wszystko, co Parkes ukradł!

— Ale Parkes jest najuczciwszym z ludzi! Odpowiadam za niego zawsze i wszędzie! Ile ja już miałem dowodów jego rzetelności!

Dziwiłam się mocno w duszy, że pan Rayner nie żądał kluczy od śpiżarni, aby się przekonać o prawdziwości słów moich, ale obawiając się, że poprosi mnie o towarzyszenie mu do studni, milczałam.

— Nie mów pani nikomu o tem wszystkiem, — rzekł po chwili znacznie spokojniejszy, — przedewszystkiem muszę sam zbadać dokładnie całą tę sprawę. Może być łatwo, że Sara i Tom Parkes stali się ofiarami zręcznych łotrów, którzy posłużyli się nimi, aby wejść w posiadanie tych kosztowności. Jak to się stało, tego na razie wytłumaczyć sobie nie umiem. Więc pani jesteś przekonaną, że kuferek, który Tom niósł wówczas w nocy, znajdował się później w wszafie w twoim pokoju, w Denham-Court?

— Tak, nie ulega to żadnej wątpliwości.

— A zatem kradzież popełnioną została w środę.

— Zapewne!

— No, Sara opowie nam wszystko, skoro tylko odzyska przytomność. Ja tymczasem postaram się o jakiekolwiek wyjaśnienie i będę się czuł szczęśliwym, gdy zdołam panią nieco uspokoić. Wyobrażam sobie, że jesteś bardzo rozdrażnioną!

Po tych słowach umilkł i siedział długo, w głębokich pogrążony myślach. Potem wstał, i patrząc na mnie z uśmiechem, rzekł swobodnie:

— Wiem już, jak najlepiej będzie. Pojadę z panią i Emilką na kilka miesięcy do Włoch. Emilce potrzeba słońca i ciepła, a bez opieki pani nie mogłaby się obejść!

Zadrżałam z radości, bo podróż ta zbliżyłaby mnie do mego ukochanego Ryszarda ale w następnej zaraz chwili powiedziałam sobie, że jechać nie mogę, jeżeli pani Rayner zostanie w domu.

— A żona pana? — zapytałam nieśmiało.

— Moja żona zostanie tutaj, — odrzekł stanowczo. — Zresztą — pomówimy jeszcze o tem!

Wszystko to, zamiast uspokoić, rozdrażniło mnie jeszcze więcej. Ciągle jakieś tajemnice, zagadki......

Jak się to skończyć miało?

## ROZIZIAŁ 11.

Najważniejszym wypadkiem dnia następnego było przybycie urzędnika policyi. Pan Rayner przyjął go bardzo uprzejmie.

— W domu pana znajduje się służąca, Sara Gooch, — zaczął urzędnik poważnie.

— Tak, — odrzekł pan Rayner, — czego pan chcesz od niej?

— Mamy ją w podejrzeniu o branie udziału w kradzieży brylantów w Denham-Court. Słyszeliśmy, że niektóre skradzione przedmioty znajdują się w jej posiadaniu.

Pan Rayner badawczo spojrzał na niego i milczał przez chwilę, potem zawołał stanowczo:

— Nie panie, to jest zupełnie niemożliwe!

— Przykro mi bardzo, że muszę zniszczyć zaufanie, jakie pan pokładasz w uczciwości tej dziewczyny, lecz dowody są dowodami!

— Masz je pan? Napewno?

— Proszę przesłuchać.

— W piątek po obiedzie, około wpół do piątej, widziano jak Sara Gooch wręczyła pewnemu mężczyźnie z Beaconsburgh małe pudełko, które wyjęła z czarnego worka. Mężczyzna ten pojechał natychmiast do Londynu w wagonie drugiej klasy. Niedaleko Colchester zemdlał i na następnej stacyi trzeba było otworzyć jego torbę, aby poznać jego nazwisko i adres. Torba napełnioną była klejnotami — o czem zaraz uwiadomiono policyą. Człowiek ten jednak odzyskał wnet przytomność i uciekł, lecz okazało się, że pudełko, znalezione w jego torbie było to samo, jakie mu Sara wręczyła. Musisz pan przyznać sam, że pomiędzy tym człowiekiem a Sarą Gooch istnieje jakiś stosunek, oparty na wspólności kradzieży. I teraz proszę usilnie o pozwolenie zobaczenia owej Sary Gooch. Jestem do tego upoważniony!

Pan Rayner, blady jak ściana, lecz zupełnie spokojny, zaprowadził go w milczeniu do pokoju chorej. O przesłuchiwaniu jej nie mogło jednak być mowy — nieszczęśliwa dziewczyna leżała w gwałtownej gorączce i nie poznawała nikogo.

Policyant był zły i niecierpliwy.

— Nie dojdę do celu, — rzekł gniewnie.

Ale pan Rayner uspokajał go i pocieszał, i w swej nadzwyczajnej uprzejmości, zaprowadził go nawet do gościnnego pokoju na górze i kazał mu posłać obfitą kolacyą.

— Ile to nieprzyjemności, — rzekł, gdy wrócił do salonu. — Uważałem dotychczas Sarę za wzór uczciwości i rzetelności, a teraz nie wiem sam, co myśleć.

— Przypominasz pan sobie, — szepnęłam, — o tem, co powiedziałam o owym kuferku, znalezionym w sklepie?

Pan Rayner zadrżał.

— A do licha, — zawołał, — zapomniałem o tem zupełnie, albo raczej nie przywiązywałem do tego żadnej wagi, będąc przekonanym, że wszystko to było jedynie wynikiem wyobraźni pani, podnieconej temi nadzwyczajnemi wypadkami. Gdzie są klucze od śpiżarni? — dodał niespokojnie.

— Mam je w kieszeni!

— Musimy zejść do sklepu! Jeżeli pani mówiłaś prawdę, to rzeczywiście trzeba prosić Boga o pomoc i radę, bo ja tracę całą przytomność umysłu!

Poszłam niechętnie z panem Raynerem do śpiżarni, ale czułam, że nie mogę mu tego odmawiać. Był on tak nerwowy, że nie mógł otworzyć drzwi, musiałam to więc uczynić sama. W śpiżarni leżał worek zawsze jeszcze na tem samem miejscu — odsunęłam go, podniosłam zatrzask i podczas kiedy pan Rayner schodził na dół po drabce, stałam nad otworem z świecą w ręku. Po chwili usłyszałam głos jego z dołu:

— Nie, droga pani, ja tu nic nie widzę!

— Tam, więcej na prawo, — rzekłam.

Pan Rayner obracał głowę na wszystkie strony, lecz widocznie kuferka nie widział.

— Dzięki Bogu! — zawołał z westchnieniem ulgi. — Było to tylko złudzeniem z strony pani, tutaj nie ma nic, zgoła nic!

— Ale przecież słup wystający z wody......

— Jaki słup?

— Może woda stoi wyżej?

— Jeżeli się pani nie boisz, to zejdź sama i przekonaj się!

Po ilości stopni poznałam natychmiast, że woda stała dziś zupełnie tak wysoko, jak wczoraj. Obejrzałam się na lewo i na prawo i rzeczywiście, nie widziałam ani słupa ani kuferka. Wyraz twarzy pana Raynera, oświeconej blaskiem świecy, przerażał mnie niewypowiedzianie, mianowicie, gdy zaczął się teraz śmiać... dziwnie... szyderczo...

— Pomóż mi pan wyjść ztąd, — krzyknęłam.

Podał mi rękę i chciał coś powiedzieć, lecz zaledwie wyszłam z sklepu, rzuciłam się jak szalona ku drzwiom i biegłam bez pamięci przez kurytarz i pokoje aż do salonu.

Po chwili był pan Rayner obok mnie i ujął z niezmierną czułością moje ręce.

— Biedna miss Doro, — rzekł serdecznie, — zanadto jesteś zdenerwowaną! Pomyśl, że opuścisz wnet ten dom ponury i zamieszkasz w kraju kwiatów i słońca! Tam zapomnisz o wszystkiem, co cię tu dręczyło, zapomnisz o tej atmosferze smutku i przygnębienia, jaka cię tu otacza! Ty jesteś stworzoną do swobody i szczęścia i......

— Przysięgam panu, — przerwałam gwałtownie, — że widziałam na własne oczy kuferek i klejnoty!

— Wiem, wiem!

Ale wiedziałam, że mi nie wierzył. I to mnie tak zmartwiło, że mimowoli zaczęłam płakać.

— Nie płacz, droga miss Doro, nie płacz, — prosił czule. — Zeszpecisz sobie twoją śliczną twarzyczkę! Gdy opuścimy ten dom, nie wspomnimy już nigdy w życiu imienia Sary!

— Ach ta niegodziwa dziewczyna, — zawołałam oburzona. — Nie mogę myśleć o niej bez uczucia strachu! Z tego co mówiła w gorączce domyśliłam się bardzo łatwo, że należała do szajki złodziejskiej! Bóg wie, jakie ona ma zbrodnie na sumieniu! Nie słyszałeś pan nigdy o jakimś Alfredzie Voodfall?

— Alfred Voodfall! Kto pani o nim mówił?

— Sara, zawsze Sara! Zrozumiałam tyle, że gdy była młodą kochała namiętnie tego człowieka, i że on pociągnął ją do rozmaitych złych uczynków! To tylko dziwne, że miesza jego nazwisko z nazwiskiem osób, które zna obecnie — przeszłość z teraźniejszością......

— Tak? I jakież to nazwiska?

— Naprzykład — moje! Mówiła, że Alfred Voodfall, którego tak szalenie kochała, chce się ożenić ze mną i że prosił jej o pomoc w wykonaniu tego zamiaru. Jeszcze dziś drżę z przerażenia, gdy sobie przypomnę wszystko to, o czem w gorączce mówiła!

Pan Rayner był zupełnie spokojny.

— Podług jej zdania jest ów Alfred Voodfall zapewne skończonym łotrem, nie wspomniała nic o tem?

— Nie, ale można się tego łatwo domyśleć. Znasz pan nazwisko tego człowieka?

— Bardzo dobrze!

— Jestem jak najmocniej przekonaną, że kocha go dziś jeszcze równie gorąco jak dawniej, i że to on jest owym złodziejem brylantów w Denham-Court. Gdybyś pan się mógł dowiedzieć od niej, podczas kiedy urzędnik policyi jest jeszcze tutaj, gdzie się znajduje Alfred Voodfall, to możnaby policyą łatwo wprowadzić na ślad tego zbrodniarza!

Pan Rayner uśmiechnął się.

— Obawiam się bardzo, — rzekł, — że to nam się nie uda. Jeżeli Alfred Voodfall jest tym, którego mam na myśli, to zdaje mi się, że żaden policyant nie dostanie go żywego w swoje ręce. Mógłbym przysiądz na to!

ROZDZIAŁ 12.

Przygotowania do wyjazdu naszego do Włoch rozpoczęły się w najlepsze. Byłam po prostu w rozpaczy, że pani Rayner miała zostać w domu, ale ona sama nie chciała jechać z nami. Gdy o podróży tej mówiono w jej obecności, stawała się czasem tak nerwową, że musiała iść do swego pokoju, czasem była znowu zupełnie spokojna i tylko patrzała na mnie tak, jak gdyby mi chciała powierzyć jakąś tajemnicę, do czego wszakże nie miała odwagi.

Dziwna to była kobieta. Bywały chwile, w których można było sądzić, że jest obłąkaną, lecz potem wydawała mi się zupełnie rozsądną, i nie mogłam pojąć, jak można ją było uważać za umysłowo chorą. W każdym razie była ona dla mnie prawdziwą zagadką.

Pewnego dnia, gdy przypadkiem byłyśmy same w salonie, zbliżyłam się do niej i rzekłam serdecznie:

— Rozłączenie z Emilką sprawia pani zapewne wielką przykrość!

Pani Rayner utkwiła we mnie swoje wielkie, ciemne oczy i odparła drżącym głosem:

— Nie myślę o Emilce tylko o pani!

— O mnie?

— Wiem, że narażam moje życie, miss Doro, — szepnęła, ściskając moją rękę, — ale pomimo to muszę cię uprzedzić o niebezpieczeństwie, jakie ci grozi! Widzę, że jesteś młodą, niedoświadczoną, że nie znasz świata i że w danym razie nie potrafiłabyś się obronić......

Mówiąc to, była tak wzruszoną, że zaczęłam się lękać o nią. Prosiłam więc usilnie, aby już nie mówiła więcej i ofiarowałam się iść po flakonik z solą angielską, lecz poruszyła głową przecząco.

— Nie jestem chorą, — rzekła, — nie obawiaj się niczego, moje dziecko. Słuchaj tylko mej rady: gdy przybędziesz do Londynu, nie idź na okręt sama z moim mężem — za nic w świecie, bo ja wiem, że on chce Emilkę zostawić w Londynie! Jeżeli mówi o zabraniu jej do Włoch, to jedynie dla tego, aby ciebie nakłonić do tej podróży!

— Ależ to niemożliwe, — zawołałam przerażona. — Boże mój, co ja mam w takim razie uczynić? W jaki sposób stawić opór panu Raynerowi, jak postępować w obec niego?

— Zawołaj policyi, broń się jak możesz! Lepiej wywołać skandal, niż....

Nie dokończyła, dopiero po chwili milczenia zaczęła znowu:

— Myślę zresztą, że wystarczy, jeżeli okażesz trochę stanowczości. Proszę cię tylko, nie daj się niczem zastraszyć, bo nie chodzi tu ani o Sarę ani o Emilkę, tylko jedynie o ciebie! Na miłość Boską, chciej zrozumieć ważność moich upomnień! Pomyśl, że ja mogę życiem przypłacić to, co ci teraz powiedziałam.

Biedna kobieta drżała silnie i osunęła się bezwładnie na fotelu, a czoło jej pokryło się zimnym potem. Głos jej stał się tak cichym, że ledwie ją mogłam zrozumieć — po ostatnich słowach umilkła i leżała jak martwa. Zaniepokojona uniesieniem, z jakiem mówiła, nie wiedziałam rzeczywiście, co myśleć i znów zaczęłam wątpić o jej zdrowych zmysłach.

Z tem wszystkiem obserwowałam przez cały dzień pilnie pana Raynera. Nazajutrz mieliśmy wyjechać, było więc jeszcze dużo zajęcia, tem więcej, że detektyw ciągle jeszcze był w domu. Pan Rayner okazywał mu zawsze równą uprzejmość, chodził z nim wszędzie i pomagał w wszelkich — jak dotąd daremnych poszukiwaniach. Wieczorem zaprosił go do salonu, wskazał mu miejsce obok żony i postawił przed nim kieliszek i butelkę wina. Mnie wezwał do biblioteki pod pozorem towarzyszenia mu na fortepianie, lecz zaledwie weszłam, zamknął za mną starannie drzwi i zbliżył się do mnie. W tejże chwili uczułam na szyi coś zimnego i usłyszałam zasunięcie zameczka......

— Ach, — pomyślałam, — włożył mi na szyję jakiś łańcuszek!

— Chodź pani, — szepnął i pociągnął mnie do zwierciadła.

Spojrzałam i osłupiałam. Nie „jakiś" łańcuszek błyszczał na mej sukni, tylko naszyjnik z przepysznych rubinów i brylantów! Był to klejnot niezmiernej wartości!

Lecz równocześnie przyszło mi na myśl wszystko to, co mi mówił Ryszard i pani Rayner i szybkim ruchem zerwałam naszyjnik.

Pan Rayner stał przedemną i patrzał na mnie trochę zdziwiony, lecz bynajmniej nie rozgniewany. Schylił się, podniósł klejnot, włożył go do kieszeni i rzekł z szyderczym uśmiechem:

— Brawo, miss Christie! Ale może kiedyś pożałujesz tego, co uczyniłaś teraz! No, nie myślmy już o tem! Wróć do salonu i pomóż mej żonie w zabawieniu tego człowieka o spojrzeniu sokoła! O dziewiątej proszę przyjść tutaj. Do widzenia!

Wyszłam, nic nie mówiąc, a on został w bibliotece i zaczął grać na skrzypcach. Udałam się do sali jadalnej, rozdrażniona tem co zaszło i dopiero gdy ochłonęłam nieco, wróciłam do salonu. Detektiw siedział w wygodnym fotelu i drzemał, nie spał jednak zbyt mocno, bo od czasu do czasu poruszał głową i wołał „brawo! brawo!".

Ale po upływie pół godziny usnął snem prawdziwie kamiennym.

Pan Rayner tymczasem grał nocturn Chopina, tak cudnie, jak nigdy jeszcze. Potem zaczął jakiegoś smutnego walca i przeszedł do tak głośnego marsza, jak gdyby chciał wszystkich domowników zbudzić!

Nawet pani Rayner była zdziwioną hałaśliwą grą męża.

ROZDZIAŁ 13.

Jak zwykle tak i teraz zwróciły się myśli moje do mego ukochanego Ryszarda. Gdzie on był obecnie? Czy otrzymał moje ostatnie listy, w których mu opisywałam wszystkie wypadki zeszłego tygodnia?

Kilka dni minęło już od owej nocy, w której dowiedziałam się tyle rzeczy od Sary, a pomimo to nie mogłam się pozbyć odniesionego wrażenia. Nazwisko Alfreda Voodfella nie wychodziło mi z pamięci, musiał to jednak być niebezpieczny złoczyńca! Wszakże policyanci go od dawna szukali i nie mogli go znaleść.

Czy wogóle znajdą kiedykolwiek?

Nagle usłyszałam zajadłe szczekanie Napa, małego pudla Emilki.

Pani Rayner zadrżała, lecz mąż jej grał dalej. Gdy zegar wydzwonił teraz dziewiątą, poszłam do biblioteki i nacisnęłam klamkę, drzwi jednak były zamknięte. Zapukałam raz i drugi — nikt mi nie odpowiedział.

— Panie Rayner! — zawołalm — już dziewiąta!

Ale i na to żadnej nie otrzymałam odpowiedzi.

(Dokończenie nastąpi.)

**Prosimy przy zamówieniach powoływać się na „Pracę".**

# Biblioteka
330

# Poetów Polskich

**w 150 tomach**

**Pierwszy tom w druku. Prospekta wysela**

**Księgarnia Wydawnicza Polska**

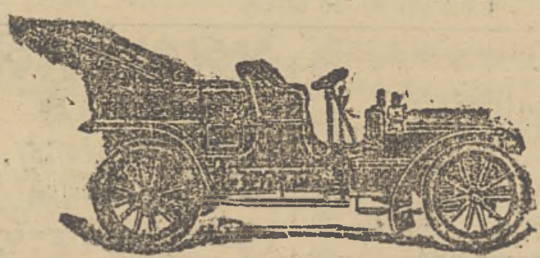
Sp. z o. p.

**Berlin N. 24.**

---

# Samochody

**osobowe i ciężarowe** najsławniejszych fabrykatów krajowych i zagranicznych poleca po cenach fabrycznych, **używane** oddaję **po nader przystępnych.**



Utrzymuję 41

**skład pneumatyków i przyborów.**

**Fachowy warsztat do naprawy.**

**Garage.**

**St. Brzeski**

POZNAŃ, św. Marcin 64.

**Telefon 1101.**

**Założony 1894.**

---

# Książki

## handlowe

## i gospodarcze

w polskim i niemieckim języku

**zakładam,**

**rewiduje**

390 **i reguluję**

**w domu i po za domem**

sumiennie i prawidłowo.

Wszelkie informacye i porady **bezpłatnie.**

Łask. zgłoszenia do Eksped. „Pracy" pod Nr. 390.

---

# Spółka Stolarska

Tischler-Rohstoff- u. Absatzverein e. G. m. b. H.

**Poznań, ul. Jezuicka 5.**

Telefon 207. poleca założona w r. 1894.

**Wyprawy dla nowożeńców.**

Specyalność: 525

wyprawy obywatelskie.

**Meble stylowe.**

**tanio! wielki wybór!**

---

Pismo jak **„PRACA"** powinno znajdować się w każdym domu szczerze polskim. Abonament kwartalny wynosi na poczcie tylko **1,25 mk.**

---

# Oszczędności

przyjmuje płacąc 4% za kwartalnem, zaś $4^1/_2$% za półrocznem wypowiedzeniem. 213

**BANK LUDOWY**

E. G. m. unb H.

KCYNIA — EXIN.

---

## Pensyonat polski

**w Berlinie**

**Ludwiki Biedermann**

Pokoje wygodnie urządzone, ze stołem lub bez, na czas dłuższy lub krótszy. Ceny przystępne.

**Dessauerstr. 35 II,**
4 minuty od Lipskiej ulicy i Poczd. placu

---



# Obuwie

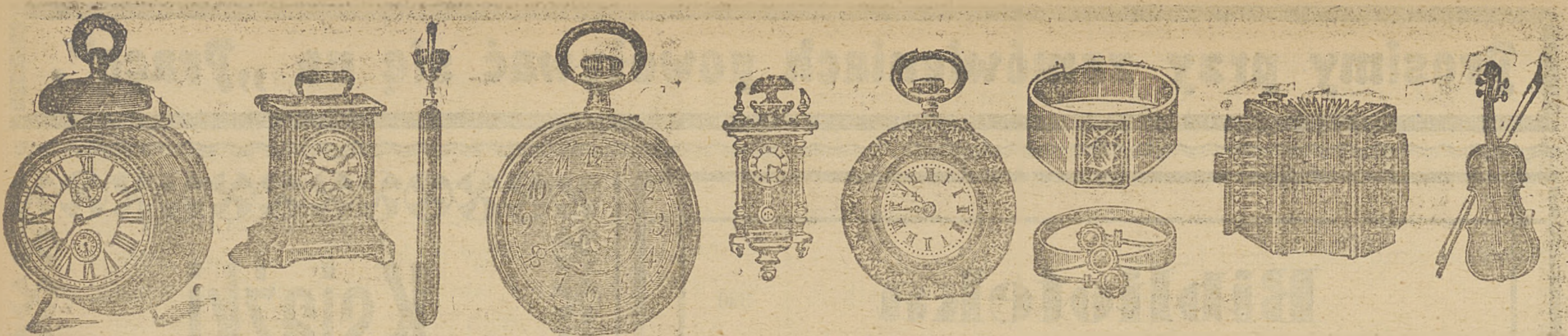
damskie, męzkie i dla dzieci

na porę wiosenno-latową poleca **w wielkim wyborze** i po **cenach umiarkowanych** na każdem obuwiu wyznaczonych.

**Specyalny zakład wytwornego obuwia i pracownia do zamówień.**

**M. Zabłocki,**

**Poznań, Berlińska ul. nr. 16, dawniej 15. — Telef. 1239.**



**Zegarki z 5-letnią piśmienną gwarancyą** Ia. pierwszy gatunek.

**NIKLOWE** mezkie kluczykowe . mk. 5,40
**POSREBRZANE** z 2 złoconymi brzegami . . . . . „ 5,90
**NIKLOWE** kluczyk. 6 kamieni Ia. „ 8,00
**NOWOSREBRNE** kluczyk. 2 złoc. brzegi 6 kamieni prima . . „ 7,75
**CZYSTO SREBRNE** 2 złoc. brzegi kluczyk. lub remontoarowe masyw mocne, najlepsze werki o 6 kamieniach znane z dobrego chodzenia . . . . . mk. 10,00
Te same o 10 kamieniach . . „ 12,00
**CZYSTO SREBRNE** kluczykowe lub remontoarowe masyw mocne, najlepsze werki, 10 kamieni, złocone wskazówki i brzegi, znane z dobrego chodzenia z wizerunkiem **MATKI BOSKIEJ** mk. 12,00
znacznie lepsze z Matką Boską . „ 14,00
a najlepsze z Matką Boską . . „ 16,00
**CZYSTO SREBRNE** damskie 6 kamieni . . . . . „ 8,50
**dto.** 10 kamieni prima . . „ 12,00
**CZYSTO ZŁOTE** 7 karat damskie 10 kam prima . . „ 16,00
**dto.** 10 kamieni Ia. prima . „ 18,00
**dto.** wspaniałe 10 kam. Ia. Ia. „ 22,00
Do zegarków z gwarancyą kapsułka lub etui darmo.

**Sprzedaję taniej jak niejedna fabryka.**

Jedyne największe, najtańsze i najrzetelniejsze źródło zakupna

a szczególniej dla sprzedających z drugiej ręki.

**CENY HURTOWNO FABRYCZNE.**

Wszelkie moje zegarki z oznaczeniem **5-LETNIEJ GWARANCYI**, są starannie obciągnięte i na minutę uregulowane.

**OBAWY NIE MA ŻADNEJ**, bo to, co by się podobać nie miało, lub istotnie nieodpowiedniem w tej cenie było, **PRZYJMUJĘ Z POWROTEM I WRACAM PIENIĄDZE.**

Trzeba się koniecznie przekonać, a kto nie kupi, toć trudno, sam sobie szkodzi. Zamówienia i podziękowania codziennie nadchodzą.

Proszę napisz pan **PO CENNIK** circa 2000 ilustracyi, a chętnie każdemu **DARMO I FRANKO** wysełam. 200

# M. Danecki

**Miejska Górka**

**(Görchen Bezirk Posen.)**

**Zegarki bez gwarancyi II-gi gatunek.**

**NIKLOWE** mezkie rem., 12 godz. chodzące . . . . . mk. 2,45
**dto.** 30 godzin chodzące . „ 2,95
**dto.** lepsze 30 godz. chodzące. „ 3,50
**STALOWE** czarne lepsze remont. 30 godzin chodzące . . „ 4,25
**CZYSTO SREBRNE** remont. tylko lepsze 6 kamieni . . „ 6,75
**dto.** kluczyk. I tylko lepsze 6 kamieni . . . . . „ 6,85
**dto.** damskie tylko lepsze 6 kam. „ 6,95
**dto.** Ia. tylko lepsze 10 kam. . „ 8,50
**ZŁOTE** damskie 7 karat. Ia. tylko lepsze 10 kamieni . . . „ 13,75
**BUDZIKI** głośno dzwoniące . „ 1,85
**BUDZIKI** z większym dzwonkiem „ 2,65
**BUDZIKI** z muzyką . . . „ 6,40
**HARMONIKI** 2 klucze 48 głosów „ 3,00
**HARMONIKI** 3 klucze 70 głosów „ 5,00
**HARMONIKI** 4 klucze 90 głosów „ 6,00
**SKRZYPCE** z smyczkiem dla dorosłych . . . . . . „ 5,00
**dto.** lepsze dla dorosłych. . „ 7,00
**dto.** z silnym głosem . . „ 9,50
**BRZYTWY** jedynie dobre pod gwarancyą za każdą sztukę

| Nr. | 50 | 51 | 53 | 54 | 56 | 60 |
|---|---|---|---|---|---|---|
| mk. | 1,20 | 1,40 | 1,75 | 2,10 | 2,70 | 3,75 |

już gotowe do użycia.

---

**Biuro melioracyjne**

# Trawiński & Kucharski

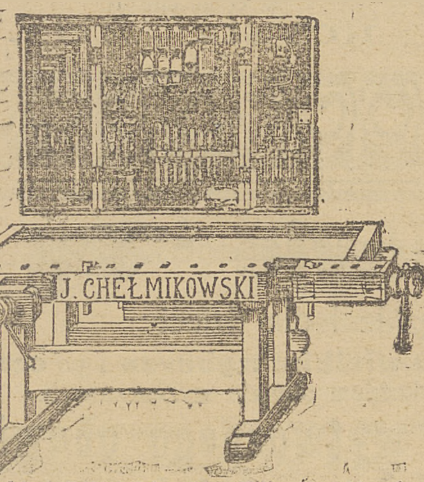
Telefon 839. **Poznań,** Telefon 839

**ul. Rycerska 26** (vis-à-vis zakładu wodoleczniczego Dr. Panieńskiego)

wykonuje **drenowania,** 129 **nawodnienie łąk systemem francuzkim** oraz innemi, odwodnienie łąk (murszów, torfów) **metodą prof. Fleischera** i sporządza projekta jeneralne i specyalne dla **spółek drenarskich i majoratów** pod kierownictwem **dyplom. inżynierów kultury rolnej.**

**Filie:** **Warszawa,** Zielna nr. 21. **Sieradz,** Kaliska 7, zastępca inżynier pan Madaliński.

# J. Chełmikowski, Poznań.




Główny skład Półwiejska 35. Filia Św. Marcin 45.

**Specyalny skład narzędzi dla stolarzy, cieśli, garncarzy, sztukatorów.**

Cennik darmo. 102

Adres: **J. Chełmikowski, Poznań (Posen).**

# Stanisław Augustyniak

**Kościan,**

ul. małej kolejki kościańsko-gostyńskiej 5.

**Telefon Nr. 119.** 56

**Handel drzewa budulcowego,**

**belek i kantówek, blochów, desek, łatów i t. d.**

Deski w różnych grubościach 1/2, 3/4, 4/4, 5/4, 6/4, 2, 2 1/2, 3 calowe.

**Skład dzwon bukowych,**

**dzwona gięte do powozów, jesionowe, śpic dębowych oraz bukowych blochów.**

**PAPY NA DACHY**

w doborowym gatunku, po cenach bardzo

**Hurtownie.** nizkich. **Detalicznie.**

**ZAKŁAD**

# dentystyczny.

**Wprawiam i plombuję zęby**

podług najnowszej metody.

Operacye zębów bez bólu po przystępnych cenach.

Wykonanie dokładne i artystyczne. 148

Przyjmuję od godz. 9 rano do 6 po południu.

**Jadwiga Marszałek,**

**Poznań,**

**św. Marcin 56**

1. piętro.

# Dom Wysyłkowy

***cygar i papierosów oraz instrumentów muzycznych.***

Polecam cygara tylko najlepsze za 100 sztuk **3 mk.** począwszy i wyżej. Papierosy najlepszych a znanych, oraz mojej własnej fabrykacyi za 100 sztuk od **60 fen.** począwszy i wyżej.

Wszelkie instrumenta jak:

***flety, klarnety, skrzypce, basy, mandoliny, gitary, harmoniki we wielkim wyborze, katarynki i samograjki, cytry akordowe od 9 mk. począwszy.***

Polecam i wysyłam na zamówienia prosząc gorąco o pamięć. 120

**ŁUCYAN PIOTROWSKI,**

*Gniezno ul. Wilhelmowska 2.*

Zakupuję wszelką ilość brylantów i starych srebr.

**Na podarki ślubne**

**piękne**

dobrze urzymane

**starożytne srebra,**

jako też i nowe

**pierścienie, broszki, łańcuchy, zegarki**

poleca 345

**po nizkich cenach**

# D. Dybizbański.

Huebnera Nast.

**ul. Wiktoryi 10.**

PIERWSZORZĘDNY POLSKI

# magazyn mebli

## stylowych

# Józef Sroczyński

Telefon 1290 POZNAŃ, BERLINSKA 8. Telefon 1290

**Dobra i rzetelna usługa przy nizkich cenach.**

**Rysunki i kosztorysy bezpłatnie.**

**Najlepsze referencye.** 51

---

# Józef Stabrowski

GNIEZNO, Tumska Nr. 16.

## *WIELKI SKŁAD*

*Materyi, Garderoby męskiej i Kapeluszy.*

Dobre i najtańsze źródło zakupu.

**Pracownia eleganckiej garderoby podług miary.**

Przewielebnemu Duchowieństwu polecam doskonały i znany dobry krój rewerend i płaszczy.

*Łaskawe zamówienia wykonuje się jak najtroskliwiej, elegancko i według najnowszych żurnali.* 119

---

# Kasa oszczędności

## Banku Rolniczo-Przemysłowego

## Kwilecki Potocki i Sp.

przyjmuje na oprocentowanie wkładki każdej wysokości od **1 marki** począwszy, płacąc od **3 do 4½ proc.** wedle umowy. 19

---

Cykoryą Hauswalda Kawę Cesarską **(Kaiser Otto Caffee)** mogą Panowie handlarze dostać znacznie niżej ceny fabrycznej w firmie

*Artur Gustowski*

**Opalenica.** 290

---



# Włosotwór

jedyny skuteczny środek na porost włosów i wąsów.

Używany i polecany przez wiele osób. 326

Puszka 3 mk, 3 puszki 7,50 mk

**A. Dytkiewicz,**

**Berlin,** Uhlandstrasse 145.

---

# Oszczędności i wkłady

przyjmujemy i płacimy: 183

przy wypowiedzeniu kwartalnem 5 procent,

„ „ półrocznem 5½ „

„ „ całorocznem 6 „

od dnia złożenia pieniędzy, obliczając procenta co pół roku. **Pewność zupełna.**

**Kujawski Bank Parcelacyjny,**

E. G. m. b. H.

w Inowrocławiu (Inowrazlaw).

---

**GNIEZNO,** narożnik ulicy Horna i Nowe nr. 6

Filia **w WRZEŚNI,** ulica Pocztowa 192.

## Zakład fotograficzny

# P. Gdeczyk,

z d. **Eitner,**

założony 1879 r.

poleca 267

wszelkie nowości modne, powiększenia artystyczne, zdjęcia architektoniczne.

---

**Korzystna sposobność nabywania lub sprzedawania**

## majątków większych, 39

## folwarków i gospodarstw

## oraz regulowania hipotek,

które uskuteczniam szybko, sumiennie i tanio.

# *G. Ritter, Poznań*

**Wodna ul. 27. Telefon Nr. 62.**

**Interes zbożowy, parcelacyjny i finansowy.**

Zwracam szczególną uwagę na to, że mam każdego czasu do oddania **5 procentowe pierwszo. miejscowe hipoteki** (pupilarnie pewne) na większych i mniejszych gospodarstwach zapisane.

---

# Firmy polskie na prowincyi polecają się względom Sz. Czytelników.

## *Bydgoszcz.*

**W. Sowiński**

ul: Fryderykowska nr. 29. Pracownia eleganskiej garderoby męskiej na miarę. Skład sukna, nowości w materyach krajowych i zagranicznych. Przewielebnemu Duchowieństwu polecam dobry krój rewerend i płaszczy.

## *Gniezno.*

Książki wszelkiego rodzaju, nuty i artykuły piśmienne poleca i wysyła na zamówienie odwrotną pocztą

**J. WISKIEWSKI,**

Księgarnia — ul. Tumska 3.

## *Kępno.*

Stara apteka i drogerya poleca wszelkie artykuły kraj. i zagr., mydełka, perfumy i inne kosmetyki.

**Edmund Karłowski.**

---

**Jedyny POLSKO-KATOLICKI**

magazyn mebli w miejscu poleca się łaskawym względom Szanownej Publiczności Kępna i okolicy.

**Leon Mozdrzanowski.**

## *Kościan*

ul. Małej kolejki kościańsko-gostyńskiej

**Stanisław Augustyniak**

Handel drzewa budulcowego belek i kantówek, blochów, desek, łatów i t. d. Skład dzwon bukowych. Papy na dachy.

## *Kostrzyn.*

**K. Andruszewski**

**Hôtel Victoria**

Pierwszorzędny hotel, pokoje świeżo urządzone restauracya, bilard, kręgielnia. Handel towarów kolonialnych, delikatesów, win, cygar i destylacya. Skład farb. Ceny niskie, usługa skora.

---

**Michał Woźny**

poleca skład bławatów, płócien, materyi na suknie, bieliznę, chustek, stołowiznę, trykotarzy, kapeluszy i gotowej garderoby męzkiej w wielkim wyborze. Ceny stałe.

## *Miejska Górka.*

**A. Wybierzalski.**

Hotel. — Handel żelaza długiego i krótkiego, artykuł. budowl. i tow. kolonialnych.

## *Ostrów.*

**J. Kopecki,** Ostrów, ul. Koszarowa 20 i Osiek (Netzthal.

Własna fabryka wszelkich pomp i specyalny interes kopania i wiercenia studzien na wielką skalę; dostarczania wody na każdem miejscu

## *Pleszew.*

**Skład kół i maszyn do szycia,** również wszelkie części rezerwowe do takowych, z pierwszorzędnych renomowanych firm poleca **St. Ostojski,**

---

## *Pobiedziska.*

**M. Koczorowicz**

w rynku poleca obuwie od najpojedeńszego do najwykwintniejszego, oraz wszelkie reparacye wykonuje starannie po cenach umiarkowanych. Swój do swego!

## *Smigiel.*

**J. Karpiński.**

Pracownia gard. męzkiej, skład sukna, bielizny i innych artykułów, gotowej gard. dla dorosłych i dzieci.

## *Strzałkowo.*

Największy dom towarowy

**W. Ziarniaka**

poleca materye wełniane i na suknie płótna, towary krótkie, garderoby męzką w najnowszych fasonach gotową i podług miary.

Równocześnie polecam darte gęste pierze po 2,50 i 3,00 marki za funt.

**Antoni Matczyński**

poleca swój hurtowny skład **piwa, fabrykacyę wody selterskiej** oraz **skład kolonialny i delikatesów** łaskawym względom Szan. Publiczności.

---

**JAN BOGACZYK**

poleca swój bogato zaopatrzony skład w materyach na suknie i wszelkich towarach łokciowych, krótkich, galanteryjnych, garderobie męzkiej i artykułach dewocyjnych, prosząc o łaskawe poparcie.

Szan. Publiczności Strzałkowa i okolicy donoszę, iż otworzyłem **magazyn mebli i trumien.** Wielki wybór. Ceny wyjątkowo tanie proszę o gorliwe poparcie.

**W. Bogacki**

## *Srem.*

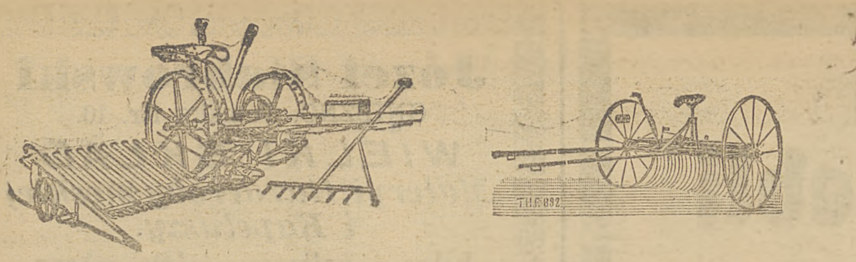
**TADEUSZ SZRAJBER.**

Skład zegarmistrzowski, maszyn do szycia i kołowców. Poleca się przy zakupnie *maszyn do szycia, kołowców,* tak na spłaty częściowe jako też za gotówkę.

Cenniki gratis i franko.

**A. Zwierzchowski,**

pierwsza polska fabryka **siatek drutowych na płoty** w Śremie.



## Żniwiarki, Wiązałki, Kosiarki

doskonałe, amerykańskie *Deeringa Ideal.* Daję na próbę i to na 100 mórg — 50 mórg, na 80 mórg 30 mórg celem przekonania o dobroci tychże. W razie niedobrze maszyna siecze odbieram takową z powrotem. 397

**Opatentowany przyrząd pod żniwiarkę,** który wstrzymuje ciężar maszyny i bieg tejże reguluje. Nadzwyczaj wielka ulga koniom.

**Grabie konne** patent. ogólnie znane ze swej dobroci. Z powodu, że wielkie zapasy na składzie o 10% taniej jak każda konkurencya.

**Centryfugi** do odtłuszczania mleka li tylko najnowszych i bardzo praktycznych konstrukcyi.

**Drylownik** t. zwane „Schubrad" mocnej budowy, równo siejące wszelki zasiew, jedno i dwukonne.

**Maszyny rólnicze każdego rodzaju.**

Części rezerwowe zawsze na składzie

poleca **M. MICHAŁOWSKI, Poznań**

ul. Strzelecka 31. — Telefon 1445.

Sprzedaż na odpłatę pod najdogodniejszymi warunkami.

---

# B. Szulczewski,

**ul. Wilhelmowska nr. 11.**

## Skład porcelany, fajansów, szkła.

Lampy naftowe, gazowe.
Oświetlenie spirytusowe.
**Kompletne wyprawy.**
Urządzania hotelowe.
Abażury — Przedmioty galanteryjne.
Pająki do kościołów.
Ampułki. 18

---

# Patenty

na **wynalazki** wyjednywa

## Kazimierz Ossowski

**Biuro patentowe!**

PETERSBURG, Woznienskij prosp. 3.
BERLIN, Potsdamerstrasse 3.
26

---

*„Talizman zdrowia i piękności"* 80 fen. **Onanizm** (samogwałt) itp. 1,10 mk. Katech. zdrowotny dla małżeństwa 1 mk. Zwalczanie nerwowości 1,35 mk. Samopomoc w cierp. płciowych 1,85 mk. Życie płciowe i jego znaczenie 2,20 mk, Zielniczek lekarski (125 kol. obr.) 1,50 mk. Do nabycia w lepszych księgarniach lub wprost w eksp. „Przew. Zdrowia": *Czarnowski, Berlin N.,* Weissenburgerstrasse 27. 113

---

**Specyalność: WYPRAWY.**

# W. JANASZEK, Poznań

ul. Jezuicka Nr. 1

**(w narożniku Starego Rynku)**

## Magazyn wypraw.

**Porcelana.** Wielki wybór ozdobnych serwisów stołowych na 6, 12, 18 i więcej osób.

## Serwisy do kawy.

**Szkło** kryształowe gładkie, rznięte, grawirowane.

Kieliszki, szklanki, salaterki, talerzyki karafki, zastawy etc.

**Lampy gazowe** 37
**Lampy naftowe**
**Lampy spirytusowe.**
**Sprzęty kuchenne.**

**Emal. naczynia. — Stalowe i drewniane wyroby,** szczotki, łóżka żelazne, umywalki, garnitury do mycia etc.

**Cennik na żądanie bezpłatnie.**

Stała wystawa. Iz okien wystawowych.

---

## Jan Białkowski

201

**mistrz blach. i dekarski**

**Pobiedziska (Pudewitz),**

pokrywanie dachów metalem, łupkiem, papą pojedyńczą i podwójną s. p. polepianie starych uszkodzonych dachów przy długoletniej gwarancyi, smarowanie, reperacye tanie i skore. **Skład lamp, szkła, porcelany i sprzętów kuchennych.**

---

## Pierwszorzędny zakład dentystyczny

# M. Kaniasty

359

**Poznań, plac Piotra 3, I. piętro.**

Przyjmuje przed poł. od godz. 9—1
po poł. od godz. 3—6.

**Sztuczne zęby, plomby i t. d.**

**po cenach nader przystępnych.**

**Praktykuje od roku 1890.**

---

# „Gleba"

**Bank rolniczy, Tow. akc.**

Poznań, ul. Szkólna 11, — poleca

**Węgle,**
**Saletrę chilijską na r. 1907, 1908, 1909,**
**Superfosfaty,**
**Żużle Thomasa, „Sternmarke,"**
**Kainit,**
**Wapno do budowli i na nawóz,**
**Rozmaite pasze,**
**Wszelkie potrzeby gospodarcze**

w wyborowych gatunkach po cenach umiarkowanych. 348

---

# Pranie bez mydła!!!




Kto się nie przekona o znakomitych skutkach **„Saponiku z koszulką"** sam sobie szkodzi ponieważ wydaje dużo pieniędzy na mydło i rozmaite szumnie zachwalane proszki, które tylko bieliźnie szkodzą a brudu nierozpuszczają. 487

**„Saponin z koszulką"** oczyszcza bieliznę **bez mydła i bez tarcia** tylko **przez gotowanie!** Pod gwarancyą **nieszkodliwy i bez chloru. „Saponin"** jest też dobrym środkiem do czyszczenia i mycia sprzętów domowych i kuchennych. Tylko prawdziwy w paczkach po **25 fen.** ze znaczkiem koszulką. Do nabycia w wszystkich drogeryach i składach kolonialnych, a gdzie niema na składzie wysyła się wprost z fabryki 8 paczek za 2,00 mk. franko i inclusiwe za zaliczką.

Chemiczna fabryka **„Saponia" C. Nagórski,** Starogard (Pr. Stargard.)

---

**Przedsiębiorstwo**

## miernicze i melioracyjne

# Pankalla & Krenz

**Poznań, ul. Wiktoryi 2.**

wykonuje wszelkie roboty w zakres miernictwa i melioracyi wchodzące po najniższych cenach, a mianowicie:

## 1. Roboty drenarskie,

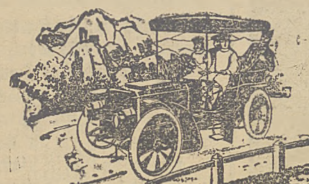
wykonanie projektów do zawiązania spółek drenarskich, ulepszenia łąk przez osuszanie i nawadnianie, 40

## 2. Pomiary

przez mierników zaprzysiężonych jako to: parcelowanie większych i mniejszych majątków i gospodarstw, regulacye granic, pomiary gruntów miejskich i podział na place budowlane itd.



Mały Bazar
Hurtowny i detaliczny skład papieru, zabawek, towarów skórzanych i galanteryjnych oraz
drukarnię
przeniosłem z placu Piotra na
49
ul. Wilhelmowska 21
naprzeciw Hotelu Francuzk.
Walenty Jarosz.



# AUTOMOBILE
## Koehler & Co.

**Największe warsztaty reparacyjne**

z zapędem elektrycznym.

Przystanek szklanny dla samochodów, stacya benzyny, oliwy, pneumatyków.

**Poznań, ul. Wiktoryi 17. Telefon 1993.**

Gen. repr. firmy

**Rex Simplex, Ronnenburg S.-A.**

---

Brzytwy! Brzytwy!



**Brzytwy**

jedynie najlepsze z angielskiej dyamentowej stali; znane z dobroci i pod gwarancyą już obciągane i gotowe do użycia. — Wymienię każdą sztukę, jeśli nie będzie dobrą. Piękny mocny futerał darmo.

| Nr. | 50 | 51 | 53 | 54 | 56 | 60 |
|---|---|---|---|---|---|---|
| mk. | 1,20 | 1,40 | 1,75 | 2,10 | 2,75 | 3,75 |

a następne nr. 0 1 2 3 4

bez gwarancyi po 55, 60, 70, 80 i 90 f.

**Pędzelek** 40 fen., nikl. **miseczka** 40 fen., **mydło** 10 fen.

**Paski** do ostrzenia po 0,80, 1,00 1,50 i 2,00 mk.

**Nożyczki** lute stalowe po 40 50 60 i 90 fen.

**Noże** kieszonkowe tylko mocne po 20, 25, 30 fen.

**Noże** kieszonkowe o 2 nożykach i grajcarku po 40, 50 60 fen.

Odsprzedającym rabat. **Cenniki** wielkie, około 2000 illustracyi wysełam darmo i franko. 20

**M. Danecki,**

Miejska Górka (Görchen in Pos.)

---

Ostatni mój

# skład cygar i papierosów

pod firmą 393

# Havana

**przy ulicy Berlińskiej 7**

pragnę **sprzedać,** najchętniej rodakowi pod **bardzo korzystnymi** dla kupującego warunkami. Do przejęcia potrzeba tylko 5—6000 mk. gotówki. Klientela detaliczna składa się z 60% Polaków i 40% Niemców. Odstępnego nie żądam.

Poznań **Karol Rzepecki** Rycerska 38.

---

# ZWIĄZEK ZIEMIAN

**E. G. m. b. H.**

**TELEFON NR. 1615.**

**w Poznaniu ul. Wiktoryi 2.**

przyjmuje depozyta i płaci zależnie od czasu wypowiedzenia 3½, 4 i 4½ %, obliczając procent od dnia złożenia pieniędzy, 94

podejmuje się regulacyi hipotecznej,

pośredniczy w sprzedaży i wydzierżawianiu majątków,

podejmuje się administracyi majątków ziemskich

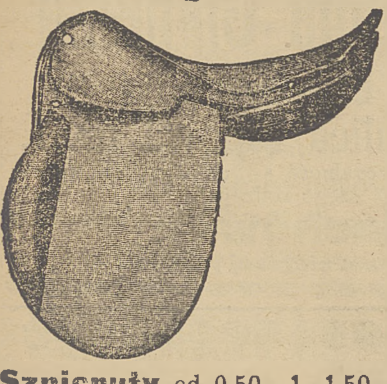
prowadzi rachunki bieżące z członkami tak zwane „Conto Corrente".

---

## Leon Pluciński, mistrz siodlarski

**Poznań, św. Marcin 52/53.**

**Interes istniejący od roku 1875.** 311



**Wydział do konnej jazdy:**

**Siodło męzkie** gładkie, całkiem z świńskiej skóry, wiedeńskie od 27—32 mk. Siodło to samo z przodkami (Kniepauschen) od 35 do 45 mk. Siodła całkiem watowane, angielskie, od 45—100 mk. Siodła wysadzane jelonkiem od 65—110 mk., ze skórzanemi łękami. **Siodła damskie** od 75—250 mk. podług jakości. **Trandzle i mundsztuki** od 7—10—13—15—18—21—24 do 30 mk. **Popręgi i czapraki** do siodeł do 3, 4, 6, 7,50, 9, 12—24 mk. **Szpicruty** od 0,50—1, 1,50, 2, 3, 4—30 mk.

Zlecenia uskuteczniają się **odwrotnie.**

---

Restauracya

## KISLINGERBRÄU

(Kaźmirz Krenz)

przy placu Wilhelm. **Poznań** w środku miasta, w pobliżu przystanku kolei elektrycznej.

**Wyborne obiady**

**od godziny 12—3-ciej**

po 1,25 mk., **w abonamencie 1,00 mk.**

Wielki wybór śniadań i kolacyi. 36

Uznana za najlepszą zimną ruską kuchnią.

Dobrze pielęgnow. piwa i wina. Dobra wentylacya.

Znakomita kuchnia.

---

## Zakład dentystyczny

**Leon Nowicki,** Poznań, plac Piotra 2,

drugi dom od ulicy Wrocławskiej. 20

---

## Smalec wieprzowy

**w ¹/₁ i ½ centnarowych sądkach,**

tanie **ryże, kasze** jęczmienne, **jagły,**

**w 1 centnarowych mieszkach**

poleca tanio 154

**J. Smyczyński,** św. Marcin 27.

---

## Skład

**ze sklepem**

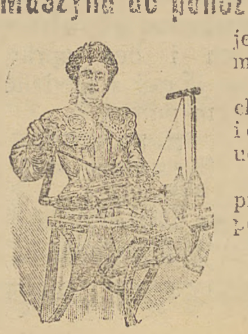
przy ul. Wrocławskiej nr. 3 w pobl. Starego Rynku jest od 1 10.br. do wynajęcia. Bliższych wiadomości udzieli

**W. JANASZEK,**

**ul. Wodna 28,** narożnik ul. Jezuickiej. 422

---

## Maszyna do pończoch robienia „Meteor"



jest najlepsza i do użytku domowego przemysłu. 477

**Maszyna** ta wyrabia pończochy, szkarpetki z podwójną piętą i około 160 innych artykułów. Wyuczenie dokładne w kilku dniach. Bliższych informacyi udzieli za przesłaniem 20 fen. w znaczkach pocztowych

**Th. Wolf,**

**Altwasser, na Śląsku.**

(Schlesien).

# Jeszcze wciąż można odnawiać przedpłatę!

Prosimy odciąć.

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomemu z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonirt hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für den Monat September 1906 die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 0,42 M.

(Imię i nazwisko): ..........................................

(Mieszkanie): ..........................................

Obige 0,42 M. erhalten zu haben, bescheinigt

.........................., den ..........................

Kaiserl. Post ..........................

Prosimy zażądać numerów okazowych i podawać je znajomym z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonirt hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für den Monat September 1906 die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 0,42 M.

(Imię i nazwisko): ..........................................

(Mieszkanie): ..........................................

Obige 0,42 M. erhalten zu haben bescheinigt

.........................., den ..........................

Kaiserl. Post ..........................

Niniejszą kartkę prosimy odciąć i podać znajomym z zachętą do prenumeraty.

Unterzeichneter abonirt hiermit bei dem Kaiserlichen Postamt für den Monat September 1906 die in Posen erscheinende Wochenschrift

„Praca“

(Abteilung II. t. poln. Nr. 95 der Zeitungspreisliste)

für 0,42 M.

(Imię i nazwisko): ..........................................

(Mieszkanie): ..........................................

Obige 0,42 M. erhalten zu haben, bescheinigt

.........................., den ..........................

Kaiserl. Post ..........................